

IGNACY CHODŹKO

PODANIA LITEWSKIE

Książnica Zamojska



10181690

ul. Kamienna 20

22 - 400 Zamość

Wojas

59.

PODANIA LITEWSKIE.

SERYA TRZECIA.



Miss [illegible]

MISS [illegible] [illegible]

[illegible]

7

100

PUSTELNIK W PRONIUNACH.

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH.

PRZEZ

Ignacego Chodźkę,

Autora Obrazów Litewskich.

PODANIA LITEWSKIE.

Serya Trzecia.



W I L N O.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1858.

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury, prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 14 Kwietnia 1858 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.



113

821.162.1-3



PANU JÓZEFOWI KRASZEWSKIEMU.

Dla drogiech ziomków pracujący szczerze,
Zwiększajmy zasób naszej dla nich składki,
Więc we wzajemnej mój dla Cię ofierze
Przyjm Pustelnika do Bożej Czeladki (1).



(1) P. Józef Kraszewski przypisał powieść swoją pod tytułem: Boża Czeladka, Autorowi Pustelnika.

THE JOURNAL OF THE AMERICAN MEDICAL ASSOCIATION

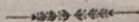
Published Weekly, except on Sundays, Holidays, and Days when the Association is in Session.
Subscription Price, \$5.00 per Annum in Advance.
Single Copies, 15 Cents.
Entered as Second-Class Matter, May 2, 1912, under Post Office No. 383, at Chicago, Ill., under special permission of the Post Office and General Office.
Acceptance for mailing at special rate of postage provided for in Act of October 3, 1917, authorized on July 1, 1918.
Postage paid at Chicago, Ill., and at additional mailing offices.
Copyright, 1918, by American Medical Association.

Published by the American Medical Association
535 North Dearborn Street, Chicago, Ill.



PUSTELNIK W PRONIUNACH ⁽¹⁾.

Część Pierwsza.



I.

Ubierz jakąkolwiek jałową i pustą okolicę, którejby natura wszelkich odmówiła ozdób, przez którą z tęsknotą i nudą wlekący się podróżny, próżno ociężałą żrenicą upatruje przedmiotu, mogą

(1) Miejsce na traktcie wileńskim, tak nazwanym Czarnym — tamże kaplica i niegdyś mieszkanie pustelników.

cego zająć go i rozerwać, po której wiatr nawet, podnosząc tumany piasku, nie ma gdzie ich osadzić, i karłowate tylko a zeschłe drzewka lub zwiędłą zasypuje trawkę. Chceszże smutną i ponurą barwę tej okolicy zmienić? wesołej z niej uczynić nie potrafisz; ale chceszże ją zrobić interesującą? postaw wśród niej domek boży — *kapliczkę*. Wnet, jak religijną myślą, czcze, płonne i obojętne życie, tak religijnym przybytkiem jałową pustynię ożywisz, i smętnym ją, ale miłym urokiem całą oblejesz. Wnet obok niej stanie wiejski krzyżyk nad wiejską mogiłą, i osłoni ją brzołka zwisłemi ku ziemi gałązkami, z trudem w suchy piasek zasadzona, ale łzami żalu całej może ubogiej rodziny ożywiana. Wnet od kapliczki rozpięchną się na wszystkie strony ścieżki wydeptane kaleką stopą żebraków, a wkrótce i wążka kołowinka zawróci się od gościńca;

ślad, po którym jak magnesem przyciągany będzie najprzód ludek prosty ku ubożuchnemu ołtarzowi, nim potem pańska złocona kareta, z pokorną modlitwą i bogatemi dary przedeń zajedzie... Och! bo i narodzonemu na świat Zbawicielowi, w przód pastuszkowie złożyli pokłony, a potem królowie złoto.

Bóg też często opromienia łaską swą takienizkie i skromne swe domki. Wkrótce rozsławiają się cudowne doznane tam ulgi w chorobach, uzdrowienia w kalectwach, folgi i pociechy w smutkach i z martwie- niach; zatém postanawiają się dni uro- czyste, w których mnoga i z dalekich stron płynąca ludność napełnia i ożywia tę niedawną pustynię, a wjeżdżający teraz do niej podróżny, rano czy wieczorem, sre- brnym dźwiękiem sygnaturki powitany, powstrzyma konie, gdzie je wprzód na- glił do biegu, i z miłą rozkoszą w duszy

poranną lub wieczorną odmówiwszy modlitewkę, z pokrzepioną nadzieją do swego celu podąży.

Pan Chojecki.

Taką jest okolica *Proniun*; rozlega się ona przy gościńcu, tak zwanym *czarnym*, do Wilna wiodącym. Las to był niegdyś, ale z czasem wycięty, nie odrósł na piaszczystej i nieurodzajnej ziemi. Dziś, na wzgórzach, czarnym i suchym mchem powleczonych, gdzie niegdzie krzak jałowcu lub sosenka krzywa i kaleka, lub pień stary i spruchniały, dają się domyślać przeszłości, a smuciłyby i zachmurzały terazniejszość; lecz na jednym z wyższych pagórków stoi *kapliczka*. Stare ję i wąle ściany, podmurowała i wsparła pobożnych sąsiadów ręka i nowym ją okryła dachem, pod którym wewnątrz, objawione w wizerunku Chrystusa, szczególniejsze

dobrodziejstwa i łaski, gromadzą prawie każdodziennie tłumy wiernych, a skromnemi ich ofiarami utrzymuje się nabożeństwo i ubogie stroją się ołtarze.

W jednym dniu takim, przejeżdżającego mnie tamtędy do Wilna, zatrzymał niespodziewany tuż obok drogi widok nagromadzonych przed kaplicą pojazdów i klęczącego w około ludu, nie mogącego zmieścić się we środku; ujrzałem więc nabożeństwo w tych samych ścianach, które nieraz i oddawna widywałem i pomi-jałem, jako stojące pustkami, na zabobonne chyba tylko obrzędy *Dziadów* służyć mogącemi.

Wcisnąłem się więc do kaplicy, msza właśnie wychodziła: przed kapłanem szli służyć do niej, starzec trzęsący bez przerwy osiwiałą głową i mały chłopczyk, z twarzą piękną dziecinną.

Prawnuk z pradziadem, szepnął ktoś

blizko. A więc dwa końce wieku ludzkiego łączyły się u stopni ołtarza... Widok ten, jak uważać mogłem po rzucanych spojrze-
nieniach, zajmował obecnych... może za-
grzewał ich modły; może myślą z młodzień-
czej na zgrzybiałą przechodząc głowę, wła-
sną przeszłość i własne przebiegali nadzie-
je, jedną i drugą, tém czuliej i rzewniej
ofiarując Temu, który *przeszłość* człowieka
litościwie sądzi, *przyszłość* enotliwie żąda-
ną błogosławi.

Mnie także widok ten wzruszył: nie-
wiedziałem na którego z nich miejscu
być bym wolał — zazdrościłem obudwom:
prawnukowi dni dziecinnych. Oh! któżby
do nich wrócić nie chciał! a gdy to nie-
podobna... *pradziadowi*, że prawnuka u-
czyć jeszcze może chwały boskiej, i oso-
biście go, że tak powiem, za rękę *reko-*
mendować i polecić Bogu.

W czasie mszy, starzec po kilka razy

wstawał z klęczków, ucierał świece, porządkował składane na ołtarzach bochenki chleba, ustawiał bractwo, słowem gospodarzył w kościołku; a chłopczyk sam jeden rzeźwo głośno i rezolutnie odpowiadał księdzu i usługiwał do mszy. Gdy się ona ukończyła i kapłan przeżegnawszy lud odszedł do malutkiej zakrystyjki, staruszek ukląkł na stopniach ołtarza, i drżącym ale silnym głosem *„Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny!* zaśpiewał,— wszyscy z podwójną zda się gorliwością za tą jego intonacją całą suplikację odśpiewali, a starzec ukończywszy oną, pociągnął za sznurek, firanki się przed figurą Chrystusa zasunęły, a on świece pogasił.

Po nabożeństwie, wielu z dostojniejszego zgromadzenia, kobiety zwłaszcza, uprzejmie otoczyły starca; witały go, dziękowały za porządne utrzymanie ka-

plicy i składały różne ofiary i ozdoby na jego ręce: to firanki, to pięknie szyte poduszki, to kwiaty misternéj roboty, a staruszek przyjmując wszystko, kiwał głową bezustannie tak, że dolegliwość jego zdawała się być razem i podzięka i utwierdzeniem dających w dobrych ku chwale boskiej intencyach. Odniósł on to wszystko do zakrystyi i pochował w szufladkach, a chleb ofiarny bochenkami między licznych żebraków rozdzielił.

Ja oczekiwałem aż się wszyscy rozeszli i natenczas ciekawą ze staruszką zabrałem znajomość.

—Jegomość dobrodziej—rzekłem—jesteś tu widzę gospodarzem.

—Pan Jezus tu Mości dobrodzieju gospodarzem odpowiedział on—a Matka jego Najświętsza gospodynią; ja stary i nie-

godny ich sługa zamiatał tylko ich progi.

Pamiętałem ja, że niegdyś w *Proniunach*, nieodlegle od kościołka mieszkał pustelnik, lecz że oddawna już go nie było, wpadłem więc na domysł, że razem ze dźwignieniem i opatrzeniem kapliczki, znalazł się i pustelnik.

—Zapewne—rzekłem zatem—jesteś ojcie (bo mu się to nazwanie właściwie należało) pustelnikiem na miejscu dawniej tu przebywającego?—ale się wnet postrzegłem, bo prawnuk biegający w około domysł mój niweczył. Jakoż rzekł on:

—Nie, Mości dobrodzieju; już i śladu pustelni tu niema, a na świecie mało ochotczych do pustelniczego życia; ja mam żonę starą, dzieci, wnuków i prawnuków; trochę więc byłoby i ludno i głodno w naszej pustelni, gdyby z taką gromadką spuścić się na miłosierdzie ludzkie przyszło. Jestem Mości dobrodzieju szlachcic blisko tu mie-

szkający, na własnym kawałku ziemi, *Antoni Chojecki*, do usług pańskich, a postanowiłem być zakrystyanem tego domu Bożego, którego mój dziad rodzeniuteńki był fundatorem.

Dziad fundatorem a wnuk zakrystyanem (1) w tym samym kościołku—pomyśliłem, i zdziwiony zapytałem:—Przez jakie to zdarzenie ta zmiana w losie waszym zajść mogła?

—Oho Mości dobrodzieju! to nie w tej zakrystyjce rozpowiedzieć. Pan musisz być podróżnym i dalekim, gdy nie znasz starego trzęsigłową *Chojeckiego* (2), który trzecie pokolenie sąsiadów swoich pohodował, i trzech pustelników przebył w *Proniunach*.

— Jakto? albowiem tu ich trzech było?—zapytałem.

(1) Prawdziwe.

(2) Umarł dopiero w roku zaprzeszłym.

— Trzech Mości dobrodzieju i dziad, mój zafundowawszy tę kapliczkę, zbudował razem i domek dla jakiegokolwiek starca lub kaleki, któryby ją codziennie pilnował, ale nim się taki znalazł, tymczasem zdarzył się gość, który z inném powołaniem, a z lepszą nad kapliczką pilnością, zajął w tym domku gospodę. Był to pierwszy pustelnik, którego ja ledwo pamiętam, bom był dzieckiem, gdy on umarł i pochował go ojciec mój, podług jego woli, pod progiem kaplicy; bo przez pokorę świętą chciał on aby go i po śmierci deptano (1). Ale Mości dobrodzieju, kłaniam uniżenie; bo i panu może być pil-

(1) Ile razy zdarzy się komu u wejścia do kościoła wstąpić na kamień grobowy, może być pewnym, że taka właśnie pokora chrześcijańska umierającego wybrała mu to miejsce wiecznego spoczynku; w dawnych testamentach nieraz doczytałem się takiej woli umierającego.

no, i ja moją robotę tu skończyłem... a barszcz albowiem...

Pilno mi było, to prawda; ale jeszcze pilniej się zachciało dłuższej z roztropnym i rozmównym starcem gadaniny którą interessowną być przewidywałem.

— Wiesz co, kochany panie Chojecki?— rzekłem zatém dostając zegarka;— godzina dopiero jedynasta, barszcz nie uciecze, a proszę jegomościa dobrodzieja na podróżną przekąskę,

— Z kimże mam honor? — zapytał stary prostując się poważnie, i wpatrując się we mnie pilnie.

Lecz gdym moje powiedział nazwisko, uścisnął mię, i rozliczać zaczął, jakby z drzewa genealogicznego, moich antenatów Oszmiańczuków, i w prostej linii i w ubocznych, z taką wiadomością i prawdą, jakby sam do naszej rodziny nale-

żał; znajomość więc nasza stała się w jednej chwili lepszą i ściślejszą.

Zgodził się zatem na mą propozycję staruszek, i wyszliśmy z kaplicy, którą zamykając — czytając jegomość — rzekł mi, i wskazał na płytę kamienną pod progiem.

Wysylabizowałem zaledwo znaczne, niezręczną kiedyś ręką wykute litery:

» *Tu leży Daniel — prosi o Anielskie Pozdrowienie.*«

— Cóż to? nie ma nazwiska, ni daty śmierci — zapytałem zdziwiony.

— To nic — rzekł, Chojecki — to nic; jegomość zmów dla tego modlitewkę, o którą on prosi, a tam już aniołowie święci rozbiorą do którego *Daniela* to należy.

Data śmierci, Mości dobrodzieju na nic tam umarłemu niepotrzebna; wszak Pan Bóg wie, kiedy człowieka do chwały swojej przyjmuje; prócz tego, nazwiska tu



kłaść nie można było, bo on go nie miał.

— A toż jak? — rzekłem i patrzałem w oczy starcowi.

— Cóż, to dziwne? a jednak prawdziwe, — mówił on — i zdziwisz się jegomość jeszcze bardziej gdy powiem, że to był ze szlachcica *pan*, a z pana *pustelnik* i bez nazwiska.

— Więc jego historję wiesz, panie Chojecki?

— A wiem piąte przez dziesiąte, bo mój ojciec po jego śmierci rozповідаł o nim.

— Mógłbyś mi to opowiedzieć?

— Czemu nie! ale na to trzeba czasu; mógłbym nawet jegomości otworzyć cały kałamarzyk papierów i mantyków po nim pozostałych, kiedy ich szczury nie pogryzły; wala się to gdzieś u mnie w spi-chrze, razem z mojemi fascykulami; musi tam być cała jego historia. Drugiego, Mości dobrodzieju pustelnika jakoby,

znałem dobrze, bo on tu był za moich młodych czasów; ale przemieszkował tylko lat trzy, wypełniając zadane mu *votum pokutne*, jak się o tém później od niego dowiedziałem; a był to także *pan* z panów, nazywał się *Zaluski* (1), ale przez ten czas, który tu przepędził, był pustelnikiem doprawdy, pustelnikiem *albowiem!* Młody tu się zjawił, i dziwiłem się powołaniu jego w tym wieku, nie widząc przyczyny; ale jaki to był świętobliwy! jaki nabożny! jaki miłosierny! Wszystek grosz, który się w karbonce jego pustelniczej znalazł z elemozyny, rozdawał ubogim: nawet chlebem składanym mu dzielił się z niemi tak, że często i on sami wierny stróż jego, a towarzysz wyżej *Walet*, obadwa głodem marli; i już to był znak, że w pustelni nie było chleba, gdy dnia

(1) Prawdziwe.

którego przybył do nas *Walec*, i łąsił się prosząc pożywienia, a zatém moja imość niosła bułeczkę, i kładła tam podedrzwiemi na zedelku, gdzie mu zwykle chleb i niejaki wiktuały składano. Wiedział on o tych poselstwach do nas swojego sługi i wdzięcznym nam był za to. Może za te bułeczki, Mości dobrodzieju, i teraz nam się chleba nie urywa, choć chleboradów przybyło; a zresztą i on potém nie zapominał o nas; niech mu Bóg daje królestwo niebieskie, bo już dawno umarł... Był to Mości dobrodzieju człowiek mądry przytém; ale tego nikt dociec nie mógł, zważając na jego prostotę i pokorę; my tylko, których, częściej z łaski swojej odwiedzał, mogliśmy o tém zmiarkować. Często też znajdowałem go wieczorami czytającego przy lampce pobożne książki, których ze Słobockiego klasztoru dostawał, lub coś tam sobie piszą-

cego; zagrezmolone arkusze rzucał potém w piec. Ale kilkakrotnie żonie mojej, krzątającej się około wielkanocnego święconego i starającej się papieru pod pierogi, dał kilka takich pomazanych arkuszy, a ona uchowała je jak relikwie na pamiątkę; jednakże kto wie czy te relikwie znalazły by się, boć to już bardzo dawno było, Mości dobrodzieju.

Z trzecim, panem *Jakóbem Jurszą*, żyliśmy *brat za brat*, więc jego żywot wszelakiego rodzaju i pustelniczy i światowy, bo jeden z drugim przemieszywał czasami, wiem lepiej; a chociaż pobożność jego była wcale inną od tamtych, niemniej jednak była szczerą i prawdziwą. Wiesz jegomość, jak chłop nieumiejący pacierza modlił się: *»to tobie Boże—to mnie Boże«*—mówił skacząc przez kłode, a toć coś nakształt tego było i z panem *Jurszą*, po prostu ale gorliwie; był jednak piśmien-

ny i kantyczek z rąk nie wypuczał, znał wszystkie festa najdokładniej i do nabożeństwa napędzał bez żartów; a chociaż skończył bogobojnie i po chrześcijańsku, jednak i po śmierci junaczył się po trosze.

Tymczasem stanęliśmy u mojego wozu, lecz ja z téj krótkiej wzmianki o pustelnikach ułożyłem już sobie projekt: ciekawość mię wzięła do tych sszpargałów, jak je nazywał Chojecki; a nuż się z nich wysnuje historia tych tajemniczych ludzi!

Gdy więc podróżna jedna i druga czareczka gdańskiego kimmellu, który stanowił główną treść moich podróżnych zapasów, zrazem pieczeni zakąszona, zarumieniły lica staruszka — *wódeczka, albowiem!* — rzekł on; a ja korzystając z jego humoru dobrego, — wiesz co panie Chojecki dobrodzieju — rzekłem, — rad jestem bardzo ze znajomości z panem; znałeś mojego dziada i ojca, nie dziw więc, że wnuk

pragnie ściślejszėj z panem przyjaźni. Pozwól zatém, że się do państwa na obiad zaproszę; podróż moja nie tak pilna, abym kilku godzin nie mógł poświęcić tak miłemu, jakie z panem znajduję towarzystwu i jeżeli to nie zrobi obójgu Ichmościom subiekcyi...

Starzec się wyprostował, i poważną przybrawszy minę:—jeżeli—rzekł,—jegomość dobrodziej chcesz mi ten honor uczynić, z całego serca rad będę. Dziad mój i ojciec jeszcze miałby czém przyjąć tak godnego gościa, i w malowanych ścianach; ja zaś przyjmę jegomości dobrodzieja w ubożuchnej chacie i chudo-pacholskim chlebem; ależ przecie, Bogu dzięki, przy pracy głodu nie cierpim, i pan głodnym nie będziesz, kiedy ubogim kęsem nie wzgardzisz.

Uścisnąłem zacnego starca, i po jednéj

jeszcze czareczce, puściliśmy się do bliższego tuż za borem zaścianku.

Na wrotach domostwa tego należałoby napisać to dawne szlacheckiego mienia. godło: »*Ubogo, ale chędogo,*« które i zewnątrz i wewnątrz stosowném by tu było.

Mały strumień tuż pod wrotami przecinał drogę, i sączył się dalej po łące, na której kilka krówek pasło się swobodnie między kopkami świeżego sianka, wiejącego miłą i orzeźwiającą woń wiejską na nas przybywających. Sama zagroda mogłaby średnie zająć miejsce między dworkiem szlacheckim, a siedliskiem zamożnego chłopka; gospodarskie bowiem budowle, otaczające szczupły dziedzińczyk, nie różniły się od włościańskich; ale w domku mieszkalnym okienka większe, kominy wyprowadzone, ganeczek schludny z ławkami, i czystość wszędzie nadzwyczajna, wznosiły mieszkanie i mie-

szkańców jego nad pospolitość, i od razu mogły dać poznać, że los ściągnął tu kogoś z pałacu pod słomianą strzechę, ale uczucia szlachetnej osobistej godności i bieda zeń nie wycisnęły. Wreszcie, na środku dziedzińca krzyż z figurą Zbawiciela objawiał dostatecznie w kim było zaufanie gospodarzy, i kto ich pracy i cnotliwemu ubóstwu sporzył.

Zdziwiona i spłoszona gromadka dzieci, wnucząt i prawnucząt pana Chojckiego, a bawiąca się pod krzyżem, uciekła do sieni i ztamtąd wyglądała lekko, gdyśmy z bryki wysiadali; ale wnet wyszła na ganek *Imość*— staruszka, żona gospodarza, mało zapewne młodsza od męża, lecz nie trzęsąca głową, a licem, postawą, chędogiём ubraniem i nakoniec przystojnym i jakby dworskim dygiem, jeszcze bardziej ze swém pomieszkaniem sprzeczną.

—Kasiu— rzekł mąż—przywożę tobie gościa, a raczej gość mię przywozi; jest to pan Ch.....— Opowiedział potém poznanie się nasze, i wnet konie moje pasły się z krówkami na łące, a ja zostałem między tymi poczciwymi ludźmi, z sercem i umysłem swobodnym, jakiegom nigdy w świetném salonowém gronie nie miał.

—Czémże przyjmiemy tak szanownego pana?— zapytała Chojecka męża, tonem bardziej troskliwość i grzeczność, niżeli kłopot oznaczającym.

—Dobré m sercem, moja duszo, dobrém sercem i naszym szlacheckim barszczem— odrzekł mąż, wprowadzając mię do czystej i światłej izby, sienią od gospodarskiej piekarni oddzieloną, i odwracając się jeszcze za odchodzącą żoną — moja Imość! zawołał, czekamyż barszczu albo-

wiem!...—a ja rozkazałem przynieść z bryki resztę kimmellu.

Wnet wbiegły dwie dziewczynki i nakrywały do stołu.

—Toż są wnuczki, czy prawnuczki pańskie?— zapytałem.

—Wnuczki, Mości dobrodzieju, wnuczki; prawnuka mam tylko jednego chłopaka, którego widziałeś jegomość. Bóg nam dał trzy córki, a potem syna; córeczki pochwymano rychło, jakby co dobrego; z łaski najstarszej pradziadkiem zostałem. Syn zaś Mości dobrodzieju *albowiem!* służy wojskowo i po szlachecku, to jest mężnie i wiernie—czubił się regularnie Mości dobrodzieju. Pod Lipskiem, albowiem, pod Lipskiem był raniony, a teraz konsystencya jego w Warszawie—majorem już chwala Bogu, krzyż Legii Honorowej na piersiach, i w kieszeni nie pusto, z której i nas rodziców często su-

kursuje. Niech go Bóg błogosławi!

Tu misa stanęła na stole.

Odzywam się do wszystkich pocziwych miejskich smakoszków: Przypomnijcie sobie barszcz gospodarski z wędlinką!.. którego żaden kuchmistrz ugotować nie potrafi, a z którym tylko u staroświeckiej litewskiej gosposi spotkać się jeszcze zdarza. Jaka woń pokuszająca rozchodzi się od misy i gwałtem do niej ciągnie! Jak wybornym smakiem łechce podniebienie, a zdrową i posilną strawą nasycą! taki barszcz był w misie.

—Teraz po czareczce: może i Imość do brodzika pozwoli? — rzekłem do wchodzącej.

—Pokosztuj moje serce — rzekł Chojecki — bo wódeczka podróżna jegomości *albowskiem!*

Przyjęła więc odemnie i rzeczywiście pokosztowała tylko, a my z gospodarzem

sporządź pokrzepiwszy podbudzony barszczem apetyt, zasiedliśmy we troje do stołu. Nakrycie cienkie i białe, naczynia wszystkie z doskonałej angielskiej ciny, a nawet dla mnie widać wydobyta, może jedyna dawniej zamożności pamiątka, łyżka srebrna z wyciętym na niej *Lubiczem* (1), znowu mię o szczęśliwszej przeszłości gospodarzy wspominała; o bogatszej;—chcę mówić, bo czyli była szczęśliwszą, gdy każda jej chwila groziła i zbliżała ruinę, niżeli uboga lecz spokojna teraźniejszość? pytać nie śmiałem. Grzeczność także u stołu pani Chojeckiej była dworską; zapraszanie do jedzenia nieuprzykrzoną przynuką, przepraszanie za skromność obiadu, który po barszczu nasielskiej jajecznicy się skończył, z szczerością a nie przesadą i wszystko mnie przekonywało, że w obyczajach i mieniu są

(1) *Lubicz*— herb Chojeckich.

tu *ostatki*, jeżeli nie pańskich to szlacheckich *dostatków*.

Niecierpliwy wiadomości o owych papierach po dwóch pustelnikach pozostałych, jak równie opowiadania o trzecim panu *Jurszy*, zapytałem po obiedzie staruszki, czyli je ma gdziekolwiek zachowane?

—Nie mogę z pewnością powiedzieć panu,—odpowiedziała, czy są one jeszcze albo nie; tak dawno to było, a odtąd nieraz manatki nasze po lasach i taborach roznosiliśmy, zwłaszcza żyjąc przy trakcie, i nie wszystko się nazad odniosło;—poszukaj mężu w kałamarzyku, który w spichrzu się wala, kiedy tam nie ma to i nigdzie.

—A więc poszukajmy—rzekł Chojec-ki, prowadząc mnie do małego swego swironka, i po krótkiej chwili wynosząc ów

kałamarzyk, dawnych sprzętów rzadką dziś pamiątkę, i któremu podobne ze staroświeckimi puzderkami, ze staremi kantorkami pruchnieją dziś na poddaszach, albo gdzie niegdzie służą jeszcze starym sknercom na schowankę zaklętych i zapleśniałych, jak oni sami, talarów.

—Jest kałamarzyk, ale zamknięty; dajże kluczyk moje serce— odezwał się Chojceki.

—A któż wie gdzie ten kluczyk?

—Więc trzeba odbić— rzekł on.

—Szkoda— rzekłem.

—Nie wielka—odpowiedział, i nie wielka praca, bo to ledwo się trzyma. Jakoż podłożywszy nóż odrzucił klapę i otworzył się kałamarzyk. Pełnym był papierów mniej więcej zbutwiałych, to starym obyczajem związanych w fascykuły, to w plikach składanych, to w osobnych arkuszach i szpargałach.

—Oj dawnoć, dawno, miałem w ręku te mantyki — mówił Chojecki;— rozpatruj że jegomość.

Wziąłem więc leżący na wierzchu sextern:

„*Panie Jezu, daj zdrowie, rozum i ochotę do wszystkiego dobrego,*“ napisano było na pierwszej karcie wielkim i dość kształtnym charakterem, z którego sam piszący zadowolony widać, podpisał mniejszymi literami *»jak sztych!«* dalej pod formatyką pana dyrektora szło niezgrabne pismo ucznia.

—To ręka mego Adasia— rzekł starzec, biorąc sextern;—jak pan major przyjedzie do mnie, pokażę mu to na próbę, a kiedy nie padnie do nóg rodzicom, którzy jego dziecinne pamiątki tak chowają i miłują, to albowiem!.. Ale niech go Bóg błogosławi! ot i mnie zachciało się, aby on aż osobiście nogi moje całował,

kiedy każdy list jego tém się kończy: *„nogi rodziców dobrodziejów całuję”* i te pocałunki dukatami jeszcze przyciska. Stary tak gawędząc, przewracał sextern; patrzył nań czule, zdawało mi się, że go do ust przycisnąć chce... oczy mu łzami zabiegały... O jakże on kochał swojego syna!...

—Ot człek starzeje i uczy się— prawda to, prawda, Mości dobrodzieju!—mówił on dalej, patrząc na sextern, gdy ja fascykuły przerzucał, — patrzaj jego mość: *„Panie Jezu daj zdrowie, rozum i ochotę do wszystkiego dobrego”* a czegoż więcćj potrzeba? Przez całe a długie życie moje naprzykrzam się Panu Bogu rozmaitemi prośbami; codzien co innego, stosownie do okoliczności a nie wiedziałem, że mam pod ręką modlitewkę, która w kilku słowach zawiera wszystko, o co Boga słusznie i warto prosić: *„zdrowie, ro-*

zum i ochota do dobrego.« Proszę uniżenie! a toć do suplikacyi dodaćby należało! Moje serce, porzuć Imość uczyć wnuczków naszych rozmaitych tam swoich antyfonek; niechaj po świętym pacierzu zmówią codziennie tę modlitewkę *i basta!* byle Bóg téj ich prośby wysłuchał, to i na ziemi nie zginą i do nieba trafią. Czy nie pamiętasz Imość, jaki to *Charybdes* (2) uczył Adasia pisać, i taką mu dał formatkę na ciało i duszę?

—A kto ich tam spamięta,—przerwała pani Chojecka mężowi jego staruszk-

(2) *Charybdes* — Nie wiem dla czego, mój dziad (pan Wojski) równie jak pan Chojecki, domowych dyrektorów *Charybdesami* nazywali. Nie było na ówczas w szlacheckich domach *guwernantek*; każda takim sposobem nazywaną byłaby zapewne *Scylla*. Dziś stosowniejszą byłaby ta *denominacya*, bo rodzice, których Bóg potomstwem obojój płci obdarzył, mając w swym domu i *guwernerów* i *guwernantki*, edukacyę swych dzieci właśnie *intra Scyllam et Charybdim* przeprowadzać muszą.

watą gawędkę—mieliśmy ich kilku, ni-meśmy Adasia do Borun do szkół oddali.

Tymczasem ja nie tracąc ani słowa z téj przeciąglój jego pogadanki, rozróżniałem i odkładałem fascykuły i rzekłem:

—Tu jest wiele papierów familijnych pańskich.

—A tak,—rzekł on, rzucając na nie nie-dbałe spójrzenie— to dokumenta dawnéj naszej fortuny; a kiedy nie ma fortuny, na cóż dokumenta? trzeba będzie je spalić.

—Bój się Boga,—zawołałem — może kiedyś panu majorowi lub dzieciom jego przydadzą się.

Starzec machnął ręką.

—Wielka liczba papierów — rzekłem dalej—jest jakiejś familii Wołkanowskich i Sołohubów.

—Odkładaj to jegomość na stronę, bo właśnie to dla pana.

Dobrałem się tak aż do dna kałama-

rzyka, i na dnie jeszcze kilka szpargałów zapisanych i pomazanych znalazłem.

— Oto pismo naszego pokutnika Za-
łuskiego — zawołała pani Chojecka; — po-
znaję je od razu, choć już dawno nie wi-
działam.

— A więc mamy wszystko, czego szu-
kaliśmy — rzekł Chojecki; — a ja patrząc
na stos papierów przedemną leżących,
nie wiedziałem jak sobie poradzić, gdy zga-
dując zakłopotanie moje, przerwał mi za-
cny gospodarz:

— Jeżeli — rzekł on — gościna u nas nie
przykrzy się jegomości dobrodziejowi,
a interes nie nagli, to prosimy otwar-
tém sercem dziś u nas zostać. Barszcz
nasz szlachecki, uważałem, że smako-
wał jegomości, a na wieczerzę da nam
moja imość kurczęta *albowskiem*; potém na
świeżém sianku w odrynie zalokujemy
się na noc, i będę jegomości dobrodzie-

jowi opowiadać to to, to owo o pustelnikach; tymczasem do wieczora jegomość dobrodziej przewertuj te fascykuły, jeżeli chcesz, a czego w nich nie doczytasz, to ja może dopowiem; ot i złożą się historye, których jegomość ciekawym być się zdajesz.

Pani Chojecka uprzejmemi słowy wsparła szczerą prośbę. Za grzech więc miałbym odmówić téj prostéj a serdecznéj gościnności, i odsunąć pocziwą dłoń szlachecką, którą, ku mnie starzec wyciągał; ścisnąłem ją z wdzięcznością, i to było moją odpowiedzią.

Cały zatém czas aż do wieczora zszedł mi na rozpatrywaniu papierów, których treścią był proces, mający znowu być treścią mojej następnej powieści. Ułatwiły mi tę pracę, tak zwane technicznym ówczesnym wyrazem: „*status caus*» to jest, spisane zwięźle i porządnie przejścia

sprawy téj, w różnych jéj epokach i stopniach po rozmaitych sądownictwach, oraz głównejsze wypadki życia prawujących się, z procesem związek mające; tęgie to widać prawnicze głowy układały.

Nakoniec wieczorna pod spichrzem w chłodzie rozmowa z panem Chojeckim, przedłużona aż do świtania w odrynie na świeżém sianku, uzupełniła zapas wiadomości moich, tak o pustelniku bez nazwiska, jako też o przyczynie *mistyczno romantycznój* pokuty *Zaluskiego*, i o *anegdotyczném* pustelnicztwie pana *Jurszy*.

Wołkanowscy.

Szerokich włości dziedzic, znakomitego i starożytnego na Litwie rodu, był pan *Antoni Sołohub*, starosta *Jezieryski* i *Krasneński*; miał on za sobą książniczkę *Radziwiłłównę*, a związek ten blizki z tak potężnym książęcym domem, tém większą

jedną przemożność Sołohubowi, tém go w większą podnosił powagę.

Owocem tego małżeństwa była jedyna córka ich *Helena*, która z wdzięków i z wysokiego urodzenia i z bogactwa rodziców, do najświetniejszego zamażpójścia zdawała się być przeznaczoną, i takiego dla swój ukochanej jedynaczki Sołohubowie się spodziewali.

Główną rezydencją starosty były dobra *Illia*, przez Radziwiłłównę w posagu mu wniesione, natenczas w Oszmiańskim, teraz w Wilejskim, powiecie leżące, w których tém chętniej zamieszkał, że był zawołanym myśliwym; a obszerne lasy *Ilskie* przylegały tuż z jednej strony z głuchemi kilkanastomilowemi ostępami starostwa *Markowskiego*— a z drugiej z puszczą starostwa *Krasneńskiego*, i tam dalej nieprzerwanym prawie ciągiem pod i za *Mińsk*, aż do Radziwiłłowskich, dziś

jeszcze znakomitych, *Smolewickich* i dalej *Borysowskich* lasów — po których wszystkich swobodnie polował Sołohub.

Też same puszcze, jakież one były przed stu laty, gdy niszczący topór tak po nich nie gościł! Rozległe, nieprzebyte gęstwy, kraje niebotycznych maszt wyrosłych na Litewskiej ziemi, a ginących gdzieś w głębiach oceanu na drugiej półkuli świata... Puszczy takich już dziś nie ma; zatém oniemiały trąby i rogi myśliwskie, które wśród nich brzmiały niegdyś codzienie, bo myśliwstwo było natenczas zwykłą rycerską i panów i szlachty zabawą.

Pan Sołohub żył także po pańsku: bałował, polował i sejmikował; a utrzymując godnie, podług tamtoczesnych obyczajów i zwyczajów dostojęństwo imienia swojego i przewagę w publicznych sprawach, nie myślał wcale o domowych,

a tém mniej o córce, którą lubo kochał dusznie, lecz w owym wieku córka wzrastająca i pielegnowana pod okiem matki nie nabawiała ojca nocy bezsennych, ani myśli niespokojnych o jój mądrój edukacyi, lub o jój postanowieniu. Témbardziej panu Sołohubowi, który w żonie swojej miał dla córki wzór doskonały wszelkich cnot niewieścich, i obraz prawdziwej polskiej wysokiego urodzenia *matrony*; a był pewnym, że gdy czas przyjdzie i Marya dojrzeje, po jedynaczkę i bogatą dziedziczkę, w dom jego otwarty, swatowstwa i swaty popłyną zewsząd.

Marya też dojrzewała — i piękne dziecko w piękną rozwinęło się dziewczę, rychlój, aniżeli troskliwa uwaga rodzicielska dostrzegać rychłych postępów téj odmiany mogła. Jest to w naturze rodzicielskiego do dzieci, a szczególniej matek do córek przywiązania, że pieczyoty

z któremi tulą do łona główki miłej swój dziewczynki, równie są tkliwe, rzewne, miękkie i zdrobniałe, że tak powiem, chociaż dziewczynka ta dochodzi już czasu, gdy prócz rodzicielskich pieszczot, powiewny tem kwiatek stalszego potrzebować zaczyna wsparcia, i niespokojném uczuciem, jakby lekkim wiatrem, w tę i ową stronę kołysany, piękną swą wychylając główkę, szukać go i wyglądać się zdaje.

Raz pan Sołohub, w odległej od domu myśliwskiej, bo aż wśród Borysowskich lasów wyprawie, stanął obozem w szlacheckiej okolicy, w tej puszczy osiadłej, i główną tam obrawszy kwaterę, ztamtąd zapuszczał się w knieje, i tam nazad codziennie wracał na noclegi, co tém szczęśliwój dlań się zdarzyło, że szlachta

dostarczała wszelkich dla licznego myśliwstwa potrzeb, hojnie przezeń opłacanych, a pomnażała mu liczbę strzelców. Jeden z nich szczególnie, stary i siwy jak gołąb, ale jeszcze czerstwy, rzeźwy i ochoczy, od razu zaczął réj wodzić całemu myśliwstwu; sam z natury myśliwy, znał on najdokładniej tę, jeszcze i dziś ogromną puszcę, wśród której długi czas przeżył i przepolował; wiedział wszystkie jój knieje i głuche ostępy, i wedle upodobania i woli *Sołohuba*, na każdego zwierza prowadził.

Nieoszacowany Wołkanowski! (tak się bowiem starzec ten nazywał),—wykrzykiwał starosta—i kończył zawsze namawianiem go do służby sobie za łowczego, od czego on wiekiem się wymawiał.

Ale staruszek miał adjutanta; był nim syn jego, Piotrek, lat piętnaście mieć mogący, chłopak przystojnego lica, bystrych i pojętnych oczu, krzepkiéj i widać było

zahartowanėj budowy ciała, bo nie odstępując nigdy tatulka i pracowitejgo, a niekiedy i niebezpieczne podzielając wyprawy, wzmocnił siły nad lata i był prawdziwym wychowawcem natury, która powierzającym się jedynie jēj pieczy, daje, co najlepszego równie ludziom jak zwierzętom dać może — zdrowie.

Na pozór w pół dziki obszarpaniec, podrapany na twarzy, rękach i odzieży — bo bez pamięci darł się przez gęstwiny i krzaki za zwierzyną, którą bił bez żadnėj uwagi, nawet na mecie i strzale samego starosty, porywając się zapamiętale do sztefla na pudłujących, sam nigdy nie pudłując, a zatém nie dając prawa do odwetu. Słowem, na pozór sowizdrzał nieuhamowany, a jednak gdy szło: gdzie? jak? i na jakiego zwierza zapolować? jak zaprowadzić strzel-

ców? jak ich rozstawić zkąd puścić gończe lub ogary?— rada natenczas Piotrka była tak rozważnie, z taką znajomością myśliwskiego rzemiosła i miejsca wymiarowaną, twarz nawet jego, postać i mowa takiej nabierały roztropności, że stary ojciec, posprzeczawszy się nieco, wrzekomo dla utrzymania swój powagi, prowadził jednak obławy po zdaniu syna, i nigdy ani sam się nie zawiódł, ani nadziei Sołohuba nie zmylił.

Pewnego dnia, na rannym myśliwskim odpoczynku, rzekł starosta:— Wiesz co, mój kochany Wołkanowski, gdy sam nie chcesz u mnie zająć funkcyi łowczego, to daj mi tego szubrawca Piotrka.

— Jak to? na łowczego!— zapytał stary zdziwioném okiem patrząc w twarz starosty.

— Tak, tak...— odpowiedział jakając się, zmieszany nieco tym wzrokiem.— Poj-

muje zdziwienie twe, mój panie Samuele; Piotrek jeszcze za młody, a zatém i żywy nadto, ale to się uchodzi, a był w dobrej twojej szkole...

—A wiesz, panie starosto dobrodzieju, czego się on w téj szkole uczy?— rzekł znowu stary, nie zmieniając postaci ni wzroku.

—Nie rozumiem cię, — odpowiedział Sołohub— właśnie zdało mi się, że go na myśliwego z professyi układasz, aby z tego potém chleb jadł.

—Oj, ze wszystkiém co innego, panie dobrodzieju! ze wszystkiém co innego, tylko chcąc to wytłómaczyć panu, nie wiem od czego zacząć?... Czyliżeś pan nigdy nie słyszał na Litwie o Wołkanowskich i ich bratobójczym procesie?

Sołohub wzniosł czoło w górę, przyzywając dawne wspomnienia:— tak, rzekł

potém, tak, słyshałem coś, słyshałem... jeste-
żeś mości panie z téj saméj familii?

—Jam wnuk zabitego— odpowiedział
stary.

—Wnuk zabitego? dla Boga! kiedyż to
się stało?—zawołał Sołohub.

—*Anno 1639*, jutro właśnie 21 7bra
rok setny się zacznie od dnia wykonania
téj zbrodni; i dla tego nam jutro w my-
ślistwie p a s z, bo zabrawszy z sobą Pio-
trka, ostatnią złotówkę poniosę na mszę
żałobną za duszę męczennika.

—Wieleż sam masz lat?—pytał znowu
starosta.

—Siedmdziesiąt cztery, mości dobro-
dzieju.

—A syn tak młody?

—Młody, tak młody, bo gdy z pierw-
szego małżeństwa Pan Bóg pociechy mnie
nie dał, a potém i przyjaciela, z którym
się niemało latek przeżyło, zabrał do swo-

jéj chwały, nie poczuwając się jeszcze grzybem, choć już półszósta z górą krzyżyka liczyłem sobie, powdowiawszy lat kilka, rezolwowałem się znowu na kobierzec. A nuż? myślałem sobie,—da mi Bóg potomka, który krwią pradziada swego okupioną fortunę wywindykuje!... I zda się wysłuchał Bóg prośb moich; urodził mi się ten chłopak... któż wie co go czeka? ale w zamysłach i nadziejach moich na dojeżdżacza sposobić go nie myślę. I dla tego tak sobie w głowie układałem: na szkoły substancyi brak, lecz przypomniawszy, że pod Jezuicką ferulą, nie siedząc *intra asinorum*, nie tylko sam kiedyś się uczył, ale i drugim repetowałem *pensa*, postanowiłem sam być preceptorem mojego Piotrka. I obacz pan dobrodziej, czy na próżno pracowałem? Bóg mu dał pamięć i spryt nadzwyczajny; to nie że sowizdrzał, ale kiedy siądzie nad

książką, to ledwo połowę jemu wytłómaczyć, resztę sam domyśli się i pojmie. Młoda to krew, mości dobrodzieju, prawda—często dla poroszy rzuci książkę pod stół i tydzień w lesie wysiedzi; ale natenczas jestem i ja z nim razem. A tam inna znowu nauka. Przy rozpalonym pniaku starym, opowiedziałem mu i powtórzyłem nie raz, jak lekcję jaką, całą naszą niešťczęśliwą historyę, nauczyłem go nawet długiego procesu naszego, i sposobu jakim go odnowić możnaby było, bo mnie na to sposobu nie stało i ręce opadły, gdy macając niemi po kieszeniach, ani szeląga znaleźć nie mogłem; dawności jednak ziemskiej nie zasypiam, i coraz to manifestik do akt wrzucę. A nakoniec i myśliwstwo, mości dobrodzieju, nie idzie na darmo; niech młody, myślę sobie, z ostróżności i instynktu zwierza uczy się natury ludzkiej; jam się jój uczył z praktyki, ma-

jąc do czynienia z rozmaitymi ludźmi. Oj, daliż mnie oni pensę, dali!... a więc synku, mówię jemu, patrzaj i uważaj: kiedy będziesz na świecie, to jak w kniei gęsto podszytėj:—ty tropisz i ciebie tropią. Ostróźnie nieboże, ostróźnie! bo wpadniesz w samołówki, w siecie, w wilcze doły i od razu zginiesz. Patrzaj jak zwierz roztropnie sobie radzi, jak choć go głód do przynęty ciągnie, instynkt go ostrzega, że to zdrada; jak lis od wiatru zachodzi, gdy strzelca czuje; jak kochany kum wilczy-sko dziesięć razy obejdzie jamę, choć go gaska wabi; a jak przeciwnie, ginie zawsze biedny zajaczek, że nie umie oprzeć się swojemu sercu, i że dalekie pod gonem psów obłożywszy pola, wraca niebacznym do rodzinnej kniei, gdzie znający jego pocziwą naturę czeka nań strzelec...

—Nie spodziewałem się—przerwał Sołohub, pokręcając głową—takiėj filozofii

w myśliwstwie; chłopiec twój musi mieć rozum nad lata, przy takim nauczycielu.

—Oj, gdyby to jemu regularna nauka, mości dobrodzieju!— mówił znowu Wołkanowski;— ale przecież i przy téj jakąś ma, nie zginie na świecie, gdy na nią pamiętać będzie. Bo oprócz téj myśliwskiej morałki, podług której między ludźmi kierować się powinien, umie nadto Boga chwalić, a to grunt—umie czytać regularnie; pisze tak, że i podpisek jaki niepowstydzilby się; a nakoniec wie, że jest szlachcic *ab antiquo*, herbu Radwan, a zatém, że powinien umieć czy pod wicią, czy pod chorągwią, jak na szlachcica przystoi stawać mężnie i bić się serdecznie, do czego także ma ułożoną rękę, a nawet obie. Ot proszę jaśnie wielmożnego pana, niechby którykolwiek z dworzan pańskich stanął z nim. Niech chłopiec wy-

da experiment przed wspaniałą pańską personą!

Sołohub rad z nadarzającą się rozrywki, bo i polowanie w swój rozmaitości ma jednak jednostajność, która jeżeli nie nudzi, to utrudza na koniec;— wyśmieni cie— rzekł— bardzo dobrze, jeżeli tak chcesz.

Héj, Tatura!— zawołał.

Wnet wysunął się z tłumu myśliwych, wśród których właśnie Piotrek gorącą jakąś myśliwską wiódł sprzeczkę, Goliat, można powiedzieć, zwłaszcza w porównaniu z Piotrkiem, słuszny urodą, stosowną tuszą, lat ze czterdzieści mieć mogący, z jedwabną torbą przez ramię, z korde lasem wiszącym od szerokiego, ładunkami naszytego pasa, z gwintówką za plecami, a kapeluszem z palonej skóry na głowie.

—Co J W. pan rozkażesz?— zapytał.

—Cóż mości panie?—rzekł starosta do Wołkanowskiego, wskazując tę figurę.

Stary zmierzwszy od stóp do głowy stojącego przed nim dworaka, po krótkiej rozwadze, kiwnął głową:—Wolaż Pana Boga, zawołał; przypomniawszy historię Dawida, akceptuję mości dobrodzieju!

—Panie Tatura—rzekł starosta—Wołkanowski powiada, że jego Piotrek każdemu z moich dworzan dotrzyma kroku w palcaty; ja wybrałem waści, spróbuj się z nim.

—A cóż to JW. panie—odezwał się tubalnie Tatura—czy mam chłopcu kić mleko pod nosem obetrzeć? wybierz JW. pan którego z młodszych; mnie taki i wstyd będzie bić się z dzieckiem; chybaby już z panem ojcem.

—Prawda—odpowiedział Sołohub—waść i pyszny i poważny; ale cóż, kie-

dy tu idzie o utrzymanie honoru dworu mojego, a waść się chwalisz, żeś gracz i do korda i do kija; dotąd nie zdarzyła się okazyja abyś pokazał mi co umiesz, więc teraz daj młodemu nauczkę.

Wołkanowski tymczasem zawołał syna:—Słuchaj Piotrku,—rzekł mu, poszukaj w lesie smagłych dębinek, i stań w kroku z tym jegomościem, który powiada, że tobie mleko z pod nosa kijem obetrze.

—Co! ten pudlarz?—zawołał rumieniąc się z gniewu chłopiec.—Słuchaj hoholu, stań na ostre, to nim ty mnie mleko obetrzesz, ja ci tę sierść pod nosem ogolę.

—No, no, chłopcze, nie gniewaj się—rzekł starosta, uprzedzając wybuch Tatury, który już najeżył wasy, chcąc jakby przekonać o trudności zgolenia ich;—nie gniewaj się; ja to chcę obaczyć, czy

tak pięknie bijesz się w palcaty, jak się chwali, że cię wyuczył twój ojciec.

— A zatém mam się bić dla zabawy pańskiej?—mówił zdziwiony młodzieniec;— to co innego. On powinien i przez kij skakać kiedy pan każe, bo on jurgieltowy; ale panie ojczy, podług tego co mi o szlachectwie mówiłeś ja bić się nie będę...

—Boś tchórz!—zawołał Tatura.

Jakby go ranił boleśnie, tak podskoczył na te słowa Piotrek, a nie odpowiadając już ani rozumując, a krzycząc tylko w biegu: poczekaj!—poleciał do lasu.

—Twój syn, panie Wołkanowski, harda sztuczka—rzekł starosta—nauczyłeś go pychy, to źle.

—Nie, jaśnie wielmożny panie: pycha

to fe! to grzech śmiertelny, to pierwszy gradus do piekła, a jeszcze nam chudym pacholkom pięknieby ona przystała! Nie uczyłem ja go więc pychy, ale nauczyłem respektować w sobie *honestatem* swego szlacheckiego klejnotu. Przyjdzie może i jemu trzymać się gdzieś pańskiej klamki; uręczam jw-go pana, że w takim razie będzie służył wiernie i poczciwie, że śmiało nadstawiłba za honor swego pryncypała, ale i własnego nie da nikomu na pastwę.

Tymczasem toczyły się dworskie przedrwinki z Tatury, wypraszającego się u starosty od tego pojedynku; czuł on bowiem, że ze zwycięstwa nad dzieckiem nie będzie wielkiej chluby; a nuż w przypadku!!! nie będzie miał gdzie oczu podziać.

—Uwolniłbym cię tém łatwiej—rzekł starosta—że i Piotrek bić się nie życzył,

ale gdyś go tchórzem nazwał, to już nie ma rady; on cię na sucho nie wypuści; patrz, patrz, jaki snop kijów ciągnie z lasu.

Jakoż Piotr kilkanaście dębinek młodych, prostych i równo uciętych przyniósł, a rzucając je przed Taturę na ziemię, rzekł:—no, wybieraj sobie do ręki!

—A wybiorę różgę na błazna,—mówił podejmując kij grubszy Tatura.

—A ja stępel na pudlarza — odrzekł Piotrek, biorąc także dębinę; a rozśmiali się z tych pogrozek wszyscy, i cała myśliwska gromada otoczyła kołem pole popisu.

Za Piotrkiem stanęła szlachta, towarzysze i sąsiedzi Wołkanowskiego, jakby w sekundy i dla dodania rezonu swemu faworytowi i wychowawcowi.

Straszne to figury! łby golone lub łyse; policzki rumiane i pękate; wąsy szorstko nastrzępione, lub suto zwisłe, oczy żywe

i wejrzenie surowe—na nich kurty zamaszyste, borsucze torby, juchtowe szerokie pasy ze sterczącymi w nich rogami z prochem, flinty w ręku... Straszne figury! prawda—i gdybyś w lesie na samotnej drodze spotkał którego niespodzianie: Bandyta! pomyślałbyś strwożony. A jednak pilniejsze nań zwróciwszy oko, od razu upatrzyłbyś w obliczu tém coś takiego, coby cię wnet uspokoiło, coby cię owszem sympatycznie doń skłoniło: jakiś wyraz spokojnego sumienia, dobrej myśli, szczerości i rubasznój swobody. Właśnie jak wewnątrz tak i na twarzach: pozór burzliwy, grunt pocziwy i bezpieczny... Iluż z dzisiejszych malarzy usiłuje odtwarzać te nasze staroświeckie twarze i postacie! ale jakże mało takich, którzyby to sprzeciwieństwo pojmowali, a jeszcze mniej którzyby je uwydatnić potrafili!

Kilkanaście więc takich figur stanęło

za Piotrkiem.— Tymczasem Tatura zdjął z siebie myśliwski moderunek, gwintówkę oddał strzelcowi, podjął łeb i spójrzał w górę, potem zaszedł od słońca, stanął w kroku i uklonił się staroście. Stary frant, chciał tą rewerencyą jakoby dać poznać, że dla tego taką pozycyę obiera, aby tyłem do swego pryncypała nie obrócić się; a w rzeczy szło mu o to, aby Piotra naprzeciw słońca postawić, którego jasne południowe promienie émiłyby mu oczy.

— Ostrzegam pana Tatura— rzekł stary Wołkanowski, — że mój Piotrek na obie ręce bije się.

— Dość mu będzie mojej jednej— odpowiedział dworak.

Tymczasem Piotr spójrzał także w górę i uśmiechnął się; zrozumiał manewr przeciwnika, a obróciwszy się do swój braci



szlachty — dajcież — rzekł — łapy na szczęście.

—No, no—rzekli oni biorąc go i wstrząsając za rękę—no, no, panie Pietrze, po naszymu! po naszymu.

—A to wszystko widzę zuchy — odezwał się starosta do stojącego obok siebie starego Wołkanowskiego.

—A zuchy, zuchy mości dobrodzieju i gracze do kija, a *data occasione* i na ostre; bo u nas co niedziela tyle w okolicy, na ulicach i dziedzińcach nałamiem kijów, że żonki przez cały tydzień mają na czém kaszę gotować.

Stanęli więc naprzeciw siebie rycerze—Piotrek, któremu w tej chwili, wieku, urody i dojrzałości przybywać zdawało się, lewą ręką zasłoniwszy się daszkiem nad oczami od słońca, prawą raźnie się złożył z Taturą.

—Stójcie—zawołał starosta—tak być



nie może; odmieńcie pozycę; Piotrko-
wi słońce dokucza w oczy.

—Nic to panie, nie—odpowiedział Pio-
trek, gdy na to zawołanie starosty Tatu-
ra się zatrzymał;—każdy sobie poradzi;
daléj do roboty.

Raz — dwa — trzy. — Kije się skrzyżo-
wały, bo to każda taka bójka tym o-
brzędem się zaczynała.

—*Hajże! znajże! dotrzymajże!*—krzyknę-
ła niespodzianie, a razem jak indyki, szla-
chta za Piotrem stojąca.

Tatura zmieszał się, spuścił z oka Pio-
tra, a ten śmignął chyłkiem mu pod rę-
kę, i z tyłu po grzbiecie boleśnie prze-
prowadziwszy dębinę:—Sam do słońca
panie majstrze!—krzyknął.

Śmiech powszechny rozległ się.

—Ha zdrajco!.. chłystku!.. pijaku!..—
wrzeszczał Tatura.—Ze złości stracił on

głowę, nazywając pijakiem chłopca, który za życia jeszcze i razu się nie upił.

— Zdrajca, czy nie zdrajca — mówił starosta, śmiejąc się także serdecznie — dość że masz za swoje: *kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada*; chciałeś oćmić chłopca i tym sposobem go splążyć. Otoż zdrada za zdradę, masz wet zawet i popraw się, bo będę cię miał za trzy litery.

Walka więc na chwilę przerwana, poszła dalej z impetem. Tatura kapelusz swój skórzany nasunął na czoło od słońca i zapalczywie nacierać począł; lecz on nie bić się, ale bić chciał: więc kij jego w jednostajnej zawsze dyrekcyi z góry na dół spadał, do czego wysoka statura jego wielce mu dopomagała, i odskakiwał w górę, odbijany pałą przeciwnika, broniącego łba swojego. Ale gdy jednostajny taki atak i obrona przedłużały się

bez skutku, zniecierpliwili się spektatorowie.

— Cóż? czy długo Tatura będziesz drwa rąbał?— zawołał starosta—szalony mi pojedynek; jeden z góry na dół kij spuszcza, a drugi nad głową kij trzyma.

— Héj panie Pietrze!— odezwała się także szlachta, zabiegłszy mu z tyłu.— Hej po naszymu! *Lupu cupu! Cupu lupu!*

Na to wezwanie, Tatura nieumiejący widać zręcznych manewrów, a w siłę swą tylko zaufany, wykręcił młynka nad głową, tak, że aż kij zafurczał w powietrzu, lecz w tejże samej chwili Piotrek, korzystając z odkrycia się jego, podbił mu z dołu kapelusz tak, że odleciał mu z głowy na kilka kroków:— a teraz na gołe łby—krzyknął.

Młynek wietrzny zawiązał w powietrzu, jakby wiatru nie stało, a śmiech i brawa powtórzyły się znowu w około.

— Dość, dość — rzekł, starosta — poznaliśmy gracza i partacza.

— A niechże mnie sto tysięcy diabłów porwie! — wrzasnął Tatura, — jak to dość? ja tego smarkacza na miazgę zbiję — i ze wściekłością rzucił się na Piotra. Ledwo ten miał czas odskoczyć parę susów i stanąć w pozycyi obronnej, bo Tatura chciał go schwycić oburącz i cisnąć na ziemię, a potem kijem okładać, czego by łatwo z potężną swą siłą dokazał; lecz gdy znalazł kij gotowy naprzeciw siebie, musiał znowu kontynuować pojedynek, do którego zemsta go już i wstyd zapalały; zaczęła się więc rzeźwa i szczerza siekanina. Kij Tatury bez pamięci i układu wprawdzie, ale nadzwyczaj silnie i gęsto machany, tém samym, że bez układu, niebezpiecznym był dla Piotra, przyzwyczajonego do porządniejszych i umiejętniejszych, a mniej zawziętych bójek; bronił się wprawdzie i od-

bijał zręcznie i dzielnie, ale wzajemnie atakować nie mógł, chociaż folgując prawej ręce, w lewą nieraz przerzucał dębinę. Szlachta krzykiem dodawała rezonu, i raptem wytknęła się z pod pachy jednego z nich ogromna łysa głowa, z czerwonym nosem i szeroką gębą, a wielkimi wołowemi oczami, jakby łeb upiora z pod pachy wyglądający, i ryknęła okrutnie: *»Hura! rura! Pan Tatura!«* i straszydło nikło. Szlachta tubalnym chórem huknęła: *Rura! rura! pan Tatura* i wrzeszczała na całe gardło, a Tatura zgrzytał zębami i nacierał jeszcze sróżej... wtém smagła dębinka Piotra uderzona potężnie grubszą pałką adwersarza, pęka w połowie... Starosta i wszyscy—stój—krzyknęli—dość! ale Tatura rad z okazji—masz!—rzekł z przy-ciskiem i ciężki raz spuścił na ramie Piotra—ten upadł... ale w tém samém okamgnieniu zachwiał się i rymnął jak dłu-

gi Tatura, bo Piotrek upadając, chwycił go za nogi i pociągnął za sobą, a zerwawszy się rzeźwo, siedział wnet na brzuchu ogłuszonego Tatury i gniótł go z całej swój siły. Wszyscy bili w dłonie na tryumf i starosta razem... a na dobitkę ukazała się znowu z pod pachy straszna głowa upiora i beknęła kozim głosem:

„*I na ogromnym smoku jeździć będziesz.*”

— A to jakiś koncepcista — rzekł śmiejący się starosta.

Tatura wszakże nie dał się długo ciemiężyć, strząśł z siebie swawolnego chłopaka, powstał i zaklinając się szalenie, biegł zanim... lecz zastąpiła mu drogę szlachta, a starosta jednym słowem wstrzymał zawziętego *Goliata*. Pohamować jednak nie mógł ani jego krnąbrych odgrazanek, ani szlachty od drażniących go okrzyków: *hura! rura! pan Tatura!* i podobnych temu conceptów mniej więcej

dowcipnych i gorzkich, któremi dopiekał mu nieustanie ów jakiś upiór utrapiony. Zresztą był pewnym, że Tatura, skonfundowany i zwyciężony od jednego, nie porwie się na kilkunastu, dozwolił zatem szumić humorowi szlacheckiemu, podnieconemu wprzód jeszcze kilkakrotném pogrzebowém; lecz zainteresowany tém bardziej zręcznością i roztropnością młodzieńca, a w ojcu poznając człowieka nie tak pospolitego, jak go był z pierwszego wejrzenia osądził: — Panie Wołkanski — rzekł — przyznaję żeś i głowę i rękę syna sposobił na to, aby kiedyś z tych lasów na świat wyszedłszy, umiał ręką bronić głowy, a głową kierować rękę. Dobrze to jest i po szlachecku; lecz radbym jeszcze wiedzieć tę historję waszego brato-bójczego, jak mi powiedziałeś processu; jeżeli więc nie masz nic przeciw temu, to mi ją opowiedz.

— Nie mam nic przeciw temu, ale nie mam i czasu, bo to nie dwa, ani trzy słowa, a pan dobrodziej jutro pono masz nas opuścić.

— Nie, mój kochany Wołkanowski, Piotrek twój powiedział mi, że wie ostęp, w którym, znajdziemy rysiów.

— Ho! wymówił się błazen—rzekł kręcąc głową stary—toż widać pokochał pana, kiedy nawet rysiów wydał.

— Nie straci na tém—rzekł Sołohub... lecz postrzegłszy że Wołkanowski na te słowa znowu zdziwioném okiem pogląda:—ale nim co będzie—dodał—tymczasem zrobmy tak: Idźmy wraz do domu, dziś mi opowiesz swoje dzieje, jutro waćpan z synem na exekwie pojedziesz, a my odpoczniemy sobie, bo i ludzie i psy codzienną pracą zmordowane; a pojutrze za panem Piotrem na rysie! Héj, pojezdnego!

Sześć trąbek zabrzmiało wnet rozgłośném echem, tak miłém myśliwemu uchu, i cała gromada wesoło i gwarno pociągnęła do okolicy, w której się wkrótce wygodnie roztasowała.

Lat sto nazad.

Kiedy po rannych fatygach wypoczął już sobie starosta, a krótki dzień wrześniowy gdy już w szarą tonął godzinie, w schludnej izbie, którą on sobie za kwatere wybrał, zajaśniało kilka świeczników, i rozkazał Sołohub prosić do siebie Wołkanowskiego.

Nie długo dając na się oczekiwać, wszedł stary, uginając się pod ciężarem pękatego worka, i kilkadziesiąt plik papierów wytrząsł zeń pod nogi staroście.

—Co to jest, Mości panie?— zawołał on zdziwiony.

—To mój ciężar, który dźwigam od

młodości i dźwigałbym aż dotąd, gdyby bieda i ubóstwo gorszym mię jeszcze nie nacisnęło, tak, że już tamtemu nie podołam, a prosto mówiąc, to cały nasz proceder w dokumentach, które jaśnie wielmożnemu panu czytać będę.

— A bój się Boga, panie bracie, nie skończym i za tydzień! zresztą, anim ja wasz sędzia anim adwokat. Opowiedz mi całe to zdarzenie *summatim*; wszakże wiedzieć musisz wszelkie szczegóły i okoliczności; a nuż w czémkolwiek będę mógł być wam użytecznym?

— Ale bo widzisz, panie starosto do-brodzieju, — mówił Wołkanowski, podejmując niektóre fascykuly z ziemi i kładąc je na stole; — muszę niektóre przynajmniej okazać JW. panu, na utwierdzenie prawdy tego, co opowiadać będę.

Oto naprzykład dowód szlacheckiej rodowitości naszej; *Laudum* województwa

Sandomirskiego: „My rady, dygnitarze, urzędnicy i wszystkie rycerstwo województwa Sandomirskiego; którzyśmy do Opatowa na sejmik elekcyi deputackiej, w dzień dzisiejszy, w poniedziałek po narodzeniu Najświętszej Panny Maryi, to jest dziesiątego dnia września, roku Pańskiego 1635, zgromadzili (1).

—Po co panie bracie — przerwał starosta — ślepisz przy świecach stare swe oczy? mów swojemi słowami.

—Oho, panie dobrodzieju, ja to na pamięć umiem, bo to *basis et fundamentum* naszego tu zażycia się; bez tego Litwini przepędziliby mnie gdzie pieprz rośnie! tak jak dziada mego przepędzić chcieli, póki im tego autentyku nie przywiózł. Jest to więc *testimonium* całego koła rycerskiego województwa Sandomirskiego,

(1) Z oryginału.

przed którym dziad mój Stanisław, z małych i wielkich *Wolkanów* (1) *Wolkanowski*, nobilitacyę swoją i z miecza i z kądzieli, i przez dziady i przez baby, tak stoi w tém piśmie panie dobrodzieju, publicznie dedukował i dowiódł, że był odwiecznym obywatelem tego województwa, i powiatu Chęcińskiego.— Przyparz się JW. pan i przeczytaj, jakie to przezacne imiona akt ten podpisały (2) i stwierdziły.

Sołohub, przypatrując się tym przedstoletnim natenczas, a dziś przed dwustoletnim z górą podpisom:— ale cóż powodo-

(1) Jeżeliby książka ta dostała się w Sandomierskie, to prosiłbym czytelnika o wiadomość, czy dotąd w powiecie Chęcińskim istnieją *Wolkany*?

(2) Gdy wpadnie do rąk naszych papier jaki z gromadnemi podpisami przodków naszych, myśl przywykła do zagłębiania się w przeszłość, wnet ożywia całe to grono, gości w niém, słyszy ich mowy, obcuje z niemi i przywyka do towarzystwa, w którym się zagrobem kiedyś pomieścić ma. Pod warunkiem takiej tylko-

wało— zapytał— dziada twego do szukania i wyjednania sobie tego *testimonium*?

Otoż na to pańskie zapytanie, potrzeba już regularnie zacząć opowiadać naszą historję.

Wołkanowscy od antenatów żyli w Sandomierskim w dobrach swoich, małych i wielkich Wołkanach—ale z czasem roz-

że tak powiem *hallucynacyi*, autor odtwarzać i opisywać może osoby, obyczaje i obrazy przeszłości: chwytane pojedynczo wzory nigdy zajmującej i prawdziwej nie złożą całości.—Takiego stanu doświadczyłem i ja patrząc na to poważne sejmikowe koło, w Kollegiacie Opatowskiej (tak wyraża laudum) zebrane, z Niesieckim w rękę wskresilem prawie wszystkich mężów tam sejmujących i podpisanych na takowem laudum, Janowi Wołkanowskiemu daném; każdego po godności i honorze, *de nomine et cognomine* nazwać mogłem i każdemu submittować się. Owoż niektóre z nich:

Stanisław Pękosławski, Marszałek koła rycerskiego, starosta sandomirski: mąż rycerski i waleczny. Gdy się król Stefan na uskromienie Gdańszczanów z wojskiem wybierał, przełożył go nad rotą pieszą konną; a widząc w nim nielekliwe serce, latarnię szanćcami opasaną straży jego powierzył etc.

rodzeni... tu stary jąkał się, i zdawał się szukać stosownego wyrazu— i co gorsza...

—Cóż?— rzekł starosta.

—Niezgodni... no, niezgodni panie do-brodzieju.

(Niesiecki Tom. 7, fol. 265). Godnym więc był Stanisław Pękosławski zaszczytu przewodniczenia kołu rycerskiemu.

Ale przeciskam się przez tłumy do pana *Mikołaja Kochanowskiego*, stolnika sendomirskiego; tak się podpisał i tak go Niesiecki mieni. (Tom 5-ty, fol. 140) Brat to więc Jana, już natenczas nieżyjącego; przy nim stoi dwóch krewnych zapewne, o których Niesiecki nie wspomina, Hrehory i Adam Kochanowscy. Sympatyczne to imię, a gdziekolwiek z nié m spotkać się zdarzy, serce żywiej bić zaczyna.

Andrzej Morsztyn z Raciborza, tak się podpisał, i tak go Niesiecki mianuje (Tom 6, fol. 469); najprzód stolnik sendomirski, poseł na sejm brzeski 1653, deputowany do Konstytucyi, potem Referendarz koronny, starosta kowalski, zawichowski i wartski;znaczony do traktowania o pokój z W. Ks. Moskiewskim, wziął nakoniec w roku 1668 podskarbstwo W. K. i starostwo tuchalskie, z którym tytułem jeździł w poselstwie do Francyi, do Rzeszy Niemieckiej, do Rzymu. Fundował OO. Bonifratrów w Warszawie etc. Mąż to znakomity w dziejach naszych.

Złgniew z Oleśnice Oleśnicki, starosta opoczyński, tak się podpisał, i tak go Niesiecki mieni, (Tom 7, fol. 82; syn

— Cóż w tém osobliwego, żeś wymówić nie chciał? *Rara concordia fratrum*: to w przysłowie nawet weszło.

— Oh bo panie dobrodziej, ta niezgoda krwią bodaj była zmazana... Nie wiem jak to było—bo i ojciec mój nie chciał mi nigdy tego dokładnie opowie-

Mikołaja i Zofii Lubomirskiej, kasztelan wileński; fundował kościół w Tarnowie.

Jan z Oleśnicy Oleśnicki, W. lubelski; tak się podpisał brat poprzedzającego. Niesiecki ojca ich Mikołaja mianuje wojewodą lubelskim. Litera więc W. znaczyć może wojewodzie.

A. (Abraham) *Gołuchowski*, starosta stężycki i wileński; tak się w skróceniu podpisał, i tak go Niesiecki (Tom 4, fol. 176) mieni; w peregrynacyi do cudzych krajów, języków niemieckiego, francuzkiego i włoskiego się nauczył, w Lorecie herezyi się wyprzysiągł; podczas *interregnum* rotmistrzował województwu Sandomirskiemu, chorągiew okrytą swoim sumptem wystawiwszy na obronę ojczyzny; posłował często na różne sejmy, jako 1631, zkąd był deputowany do kwarty Rawskiej, i 1633 i 1641, do traktatów o pokój ze Szwedami etc.; umarł 1647.

Wojciech z Brzezia Brzeski, starosta uijski, (Niesiecki Tom 2. fol. 337).

Jan i Zygmunt Wyszkwoscy. (Niesiecki Tom 9, fol. 463)

dzieć; tylko wznosił oczy do nieba i błagał przebaczenia boskiego dla całej naszej rodziny — coś to bodaj na pradzia-

Adrzej Moskorzewski z Moskorzewa, (Niesiecki Tom 6. 483); komisarz do granic do Węgier 1637.

Seweryn Lipowski z Lipowa, (Niesiecki Tom 6, fol. 107); żył 1636, a zatem tenże sam rok sejmiku w Opatowie; jest jego nagrobek w kościele OO. Bernardynów w Sandomierzu i żony jego Budzińskiej, z herbami Ciolek i Janina, położony roku 1646.

Mikołaj Dębiński z Dębna, (Niesiecki Tom 3, fol. 320), syn Gabryela i księżnej Zbarazkiej a wnuk Jędrzeja, który żył lat 120 i żyłby dłużej, ale nadarzone powietrze zabrało go do grobu.

Piotr Opocki, (Niesiecki (Tom 7, fol. 122); w województwie Sandomirskim, z wielkiej Opoki Opocki; najprzód podczasy lubelski, poseł na sejm 1661, potem podwojewodzie sandomierski, fundował w Sandomierzu OO. Reformatorów.

Daniel M. (Michał) Świrski, wójski lwowski. tak się podpisał, (Niesiecki Tom 8 fol. 585), syn Stanisława stolnika lwowskiego.

I wielu innych. Praca takiego odszukiwania i zaznajmiania się razem, miłą jest i nader zajmującą. Autentyk tego *laudum* Wolkanowskich odsyłam do Warszawy, hrabiemu Aleksandrowi Przeddzieckiemu, a nuż tam się znajdzie jaki Sandomierzanin, który autograf podpisu swojego przodka ujrzy między sejmującymi w Opatowie 1636 roku.

dach naszych ciąży... niedaj Boże aby się to na prawnukach skrupiło!...

No, więc tak; rozrodzeni i niezgodni, rozsypali się po różnych stronach: a jeden z nich, Stanisław Janowicz Wołkanowski oparł się aż tu w województwie Mińskiem i stał się dziedzicem *Sieliszcza*.

Gdzieś tam o mil kilka od Illii jest jakieś *Sieliszcze*—rzekł starosta.

—Też same to, też same, panie dobrodzieju, i gdyby sprawiedliwość święta była na świecie, byłbym o mil kilka sąsiadem pańskim.

Ten pan Stanisław Wołkanowski był to człek wojskowy: za królów Zygmunta III-go i jego syna Władysława IV-go, przypowiadano go rotmistrzem to pieszym to kozackim; i zawsze z pocztem sowitym stawał na wyprawach (1). Lecz z téj przy-

(1) List przypowiedni Zygmunta III. r. MDCX sierpnia XXIV na sto kozaków. Autentyk.

czyny, nie mogąc dopilnować ani fortuny, ani gospodarstwa, udał się do gniazda imienia swego w Sandomirskie, i tam namówił dziada mego, a krewnego swego, zawołanego gospodarza, aby sprzedawszy swój folwark przeniósł się do Litwy, a po staremu do Sieliszcza, gdzie mu do wiernych rąk chciał spuścić całą swą substancję, a nadto dobrą dzierżawą ukontentować.

Tak się i stało: dziad mój, spieniężwszy wszystko co miał, za część kapitału wziął w zastawę folwark od Sieliszcza, a resztę oddał na prowizję tak życzliwemu krewniakowi, i zajął się wprowadzeniem do jego gospodarki ładu, którego dotąd ani za grosz nie było.

Z początku szło wszystko dobrze i coraz

List otwarty na 200 piechoty Władysława IV
r. MDXXXIV stycznia XX. Autentyk.

ku lepszemu, bo pan rotmistrz w szczerych intencjach sprowadziwszy mojego dziada, zawierzył mu zupełnie; ale jak tylko on wyruszył na wyprawę, małżonka jego, bardzo fertyczna imość, sama wnet rzadzić wszystkiém postanowiła, i z pomocą dwóch synalów, już dobrych wyrostków, wypędziła mojego dziada z Sieliszcza. Jeszcze to mniejsza było: osiadł on bowiem w swojej zastawie i nie dbał o panią rotmistrzową; gadał jej prawdę bez ogródki, że Sieliszcze pod jej rządem pójdzie świdrem, a mąż, powróciwszy do domu, nie będzie miał za co podziękować Imości dobrodziejce, której bezładem i rozrzutnością fortunka piękna ginęła marnie— więc i o swój kapitalik kołatać począł, co tém bardziej rozgniewało babę, tak, że usadziła się na jego zgubę. Jakoż, gdy mąż wrócił do domu, tyle mu wexy i nienawiści nakładła do serca na mojego dziada, że już

sposobu pojednania się nie było, a rotmistrz wypędzić go z zastawy bez zwrótu summy zadeklarował. Mój dziad zaś, pragnąc co najrychlej wyrwać się z téj otchłani i wrócić w Sandomierskie, pozwał rotmistrza o zwrot wszystkich swoich pieniędzy.

— Ktoś tam powiedział, panie dobrodzieju— mówił dalej Wołkanowski,— że dwóch jakicheis Mości panów, prawując się z sobą, na jednym wózku do sądu jechali— to nie prawda Mości dobrodzieju, to dali - Bóg nie prawda. Albo powiadają: »przyjaźń przyjaźnią, interes interesem.« Interes i przyjaźń, to jak ogień i woda: kiedy jedno z drugiem zbliżysz, to albo ogień tak wodę podpali, że wnet zawrze, albo woda zagasi ogień; ale gdyby ogień

w wodzie palił się, to tego jak świat światem nie było i nie będzie, tak, jak nie było i nie będzie, aby razem i kochać się i kłócić się.

— No, ale cóż dalej? — przerwał starosta.

— Dalej, panie dobrodzieju, zaczęła się wojna, do której się wziął rotmistrz najprzód, zadając dziadowi memu *imparitatem*, wypierając się wszelkiego z nim pokrewieństwa, owszem dowodząc mu samozwaństwa. że się podsztył pod jego nazwisko, a był *de radice* plebejusz. Uczynił to w nadziei, że wiekiem podeszły dziad mój nie zdąży w dalekie koronne strony po dowody swój rodowitości, której gdy nie dowiedzie, pozbędzie się wszelkich praw i prerogatyw szlacheckich i szczęśliwym będzie, gdy go choć z duszą z Litwy wypuszczą.

Ale się kaducznie omylił, bo wzięwszy

Pana Boga na pomoc, dziadek mój ruszył bez zwłoki do swego gniazda w Sandomierskie, i z tamtąd przywiózł ten oto dokument, nieoszacowanėj waluty, który JW. pan dobrodziej w ręku trzymasz, a oprzysięgłszy go jeszcze na trybunale w Mińsku, nie tylko się nim jak tarczą od persekucyi zasłonił, ale jeszcze dopominał się o nawiązki, i aby według Statutu potwarca pod ławą jako pies, potwarz od-szczekał.

Nie chciało się panu rotmistrzowi tego *hau! hau!* z pod ławy; bo prawdę mówiąc, ten honor pani rotmistrzowėj właściwiej by należał, jako skrytėj do wszystkiego złego tentatorce. A tu nie było rady, trzeba było i pieniądze i dobrą sławę wrócić nienawistnemu adwersarzowi, więc go inaczej pozbyć nie mogąc, zabić postanowili.

Nizeli jednak te niegodziwe zamysły

doszły do skutku, rotmistrz umarł, i dobrze zrobił, bo nie poniósł na sobie przed sąd Boski kryminału, do jakiego wiodła go zawzięta baba, a pewnie diabeł przez nią, bo wiadomo, że gdzie on sam nie może, tam babę podsadzi. Możeby zresztą rotmistrz i nie dopuścił się takiej zbrodni, na którą Mości dohrodzieju *horret animus*, zwłaszcza człowieka rycerskiego, jakim on był; ale wdówka nie skrupulatka, i z godnym synalem swoim Franciszkiem Wołkanowskim, ułożyła plan, który dziada mego pewnie do nieba, jak męczennika, a ich oboje do piekła zawiódł.

Przechwałki częste, jakie zalawszy sobie w pałkę i buszując po sąsiedztwie, ten Franciszek rozpuszczał, doszły nakoniec do ucha dziada mego; więc on wając bezpieczeństwo życia i zdrowia swego, list zaręczny na 10,000 kóp groszy, przeciw tym odgrózkom wyniósł, ale im

bardziej prawną obrzucał ich siecią, tém większą w ich tylko pobudzał zawziętość, i nakoniec, krótko mówiąc, napadł Franciszek z dobraną bandą łotrów pijanych na dom jego, i bezbronnego okrutnie zabił... a nie dając nawet czasu, aby po-
 czeiwie i po chrześcijańsku pogrześć go, trupa na wóz włożyć kazał, i przy tym samym wozie obumarłą prawie wdowę z dziećmi wygnał za wrota (1).

— Cóż to za zbrodnia!— zawołał zdziwiony i porywając się z miejsca starosta— w tatarskim, barbarzyńskim narodzie nie podobnego nie słyszano!— Cóż dalej, cóż dalej, uszłoż to jemu na sucho? Nie byłoż natenczas prawa? nie było trybunału na ukaranie zabójcy? nie byłoż

(1) Cała ta historia Wołkanowskich jest prawdziwą.

litościwych ludzi, którzyby nieszczęśliwą wdowę wsparli?.. byłże i jest Bóg na niebie!..

— Jest, panie dobrodzieju, jest! i doznała babka nasza Jego opieki. On poczciwych ludzi natchnął miłosierdziem, oni przygarnęli biedną sierotę, akklamowali zabójcę tak, że nigdzie pokazać się nie mógł, i dali sposób dochodzenia na nim sprawiedliwości i kary.

— Otóż tu,— mówił dalej starzec biorąc w rękę papiery—okażę JW. panu od początku do końca *de data et actu*, cały proceder, w którym stanęły naprzeciw sobie dwie wdowy: jedna po zabitym mężu, matka osieroconych dzieci, wołająca sprawiedliwości; druga, matka zabójcy, chcąca ratować siebie i syna. Jedna z niewinnością i łzami, druga z zakamieniałem sercem i piekielną chytrąścią; słowem, walka to anioła z szatanem. Wy-

grana pewnie w sądzie Boskim, ale w ludzkim... obaczy jegomość dobrodziej.

Więc najprzód pozew...

— Nie, mój Mości panie — rzekł starosta — jużem cię prosił, abys wywodów prawnych zaniechał. Opowiadaj jeśliś łaskaw same ostateczne ewenta, których bardzo ciekawy jestem; wszakże słowom twym wierzę i z nich dostatecznie się przekonywam, że i przed nami nie było lepiej niż teraz, że zawsze na dwoje między ludźmi: zli i dobrzy, prześladowani i prześladowcy.

— Ależ, bo to bez dowodów trudno uwierzyć takim *exorbitancyom*, jakie opowiadać mam. Po przewidzionych zaś inkwizycjach *in loco delicti*, a w których zbrodnia odkryła się najoczywiściej, rzecz się wytoczyła przed trybunał w Mińsku, na który gdy grubą żałobą okryta weszła babka moja, prowadząc synka i

córeczkę za ręce, a majestatem sądu strwożona i z przytomności zbita, sama nie wiedząc co czyni, padła na kolana i żałośnie płakać zaczęła, całe prześwietne koło deputatów powstało z miejsca, otoczyło ją i pocieszało niebogę. Po takim wstępie poznał obrońca pani rotmistrzowej, że mu będzie trudna rada, że gdy zaprzeczyć oczywistój zbrodni nie może, to i bronić jej trudno: więc gdy obmowy rzucone przezeń prawie wszystkim deputatom nie pomogły, a trybunał brał się do *scrutinium*, on w insze uderzył. Złożył przed sądem listy przypowiednie królów, i w nich zalety męztwu i posługom oddanym krajowi przez Stanisława Wołkanowskiego, ojca zabójcy. (1) »Sądzić, rzekł on, sy-
na na gardło, podług żądania nielitości-
wej wdowy, jest to posłać go z oznajmie-

(1) Listy takowe mam przed sobą.



niem do ojca, jak nagrodzone są jego ciężkie fatygi i jego krew dla ojczyzny toczona.« Takim argumentem z ojcowskich zasług ujął i skruszył sędziów tak, że oni chcąc pogodzić surowość nad synem, ze względami na pamięć ojca, której hańbą okrywać nie śmieli, tém bardziej, że winowajca tułał się już nie wiadomo gdzie, a zatém że go miecz katowski dosięgnąć nie mógł, na wieczną go banicję razem z matką wskazali, a za czworąką głów-szczyznę, i za listem owym zaręcznym, który dziad mój wyniósł, warując bezpieczeństwo swego żywota, wszystkiego ze wszystkiem, piętnaście tysięcy kóp groszy, na wszelkiej substancyi banity, dla wdowy i dzieci zabitego przysądzili (1). Babka więc moja, opublikowawszy wedle prawa banicję, jako okup krwi męża, zajęła Sieliszcze.

(1) Dekret 1639.

— *Tandem bona causa triumphat*, — zawołał starosta, odetchnąwszy głęboko, jakby mu ciężar spadł z piersi. — No, to i koniec procederu.

— Oho! ze złymi ludźmi, mój dobrodzieju, chyba na sądnym dniu końca procederu i tryumfu nad nimi dojdziesz; ale w prawach i statutach ludzkich zawsze się znajdzie jakaś luka, przez którą wykręt, jak złodziej do zamkniętej komory, wciśnie się i wszystko do góry nogami przewróci. Ledwo moja babka przesiedziała spokojnie dwa lata, gdy niejaki pan Siekierski ogłosił się właścicielem Sieliszcza, i wyjechał z prawem nań przedażnym od nieboszczyka rotmistrza jemu, rokiem jakoby przed śmiercią wydanym: i ledwo moja babka zaczęła naprzeciw takowym podkopom i niegodziwym falsyfikacyom składać rady i porady, nie wiedząc wcale co się to święci? i jakim

kaducznym fortem zajmując ją miano, gdy ten pan Siekierski, zaprodukowałszy tylko publicznie swe prawo, cedował je wnet XX. Karmelitom Głębockim; ot już i trudniejsza byłaby sprawa z bogatym klasztorem, niż z jednym jakimś tam *Cieciurkiem*.— Po zajęciu Sieliszcza przez babkę moją, o pani rotmistrzowej ani słychać nie było: rozumiano powszechnie, że jako banitka, zakopała się w jakimś klasztorze, i syn jej także że gdzieś kapciem głowę nakrył, upamiętał się i za swój grzech ciężki pokutuje; bo żaden naówczas banita, a nawet i teraz Mości dobrodzieju, nie ulega tak dalece wyrokowi wygnania, żeby aż kraj opuszczał, i jeżeli cicho siedział, nikt go nie zaczepiał ani prześladował. — Ale i Karmelici nie chcieli widać wdawać się publicznie w tak haniebną robotę, chociaż ręce ku temu przyłożyli, i chociaż wieść była, że

Franciszek banita u nich się przechowywał i ich habitem okryty chodził; założyli więc oni tylko ze swego imienia i stanu, jakby drugą rappe, którą nam potem przebywać trzeba było. Zatem sprzedają oni Sieliszcze jakiemuś Kuncewiczowi, tęgemu widać prawnikowi, a złączonemu szeroką parentelą z bardzo możnemi imionami na Litwie i na Rusi. Takie sprzedaże mogłyby i przez dziesięć rąk przechodzić; i cóżby ztąd dobrego wyniknąć mogło dla rotmistrzowej, gdyby nawet który z nabywców wyforował z Sieliszcza moją babkę z dorastającym już jej synem, a moim ojcem, Adamem Wołkanowskim; ale był to widać plan od początku już ułożony, a do tego zmierzający, aby *banitka* wleźć mogła nazad do fortuny niegdyś swojej, lecz aby w procesie ztąd koniecznie wyniknąć mającym, nazwiska jej, ani jej osoby nie było.

— A tegoż jakim sposobem dokazać mogła?— zapytał starosta.

— Ot bardzo łatwo, chociaż zrazu nikt się nie domyśli! Żeni się z nią *Kuncewicz*, i jako nabywca *Sieliszcza* od Karmelitów, zajeżdża *violenter* ten majątek, i moją babkę z synem wypędza. Znowu więc biedna wychodzi ubogo za też same wrota, przez które przed kilką laty wyszła za trupem męża swego...

Stary zamilkł, był mocno wzruszonym, a starosta oparłszy głowę na rękę, patrzył we zwilżoną jego żrenicę.

— Cóż się potem stało?— zapytał znowu starosta.

— Ha, nie pozwalasz pan dobrodziej produkować sobie nastąłych potem z kolei judykatów, przez które babka moja

przechodzić musiała, szukając sprawiedliwości, i najdowała ją prawie zawsze; ale cóż z tego? kiedy sprawiedliwość swoje, a złość ludzka swoje. Zamiast jednego procederu o wygnanie z *Sieliszcza* i *wiolencyą* z *Kuncewiczem*, trzy razem wynikły sprawy; bo on pozwany, przypozwał Karmelitów, a Karmelici *Ciecierskiego*; któż ich wszystkich mógł zebrać razem? Ciecieruk do takiej budy gdzieś skrył się, że go ani słyszeć nie było. Karmelici bez niego, jako swego prawodawcy, protestowali akto-
rat i odrzekli się wszystkiego; a Kuncewicz po-
dług przysłowia: *beatus qui tenet*, napiął i poruszył wszystkie sprężyny swego pie-
niactwa, i licznych swych adherentów
familijnych, aby otrzymując dekreta na-
przeciw dekreto-
m, godzić na zwłokę, któ-
rą babka moja, bez sposobu i bez ża-
danych tu na Litwie związków, gdyż była

Sandomierzanką, *de domo Grabowska*, dotrzymać nie mogła.

A wszakże Bóg jój nie opuścił; udała się ona do swojej i mężowskiej familii, właśnie tamże w Sandomirskie. Pamiętali tam jeszcze dobrze, gdy mąż jój po swój wywód na sejmik do Opatowa przyjeżdżał; żyli jeszcze owi dygnitarze i urzędnicy, którzy mu to zacne testimonium podpisali. Im więc wszystkim gdy opowiedziała śmierć męża swojego, swój stan nieszczęśliwy, i swój proceder, nie tylko hojny jój złożyli supplement, tak, że było o czém i za czém borukać się z panem Kuncewiczem, ale jeszcze mądre koronne głowy dodały jój rad, za którymi idąc, gdy wróciła tutaj, z inną a niespodziewaną beczką zaczęła.

Zostawiwszy bowiem na boku i Ciecieruka i Karmelitów a nawet i Kuncewicza, stanęła w tymże samym Mińskim

trybunale, który pierwszy dekret w téj sprawie ferował i upomniała się o głowę *banitki*, która złamawszy *auctoritatem juris*, okazała się oczewiście w kraju i żyła w zajechniej gwałtownie fortunie — Sprawa gardłowa, panie dobrodzieju! nie żarty!

Trybunał, przekonany dowodnie, że pani Kuncewiczowa jest to taż sama rotmistrzowa Wołkanowska, współniczka z synem swoim Franciszkiem zabójstwa dziada mojego, i razem z synem wskazana na wieczną banicyę, nakazał *kaptiwacyę* (1) jęj osoby; a co już nieodmienie szło za tém, że gdyby ująć się dała, głowę musiałaby nałożyć. Wyrok ten wykonano ściśle; urzędnik ziemski, *cum brachio militare* (2) udał się do Sieliszcza, a pan Kuncewicz sam mu otworzył bramę; kwe-

(1) *Kaptiwacya*. — Pojmanie.

(2) Z pomocą wojskową.

rendowano więc po wszystkich kątach i nie wynajdziono *banitki*.

Tak na gorącym razie uległszy wrzekomom prawu i wyparłszy się wiadomości nawet o swój żonie, a nie należąc sam do kryminalnego procesu, osiedział się jeszcze w Sieliszczu. Jednakże ściślej strzegł swego domu, obił ostrokołem dwór cały, zarygłował bramę i dobrze wprzód rozpytywał kto jedzie, nim ją otworzył; a lubo ogłosił był, że żona jego przed rewizją, tajemnie w nocy nie wiadomo gdzie ujechała, i że te ostrożności czynił, lękając się zajazdu babki mojej, uzyskującej coraz nowe na nim konwikcye — domyślano się jednak, że w obszernym swym pałacu ukrywał gdzieś *banitkę*, bo doń nie wszystkim nawet służebnikom swoim wchodzić dozwalał.

Nie długo to jednak trwało, bo bez kluczów, a swoją kosą jak wytrychem śmierć

odparła rygle i weszła tam do nich ta instygatorka, Mości dobrodzieju, przed którą nikt na świecie nie obwaruje się. Tajemnica zatém odkryła się, bo czy to z wielkiej aprensyi, czy z ciężkiej żelozyi i passyi, dość, że zaklęta tam gdzieś baba, zaniemógłszy z rana, wieczorem już konała, i przełęczniony mąż nie mógł jęj ukryć, bo straszny ryk konającój rozchodził się nietylko po budynku całym, ale i po całym dworze, a wszyscy ze strachem uciekali i zatykali sobie uszy. Nie było czasu przybyć ani doktorowi, ani kapłanowi: *qualis vita et mors ita* (1), a więc po takim ciężkiem konaniu wyjechała pani rotmistrzowa w trumnie, przez też same znowu fatalne wrota, przez które trupa zabitego przed laty dziada mego wyprawiała.

(1) Jakie życie, taka śmierć.

Wkrótce potém dziwne rzeczy opowiadano, co się tam działo! Kuncewicz wyniósł się z budynku na folwark, nie mogąc dotrzymać placu ustawnym co noc strachom i szatańskim korowodom, na których żoneczka jego réj jakoby wiodła; widywano też niekiedy jakiegoś tam mnicha, zjawiacego się ciemnymi wieczorami we dworze, wsuwającego się do komnaty Kuncewicza, na jakieś tajemne konferencye, o których Kuncewicz nikomu nie gadał, blakającego się po opustoszałym pałacu i niknącego niewidomie, tak jak przybywał. Wszyscy zgadywali, że to był ów Wołkanowski, pokutujący za zabójstwo mojego dziada; zgodzić się tylko i dojść nie mogli, czy on żywy czy umarły chodzi, a nikt doń przystąpić ani zbliżyć się nie śmiał.

W takiém nieustanném otumanieniu żyjąc Kuncewicz, a odwiedzany przez tych

nieproszonych gości, wpadł w głęboką melancholiję, lękał się ludzi, lękał się własnego cienia, zaniedbał gospodarkę i procedera. Łatwiej więc iść poczęła i nasza z nim rozprawa, i przyszlaby pewnie do końca, gdyby także i Kuncewicza na sąd Boski nie zaapelowano wkrótce; poszedł on w tropy swojej żony, tylko że w lepsze uprowidował się testimonia niżeli ona, bo po chrześcijańsku wypowiedawszy, i opatrzony świętym wijatykiem, spokojnie umarł.

—No, — rzekł znowu Sołohub — to i skończona rzecz; wjechaliście zatém do Sieliszcza, bo nie było już ktoby wam tego bronił.

—Oj był, był taki, i nie jeden jeszcze panie dobrodzieju. *Sokolińscy, Jeleńscy i Korsakowie*, sukcesorowie *Kuncewicza*, zajęli wraz po jego skonaniu fortunę i stanęli na przeciw nam, właśnie jakby w o-

wych fatalnych wrotach, przez które już tyle żywych i umarłych wyjechało.

—Znowu więc process — rzekł zniecierpliwiony, a chcący skrócić jednostajność opowiadania Sołohub.

—Oh! nie zgadniesz pan dobrodziej co znowu.

— Cóż takiego?

—Cud! umarły czy prawdziwy, czy domniemany, zmartwychwstaje, i na przeciw matki własnej i na przeciw sobie samemu świadczy; *Mirabilia*, Mości dobrodzieju, *Mirabilia*!

Zainteressowany więc na nowo starosta, — no — rzekł — to coś osobliwszego, słucham.

Krzysztof Hiszka
Wojewoda Witebski (1).

— Zapomniałem JW. panu powiedzieć — mówił dalej Wołkanowski, że bab-

(1) O nim Niesiecki — T. 1, fol. 103.

ka moja, gdy jeździła do familii w Sandomirskie, zostawiła tam syna swego, a ojca mego, *Adama*, już dobrym wyrostkiem. Przyjęty on tam jako sierota, promowany został w palestrę; podaplikowawszy się dobrze, a bardziej przetarłszy się między ludźmi i doszedłszy lat dojrzałych, za pomocą to krewnych, to przyjaciół jeszcze ojcowskich, ożenił się, i matce swojej a mojej babce i synowę i mnie wnuka, i pieniędzy posagowych podwiózł, a co najbardziej, że ją skołatana wiekiem i kłopotami w téj nieszczęśliwej a tak długiej procedurze zastępując, sam oną popierać zaczął.

Przybył on tu właśnie zaraz po śmierci Kuncewicza i po zajęciu Sieliszcza przez jego sukcesorów. Dekretów utwierdzających prawa babki mojej i jej syna nie brakło:—jest tu, mówił wskazując na papiery — i ziemskich, i trybunalskich, i

asessorskich i zadwornych kilkanaście; zwłaszcza że jakim to powiedział JW. panu, Kuncewicz przed śmiercią upadł na siłach i wcale słabo się bronił, albo też nie stawał u sądów; szło więc tylko o egzekucję tych dekretów. Za życia Kuncewicza babka moja nie miała już na to ani grosza, a po jego śmierci, gdy sukurs nadzedł, było już bardzo trudno walczyć z temi przeważnemi domami, tak dalece, że żadnego nawet urzędnika ziemskiego do zatradowania majątku bronionego przez nich, namówić nie można było.

Więc mój ojciec, znający już świat ten szeroki i wszelkie na nim drogi, nie długo namyślając się, rezolutnie ruszył do króla regnanta, natenczas Jana Kazimierza, a stanąwszy przed jego majestatem, wszystko mu *ab origine* wypowiedział i autentycznemi sprawami dowiódł.

Podobała się królowi śmiałość i roz-

tropność młodego człowieka, a nie spodobala się krzywda, i taka zwłoka świętej sprawiedliwości: zatem od boku swego pańskiego wyprawił dworzanina z własnym mandatem, aby dekreta, zwłaszcza trybunalskie, do skutku przywiódł i ojca mego do Sieliszcza wprowadził.

— Maszże ten mandat w papierach twoich?—przerwał Sołohub.

— A jakże, oto jest,—rzekł Wołkanowski nie długo szukając—znam po wierzchu wszystkie moje papiery—i podał jeden z nich staroście.

Sołohub wziął do rąk pismo własną ręką króla podpisane i wielką pieczęcią utwierdzone; patrzył na nie, i wsparty czołem na rękę, zadumał się—*Incipit calamitatem Regni* (1)—wymówił potem jak-

(1) Na monetach Jana Kazimierza, wybitą jest cyfra jego, składająca się z trzech liter J. C. R., znaczy *Joannes Casimirus Rex*. Lecz nieszczęśliwe panowanie tego króla;

by sam do siebie, i długo jeszcze dumał... Wołkanowski nie przerywał mu, owszem, wlepionym na Sołohuba wzrokiem zdawał się pojmować i czuć jego myśli,—któż zgadnie? czy w przeszłość cofnione i błądzące po ruinach ziemi téj, które mi się za czasów Jana Kazimierza pokryła, czy wybiegły w przyszłość, i zgadują losy które on *incipit*..

Po téj przerwie, prowadził dalej stary swe opowiadanie.

— Lecz nim się to wszystko stało, mówił— nim ojciec mój ten mandat w Warszawie wykołatał, i dworzanina królewskiego się doczekał, upłynęło kilka miesięcy; a tymczasem zjawia się w Mińsku

dało powód do innego zastosowania tych liter początkowych, to jest *Incipit Calamitatem Regni* — Rozpoczął nieszczęścia królestwa. Każdy znajomy dziejów naszych uzna trafność takowego tłómaczenia, choć winę nieszczęść na Polskę natenczas spadłych, nie samemu tylko królowi przypisze.

najniespodziewanięj, zapomniany już i jakby z tamtego świata, zabójca dziada mego, Franciszek Wołkanowski; składa i publikuje *sublewacyę* od kryminału, jakoby jeszcze przez Władysława króla, poprzednika Kazimierzowego mu daną, i składa razem *rewokacyę* Kuncewicza, to jest przedśmiertne a własnoręczne pismo jego, w którem wyraził, że idąc na sąd Boski, i chcąc przez restytucyą cudzego dobra ulżyć swemu sumieniu, wyznaje, że nigdy Stanisław Janowicz Wołkanowski rotmistrz nie przedawał Sieliszcza Ciecierskiemu; że prawo przedaźne po jego śmierci podrobioném było; że księża Karmelici, nie wiedząc o niczem, przyjęli i opłacili cessyę Ciecierskiemu; lecz wkrótce domyślając się w tém jakiś zły roboty, nastęrczającemu się Kuncewiczowi, bez targów i zarobków tę fortunę oddali; że całą tę robotę on sam z wdową Woł-

kanowską ułożyli i dokonali; że nakoniec błaga Majestat Boski, aby w swém nieograniczoném miłosierdziu duszy jego był miłościwym, i nie złączył go w piekle z potępienicą żoną jego, która go za życia do wszystkiego złego wiodła, i po śmierci jeszcze w postaci okropnej larwy straszyla.

— *Horrendum!*— zawołał Sołohub—*horrendum!* syn na matkę takie składał świadectwo!

—A tak, składał; widać że Kuncewicz, molestowany srodze przed śmiercią przez banitę i własne sumienie, gdy postanowił odkryć prawdę, to już ją całkowitą i bez ogródki wypisał, a Wołkanowski, gdy innego *testimonium* odeń wyjednać, lub wymusić nie mógł, wołał przyjąć i takie, choć z obwinieniem własnej matki, bo mu więcej o fortunę niżeli o matkę chodziło.

Wtenczas odgadniono, kto był ów kapturnik, który snuł się niekiedy po Sielickim dworze i Kuncewicza na jakieś tajemne brał konfessaty. Ogłosiwszy tedy razem i *sublewacyę*, i *rewokacyę*, rozumiejąc że jedna chroni jego osobę, a druga fortunę mu oddaje, nie czyniąc, ani czekając żadnych prawności, wpadł on do Sieliszczu i z pomocą chłopstwa, które dawnego panicza swego, choć teraz podżyłego już i wymizerowanego poznało, wypędzwszy wszystkich oficyalistów Korsakowskich i Sokolińskich, zajął dwór cały i w nim się rozgościł.

Był natenczas wojewodą Witebskim Krzysztof Kiszka, lecz mieszkał w województwie tutejszém Mińskiem, w dobrach swoich Deksznianach. (1)

— Stój waszmość — przerwał Sołohub.

(1) Dobra te należą dziś do Wołodkowiczów.

Tu podjął w górę i tarł czoło, gromadząc widać myśli swe i przypomnienia. — Tak — rzekł potém — tak; Krzysztof Kiszka, syn Stanisława wojewody Mściśławskiego, głucho-niemego od urodzenia, a zakamieniałego Aryanina (1). Nad nim to Bóg wielkie cuda uczynił, bo najprzód z Sapieżanki liczném go i mówném obdarzył potomstwem.

— Jak to panie dobrodzieju? chybaż i on sam przemówił na kobiercu — rzekł zdziwiony Wołkanowski. — Jakże wziąć ślub nie nie gadając?

— No, ja nie teolog, więc tłómaczyć tego waści nie będę; ale Kościół ma na to swoje reguły. A jeden z jego synów, także Stanisław, nie idąc w ślady ojcowskie, za szczególniejszą łaską Boską do stanu

(1) Niesiecki Tom 5, fol. 102.

duchownego wstąpił; a że był człek wielkiej nauki, bo i w cudzoziemskich szkołach przepolerowany, więc wysokich w duchowieństwie dostąpiwszy godności, nakoniec Biskupem Żmudzkim został, i ojca swego już starego do odrzeczenia się arianizmu, a powrócenia na łono katolickiego Kościoła nawrócił; jakoż ten niemowa wypowiedawszy się, (1) rozgrzeszonym i do owczarni prawdziwej Chrystusowej przyjętym został.

Na synach jednak tego niemego Stanisława, wojewody Mściśławskiego, skończył się sławny i świetny na Litwie ród Kisków; bo Mikołaj, drugi z wieku syn jego, wojewoda Derptski, potem kasztelan Trocki, i nakoniec podskarbi W. Li-

(1) Niesiecki powiada, że się wypowiadał Biskupowi Wojnie przez tłumacza. Widać więc, że sztuka rozmowy z głucho-niememi już natenczas znaną była.

tewski, rycerz znakomity i pogromca Szwedów, z dwojga małżeństwa, wprzód Radziwiłłównę, a potem Leśniowolskiej nie miał żadnego potomstwa.

Krzysztof, trzeci brat tamtych, ten właśnie o którym waszmość wspominasz, wojewoda Witebski, miał trzy córki, także z Radziwiłłównę.

Czwarty nakoniec, Janusz, hetman W. Litewski, wódz znakomity, pod Chodkiewiczem sztuki rycerskiej się uczył, i pod Kircholmem już się mężnie krajowi zasłużył, a potem w rozmaitych potrzebach dzielnie go bronił; miał za sobą księżną Drucką Sokolińską, z niej atoli nie zostawiwszy potomka, ostatni domu i imienia Kisków, zszedł z tego świata w Krzywiczach *anno milesimo...* Znowu Sołohub wzniosł czoło w górę, szukając daty—*milesimo... sexagesimo... quindecimo...* preter propter *tertio*. — Może Bóg dopuścił

sterilitatem i przerwał ród domu tego starożytnego za to, że pierwsi Kiszkwie arianizm do Litwy wnieśli.

Wołkanowski słuchał z uwagą, pokręcając głową, téj heraldycznej erudycyi Sołohuba:—ale zkąd to—rzekł potém—taka JW. pana wiadomość o Kiszkach?

—Boć to Mości panie—odpowiedział uśmiechając się Sołohub—nie wasze szlacheckie czarne żmudzkie kiszki, ale kiszki białe, ab origine *białe*. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że pierwszy ich przodek zwał się Zgierski, szlachcic herbu *Dąbrowa*; ten gdy na dworze Jana Białego, hetmana Litewskiego, przebywał, zdarzyło się raz, że dano na stół na zakrytym półmisku kiszki, które hetman rad jadał, lecz zawsze je kuropatwami pieczonemi nazywał, w czém go i wszyscy dworscy naśladowali. Widząc zakrytą potrawę zapytał hetman Zgierskiego, co dano?—ten za-

pomniawszy nowój nomenklatury, odpowiedział z prędkości: kiszka.— Ty sam kiszka!—rzekł hetman, i odtąd dworując sobie nazywał zawsze Zgierskiego Kiszką.

Przyjmował spokojnie jako od pana te do siebie przycinki Zgierski, aż gdy i inni dworscy, potakując panu, tytuł ten poczęli mu z urąganiem dawać i uszczypliwie mu dokuczali, zniecierpliwiony i obrażony, nieraz im kordem odpowiadał, co widząc i słysząc hetman, przywołał go do siebie i rzekł:— »Żart ten mój, który cię takiego menkamentu nabawia, fortunnym ci będzie: mam córkę jedynaczkę, gładka jest i dobra dziewczka, a wszystkiego co mam dziedziczka (był zaś to pan wielkiej substancyi i mnogie miał na Litwie imiona); tę ci za żonę ofiaruję, pod warunkiem jednak, żebyś i to imie Kiszka, tak na siebie, jako i na potomstwo które ci Bóg da przyjął.«— Hetman albowiem

widział w Zgierskim męża przysposobionego z natury do dzieł wielkich i pięknymi przymiotami ozdobionego. Od tego, zatem czasu imię Kisków zajaśniało w ojczyźnie, i *tam in toga, quam in sago* (1) się rozślawiło.

— A toć JW. panie, za taką gratyfikacyę niechby mój Piotrek i kielbasą został.

— A czemuż nie? któż wie co go czeka?... mówił starosta—i nie poniżyłby się on wcale, gdyby się kielbasą przewzał: dawna to szlachta w Polsce, herbu *Należcz*; siedzieli oni niegdyś Mości panie i w senatorskich krzesłach i w biskupich infulach (2); nie wiem i wątpię czy są teraz?

— A więc, gdy jak powiadasz JW. pan, kisków i kielbas nie stało, chwałaż Bogu,

(1) Tak w radzie, jako i w orężu. .

(2) Niesiecki. Tom 4, fol. 228.

że jeszcze została nam wereszczaka, bo sam znam w Nowogrodzkiem wielu panów i znakomitych tego nazwiska; muszą oni być w kolligacyi z tamtymi.

Starosta się uśmiechnął, ale rzekł poważnie:— O takiej kolligacyi Wereszczaków nie wiem: ale wiem, że to dawne i szlacheckie imie, jest w kolligacyi z najdawniejszemi i najgodniejszemi domami w Litwie, a między innemi i z moim.

— Nie wiedziałem tego; daruj JW. pan,— rzekł kłaniając się nisko Wołkanski — ale uniżenie powtarzam zapytanie, zkąd JW. pan wiesz to wszystko?

— Jak przyjedziesz wać do mnie do *Illii* na polowanie, a przyjechać musisz koniecznie—rzekł Sołohub,— to za pokutę, że się nie znasz na heraldyce, a co każdy szlachcic mniéj więcej znać powinien, aby wiedział z kim się bratać a z kim roz-

bratać— nie poprowadzę cię na obławy, ale włożę ci na nos okulary.

— A to na co, JW. panie? chwała Bogu nie potrzebuję ich jeszcze.

— No, nad staremi księgami siedzieć bez okularów jakoś nie wypada; więc zasadzę cię nad takimi foliałami, z których nauczysz się tak jak ja, ciekawych prozapij i herbów różnych naszych fami-
lij, a może i własnej. — Ale wróćmy do twojej historyi. — Cóż tedy zrobił pan wojewoda Witebski?

— Otóż, widzisz JW. pan,—mówił dalej Wołkanowski—był on wojewodą Witebskim, ale mieszkał w Deksznianach, w tutejszém województwie Mińskiem.

— Wiem— już to mówiłeś.

— I był podobno powinowatym jakimś Sokolińskich...

— Tylko co mówiłem, przerwał Sołohub— że brat najmłodszy Krzysztofa, Ja-

nusz Kiszka, hetman W. L. miał za sobą Sokolińską; więc powinowactwo było blizkiem, bo mu Sokolińska była bratową.

—Widzisz tedy JW. pan, że nie kłamię.

—Widzę—odpowiedział starosta,—ale razem widzę, żeś się nie zdał mi na ucznia heraldyki, bo nie pamiętasz i tego, com tylko co powiedział.

—Stara głowa, panie dobrodzieju! stara głowa! i tylko swoją biedą nabita; co za dziw, że na pamięci fałuje.

—Pokrewieństwo to jednak nie tyle zapewne wpłynęło na postępek wojewody, ile *rumor* publiczny, który po powrocie i objęciu Sieliszcza przez Edwarda Wołkanowskiego, szerzyć się zaczął między szlachtą i panami nawet, że zabójca i banita siedzi bezpieczny i spokojny, a nikt mu i słowa powiedzieć nie śmie.— Czy to już u nas prawa nie stało?— mówiono—czy to już wolno będzie zabijać

bezkarnie? i potém tam jakąś sublewacyą, czy list żelazny spraktykowawszy u króla, nieświadomego rzeczy, posponować dekreta trybunalskie, a sądem i ludzkim i Boskim pogardzać? Gdzież ta sublewacya? niech ją przynajmniej banita w autentyku publicznie okaże!

Pomnażał jeszcze i justyfikował te powszechne odgłosy sam Edward Wołkanski, bo gdy one do uszu jego dochodziły, odgrażał się hardo na wszystkich, a srogie przechwałki i na ojca mego, którego się z Warszawy spodziewano i na Sokolińskich i Korsaków, i na koniec naprzeciw wszystkim, którzyby go z Sieliszcza rugować chcieli, miotał. Obwarował się on tam i uzbroił, jak przed tém Kuncewicz, i jeszcze lepiej; a zebrawszy bandę dawnych swych towarzyszy i młodszych hajdamaków, których nigdy u nas nie brakło i nie braknie, bu-

szował z nimi, nocy i dnie na pijaństwie i rozgardyaszach trawiać.

Bóg go wyraźnie odstąpił, a szatan wiódł do zguby duszy i ciała.

Jednego dnia przed południem, gdy rozpasana tłuszcza w najlepsze bajramowała, niespodzianie i nagle zbrojny, liczny i konny hufiec otoczył dwór wokoło, a na czele był wojewoda Krzysztof Kiszka.

Bramy były zatarasowane, dwór zaś cały gęstym ostrokołem obity; żadnego zatém sposobu wejścia do środka. Więc z rozkazu wojewody, przystąpił choć ze strachem do bramy woźny przy nim będący i zakołatawszy mocno, wielkim głosem zawołał:

—Otwórz! w imieniu króla!

Ale na widok takiego osaczenia,

zapamiętałość objęła zalaną trunkiem głowę banity i jego kompanistów; porwali wszyscy rusznice, i z hałasem podpadłszy z drugiej strony pod bramę, krzyknęli:

—Kto tam? kto? nie leż, bo zginiesz!

Woźny jeszcze dotrzymując placu, odpowiadał po kilkakrotnie:— W imieniu Króla i prawa otwórz! Jam tu jest woźny Jego Królewskiej Mości! a za mną pan wojewoda witebski.

—A choćby i dziesięciu wojewodów! precz! bo damy ognia!—odpowiedziano.—Jakoż kilkanaście rusznic wytknęło się przez szczeliny pomiędzy ostrokołem.

Natenczas podjechał sam wojewoda i zawołał:

Otwórz Wołkanowski! jesteś pod *banicyą*; dasz gardło, jeśli nie usprawiedliwisz twego powrotu do kraju; okaż mi co masz na twoją obronę, bo deklaruję ci, że nie ustąpię ztąd, aż się o tém przeko-

nam. Otwórz więc i nie zmuszaj mię, abym cię siłą, jak złoczyńcę, pojmał.

— Nie doczekasz! — krzyknął Wołkanski, i razem — pal!

Kilkanaście strzałów huknęło z za ostrokołu; koń pod wojewodą raniony wspiał się, a woźny upadł i jęknął srode, bo mu kula nogę zgruchotała.

Natenczas krzyknął wojewoda na swoich: — Z koni! wyrąbać ostrokół i dać ognia do środka!

U siodeł rajtarów wojewodzińskich były toporki; kilkunastu więc ludzi żwawo zaczęli rąbać pale, a kilkunastu innych, także przez szczeliny w ostrokole, puścili kule na dziedziniec.

Przestraszona tym strzałem zgraja, razem ze swym wodzem umknęła od bramy i leciała do przeciwniej, a otworzywszy ją na ścieżaj, i nie zważając że dwór gęsto żołnierzem otoczony, dała znowu o-

gnia i na oślep rzuciła się w nogi. Strzały te nikogo, chwała Bogu, nie obraziły, sprawiły jednak zamieszanie, z którego korzystając wielu z nich, do bliskiego na ich szczęście lasu uciekło; hersztowi jednak nie udało się: nogi mu się splątały, upadł i żywcem z kilku innymi ujęty został.

Tymczasem rozwalono ostrokół, a zatem wojewoda wszedł na dziedziniec, i stawiono przed nim Wołkanowskiego.— Spójrz! nań wojewoda i przeraził się niepomąłu; był to bowiem widok człowieka jakby opętanego krociem diabłów, których za każdym słowem albo wzywał, albo z zapienionych ust, dając się straszliwie, jakby z siebie wyrzucał...

Twarz jego czerwona, jak rozpalona skowroda, oczy krwią zabiegłe, włosy rozczochrane i ubiór dziwny, ze świeckich i zakonnych jakichś szmatów złożony, okrywał tę dziką figurę.— Imaginuj sobie

pan dobrodziej, po czarnym żupanie, jakby po sutannie, paskiem karmelitańskim był on przepasany i na nim szablę zawiesił, a kaptur mniszy, za plecami wiszący, dyamentową szpinką przepiął na piersiach, na których od szyi spadający różaniec plątał się ze sznurem pochwy od kordelesa, żelazo bowiem wyrwano mu z rąk, gdy się niém przy pojmaniu bronić chciał. Widać, że obława napadła go w chwili pijaństwa i szału jakiegoś, gdy przed swymi towarzyszami stroił maskary i najgrawał się z habitu i kaptura, który go bodaj w nieszczęściu krył i salwował.— Tak pół mnich, pół rozbojnik, miotał się on wściekle, rzucając ciężkie inwektywy na stojącego przed nim wojewodę.

— Tyś zabił Wołkanowskiego? — zapytał nakoniec wojewoda.

— No, ja! — odpowiedział zuchwale.— Bóg go w téj chwili splątał; bo tym je-

dnym wyrazem dał on sam przeciw sobie świadectwo: *propria oris confessio*. — Ja! — powtarzał — i cóż mi zrobisz, Mości panie wojewodo witebski, gospodarujący po tatarsku, po województwie Mińskiem! Na! masz! czytaj — i wyjąwszy z za żupana papier, rzucił w oczy wojewodzie; — była to *sublewacya*, którą zawsze za nadrą nosił.

— W imieniu Króla — mówił on dalej — wołałeś Mości wojewodo, otwórz! teraz ja w imieniu króla wołam na cię: ustap!

Wojewoda przeczytał uważnie rzucony sobie papier, obracał go razy kilka, wreszcie chowając za nadrę: — Wziąć go, — rzekł do swoich — a jeśli będzie się bronił związać.

— Jak śmiesz? — wrzasnął Wołkanowski — w moim własnym domu!.. jam szlachcie!

— Dom nie twój, tyś nie szlachcic; tyś zabójca, sameś to wyznał, tyś banita!

— Masz w ręku list królewski, czytałeś? *Sublewacya* od kryminału!

— Od kryminału rozmyślnie popełnionego i od dekretu trybunalskiego, Bóg chyba na sądzie strasznym da ci *sublewacyą*.— A nowy ten kryminał — dodał wojewoda, wskazując na jęczącego woźnego, którego na prędcie opatrywano — dowodem, żeś nie wart żadnej kommizeracyi, żeś buntownik przeciw prawu i królowi za przywilejem którego woźny jest urzędnikiem publicznym, i w imieniu którego funkcyą swą spełnia. — Dasz więc głowę i gotuj się na śmierć!

— Nie doczekasz! — wrzasnął Wołkanowski. — Jakiem prawem ty, wojewoda witebski, chcesz tu w wojewodztwie Mińskiem ferować swoje dekreta?

— Prawem senatora, strzegącego bez-

pieczeństwa publicznego,— odpowiedział Kiszka— prawem, z którego Bogu i narodowi dam rachunek!— Wziąć go! panie poruczniku— dodał, obracając się do oficera swoich dragonów;— każ zaprządz wóz dla delfikwenta; otoczyć go, strażą z nabitą bronią, a jeżeliby chciał umknąć pał w łeb! Dać wóz także i dla biednego woźnego; a tę szuję— rzekł, wskazując na przelekłych i za kark trzymany chłystków, towarzyszków Wołkanowskiego— rozbroić i kańczukami przepędzić.

Wnet dragoni otoczyli winowajcę, trzymając w rękę gotowe do strzału muszkiety. Poglądał on na nich ponuro, i przerażony tém przygotowaniem, umilkł, może z rozmysłu i w nadziei, że milczeniem i uległością uspokoi wojewodę, albo uśpi baczność straży i upatrzy chwilę do ucieczki.

Tymczasem założono dwa wozy, zwołano furmanów, i na jednym umieszczono

ranionego woznego, a na drugim Wołkanowskiego; nie związano go jednak, bo się nie bronił. Wojewoda przesiadł się na konia wziętego z pod żołnierza, i ruszyła cała komenda na powrót do Deksznian, przez tę samą fatalną bramę, przez którą przejeżdżał przed laty zabity dziad mój, wychodziła za nim z dziećmi drobne-
mi, zalana łzami wdowa jego, wyjeżdżała potem na śmiertelnym wozie podnieciciela do zabójstwa; z kolei przebył ją, idąc do mogiły, krętacz, korzystający ze zbrodni; a nakoniec wyjechał i zabójca!

Było to 24 września 1649 roku; dzień jesienny krótki; nim więc mil kilka od Sieliszcza do Deksznian przebyto, mrok zapadł, ale wnet wszedł księżyc i jasno świecił.

Wołkanowski tymczasem upatrywał tylko czasu i miejsca sposobnego, by zemknąć; noc światła nie była mu po myśli, ale żołnierze widząc go zupełnie spokojnym, nie mieli się na ostrożności, i muszkiety swe nawet na krukach powieszali. Porucznik prowadzący komendę jechał naprzód przy wojewodzie, a wachmistrz włókł się z tyłu; przebywano właśnie dębniak, niską gęstwą u spodu zarosły...

W mgnieniu oka Wołkanowski daje susa z wozu, i nim chwycono się do broni, już on był w gęstwinie... Sypnęły się wprawdzie za nim strzały, ale darmo; na huk przyleciał wojewoda — umknął! — krzyknęto — umknął!..

— Także to go pilnowaliście? — zawołał on srogo — z koni wszyscy i łapać! Gardłami odpowiecie! Żywego lub trupa dostawić!

Sypnęła się więc cała komenda w dębinę. Knieja to była niewielka i tuż pod Deksznianami, wszystkie więc w niej przesmyki i ścieżki tak żołnierzom wiadome były, że i w ciemniejszej nocy każdyby ją śmiało mógł przewędrować; Wołkanowski zaś, nieświadomy miejsca, czaił się jak lis i pełził między gęstwina... Wkrótce więc któryś z dragonów napadł nań, i chwytając go za kark, krzyknął:—jest! jest! sam tu do mnie! jest zdrajca!

Rzucili się więc wszyscy hurmem i wywleczono Wołkanowskiego przed wojewodę.

— Ha złoczyńco!—krzyknął ten—sam sobie przyśpieszyłeś karę. Polecaj się Bogu! przywiązać go do drzewa!..

— Co ty myślisz, wojewodo?—zawołał z przerażeniem Wołkanowski.

Droga w tém miejscu była rozstajną i

rozdzielała się na dwie, okrążając dąb starożytny.— Przywiązać go do tego dębu, powtórzył wojewoda do osłupiałych żołnierzy.

— Co ty myślisz?— powtórzył drżący Wołkanowski, dasając się z dragonami, i targając z całych sił rzemieńne pasy, z własnych jego koni zdjęte, któremi go w niedostatku powrozów przykrępowano do drzewa; krew mu gębą i nosem się rzuciła; krwawy człowiek! — krew go dusiła!..

— Wachmistrz! — rzekł znowu wojewoda— wybierz sześciu z nabitą bronią i naprzód!

Widząc Wołkanowski występujących żołnierzy, zwątpił, a nuż nie nadszedł dlań kres fatalny! bo dotąd mniemać mógł, że go wojewoda straszy tylko.

— Wojewodo! — krzyknął — wojewodo! Bój się Boga! Na sąd straszny cię pozrywam.

— Stane! — odpowiedział wojewoda głosem stałym i grzmiącym; stanę i zdam sprawę z ukarania złoczyńcy, nieuległego prawom ni Boskim, ni ludzkim!

Zawiąż mu oczy, wachmistrz!

Wachmistrz zerwał sobie chustkę z szyi, lecz podszedłszy do Wołkanowskiego, podjął mu kaptur z plec i na oczy nasunął;— stał więc mnich u dębu...

Sołohub, słuchając tego opowiadania, wzrok niespokojnie wlepił w starca.

— Dozwólcie mi wypowiedzieć się! — krzyczał znowu Wołkanowski.

— Służba bliżej! — szepnął wojewoda — żołnierze postąpili naprzód, i o kilka tylko kroków stanęli od delikwenta...

— Spowiedzi! spowiedzi! — wołał on bez ustanku, to głośniej, to przytłumionym i chrapliwym rykiem: Na sąd...

— Panie poruczniku, — rzekł zimno

wojewoda— w imieniu prawa i bezpieczeństwa publicznego rozkazuję *rozstrzelać!*— i wskazał ręką na gotowych żołnierzy.

Porucznik obrócił się do leżącego tuż na wozie woźnego:— Słyszałeś ten rozkaz pana wojewody?— zapytał.

— Słyszałem — odpowiedział woźny — ale on potrzebuje spowiedzi.

— A więc nie na mnie śmierć jego — rzekł porucznik, stając obok żołnierzy i dobywając pałasza, spójrzał jeszcze raz na wojewodę. Ten stał niewzruszony na koniu i ręką powtórzył znak fatalny...

— Na sąd straszny... *Rrrrum!*

— *Deus adjutor meus!* — krzyknął Sołohub — poszedł... — dokończył opowiadający, i zabójca zapłacił zabójstwo. Księżyc w pełni oświecał tę ceremoniję.

Sołohub zerwał się z ławy:— ceremonija! piękna ceremonija!—zawołał on—nieprawnie i nie po chrześcijańsku postąpił Kiszka; ciężki mu zapewne był sąd Boski, na który go ostatnimi swemi słowy zapozwał Wołkanowski.

—Prawdę mówiąc, Mości dobrodzieju, że nie dał mu się z Bogiem pojednać, to źle; ale i on nie dał czasu memu dziadowi do spowiedzi, gdy go okrutnie zabił; a nawet on dla tego tylko zapewne prosił spowiedzi, że w prolongacie czasu widział jakąkolwiek nadzieję salwy. Kiszka zaś, panie dobrodzieju, postąpił sprawiedliwie i prawnie; to widoczna prawda, bo i wywiódł się potem przed stanami Rzeczypospolitéj, gdy krewni roztrzelanego na sąd go sejmowy pozwalają (1); złożył bowiem de-

(1) Pozew ten mam przed sobą — całe to opowiadanie w głównej treści jest prawdziwe.

kret trybunalski, przekonywający o zbrodni banity, i dowiódł, że sublewacya królewska *subrebtive* (1) i z prywaty więcią była; nowy zaś kryminał z woźnym...

—Bądź co bądź—przerwał starosta—jest to *sic volo — sic jubeo* (2), a to nie uchodzi w kraju chrześcijańskim.—Ale zkad waść wiesz tak wszystko, że słowo w słowo jakbyś tam był obecnym świadkiem opowiadasz?

—Oh! bo panie dobrodzieju szeroko natenczas i potém jeszcze długo rozpowiadano tę całą sprawę po województwie naszym Mińskiem, a nawet jak echem rozeszło się to i po całej Litwie, tém bardziej u nas, Wołkanowskich. Pamiętam JW. panie, gdy co wieczór prawie, przy zimowym kominie, matka i rodzic mój jak bajkę jaką każdemu,

(1) Podstępnie.

(2) Tak chcę— tak rozkazuję.

kto chciał słuchać, prawili tę legendę, której ja, zwyczajnie jak dziecko, z rozdziawioną gębą słuchałem. Mojemu zaś ojcu, który wkrótce jakoś z Warszawy powrócił, opowiadał tenże sam wachmistrz, co przywiązywał banitę do dębu i kaptur mu na oczy nasunął, i tenże sam woźny Kaczorowski, który z nogą skaleczoną leżał natenczas na wozie, a potem chromając, włóczył się z pozwami; pamiętam go dobrze i nazwisko jego, bo często w naszych procederach ojciec go mój używał.

— Więcże ten raz — rzekł starosta — już pewnie zajęliście Sieliszczce.

— Bodaj takie zdrowie naszym nieprzyjaciołom! Znowu Sokolińscy i Korsakowie, jako sukcesorowie Kuncewicza, zamknęli bramy Sieliskie, przed nosem nawet dworzanina królewskiego, z którym rodzic mój przybył z Warszawy, a który nie

mając jak wojewoda Kiszka swego wojska, i samém tylko słowem a listem królewskim niemogąc ich otworzyć, powrócił z tém, z czém przyjechał.

— A cóż się stało z ową deklaracją, przez Kuncewicza przy skonaniu uczynioną, że Sieliszcze nigdy przez rotmistrza Wołkanowskiego Ciecierskiemu przedaném nie było?

— Stało się, panie dobrodzieju, *procedendum*. (1) Samój autentycznój deklaracyi, znalezionej zapewne między papierami banity, widać łeb skrecono, a został tylko ślad onój w publikacyi, wraz z *sublewacją* królewską przezeń czynionój. Śladu tego chwycił się wprowadzić mój ojciec, ale Sokolińscy zaprzeczyli wszystkiemu, i trzymali fortunę, a on z o-

(1) Dalszy proces.

statniego wyzuwając się grosza, do ludzi o sprawiedliwość, do Boga o pomstę wołał.

Nakoniec — mówił dalej stary — pierwsze pokolenie i zabitych i zabijających, i wygnanych i wyganiających, jakbyś zmiotł ze świata; bo i babka moja, ostatnia z tego orszaku, wkrótce potem umarła! Nowi zatém ludzie ich zastąpili, i znowu jakby na grobie tamtych, tenże sam korowód i taniec zaczęli.

To aż strach pomyśleć, panie dobrodzieju: ludzie umierają i zmieniają się na świecie, a zło z jednych na drugich przechodzi fatalną sukcesyą, i trwa jakby kielich ustawnie dolewany — *od wasana do wasana*.

—Prawdę mówisz, panie Wołkanowski, prawdę mówisz,—rzekł Sołohub smutnie potrząsając głową;— w naszej miłej ojczyźnie zbrodni takich, jak te, któreś mi opowiedział, mało i rzadko się przy-

darzyło, bo w gruncie wszyscy kochamy i boimy się Boga; ale złego powszedniego bardzo wiele i wykorzenić go trudno. Oj! przyjdzie, przyjdzie kiedyś pokuta!... Więc Sokolińscy, powiadasz?...

— Nie oddali ojcu mojemu fortuny— kontynuował Wołkanowski—i proces na nowo się rozpoczął. Ta druga torba, panie dobrodzieju, większa jeszcze od pierwszej, to druga część téj sprawy, po śmierci wszystkich pierwszych aktorów, przeciągającej się przez cały wiek mojego ojca, aż do większej połowy mego własnego: bo od lat jakich trzydziestu, wyszeptawszy się ze wszystkiego i osiadłszy tu na kondycyi szlacheckiej, posagowej mojej żony dobrodziki, nie prawuję się już wcale, bo nie mam za co, a tylko nie zasypiając dawności ziemskiej, manifeścikami od czasu do czasu strzelam. At, aby się kurzyło, i aby Piotrek miał kiedyś za czém

zapukać do drzwi sądowych, szczęśliwiej da Bóg może od dziada i ojca swego.

Z tego tedy woru produkuje najprzód JW. panu pozew...

—Dość— przerwał starosta—dość Mości panie; czegoż się nowego dowiemy z tych twoich papierów? Jedno i jedno—prawne wykrety: *salta juris*, niezbożne wyroki sądowe, intrygą wyjednane...

—Nie, panie dobrodzieju, nie; w całej téj torbie papierów, jest kilkanaście dekretów, a może kilka tylko takich, których święta sprawiedliwość nie dyktowała; boś słusznie pan powiedział, że u nas wszyscy Boga się boją, a zatém i sędziowie na sąd Boski pamiętają. Ale cóż po sprawiedliwości, gdy ona bez rąk? Ja z dekretem — on z muszkietem — powiada przysłowie. Nie raz nam przysądzono Sieliszcze; ale nie było dla nas drugiego Kiszki, któryby uzurpatorów ztamtąd wyru-

gował, a nas wprowadził; tymczasem nowe coraz wymyślano dylacje...

— To tedy mniemasz, mój kochany Wołkanowski — przerwał znowu Sołohub, — że twój Piotrek dojdzie sprawy, której wy przez tyle czasów i starań dojść nie mogliście?

— Wszystko w ręku Boskiem, Mości dobrodzieju, o jego sprawiedliwości wątpić nie godzi się, bo on ma *brachium militare* (1), któremu żaden potentat ziemski nie oprze się.

— Dobrze to — odpowiedział starosta, — że ufasz w Boga i jego opiece los syna twego polecasz. Ale też powiadają: »*Staraj się i sam nieboże — a Pan Bóg ci dopomoże*« więc jeżeli Piotra twego trzymać tu będziesz za piecem, i tylko z flintą w ręku w lasy wypuszczać, to on na las pa-

(1) Ramie żołnierskie — pomoc wojskowa.

trzając i wyrośnie, a tve nauki i nadzieje na nie pójdą. Pchnij go raczój między ludzi; dziarski i rezolutny chłopak, łatwo na świecie się wytrze i nabędzie poloru; stanie się zeń mąż, który jeżeli dawnéj fortuny nie odzyszcze, może lepszą sobie zrobić potrafi. Szlachcic, więc wszystko przed nim, a nuż jeżeli wola Boska i ożeni się pięknie, i nie kondycyę szlachecką, jak ty po twojój żonie dobrodzice, ale i fortunę dobrą weźmie w posagu.

—Oj trudno to JW. panie, trudno; drugi raz nie przydarzy się historia hetmana Białego, i kiszek czarnych na stołach pańskich już nie dają—dodał uśmiechając się Wołkanowski.

Starosta także uśmiechnął się na te słowa, i zastanowił się, jakby one jakąś nagłą myśl w nim obudziły; lecz wkrótce uśmiechnawszy się znowu, kto wie, czy

z konceptu Wołkanowskiego, czy z własnej myśli, kiwnął głową i rzekł:

— O, Mości panie, nie sięgając tak wysoko, niech Piotrek jedzie ze mną, nie będzie mu ni głodno ni chłodno; a z czasem upatrzymy mu przyzwoity szlak życia i mienia.

— Oh! JW. panie, najuniżeniej dziękuję,— rzekł stary ściskając kolana starosty— nie raz ja sam myślałem, że go tu nie trzymać na to, aby swą młodość zmarnował. Chciałem nawet wieźć go w Sandomirskie, poszukać tam krewnych, ale moja żona dobrodzika, bacząc na tak dalekie oddalenie, nie zgodziła się; gdy zaś JW. pan w respekt go swój pański przyjąć raczysz, to z ochotą oddaję.

— Ależ twoja żona dobrodzika, i sam Piotrek czy się zgodzą?

— Ani wątpić o tém JW. panie. Piotrek, jak uważam po zabiegach jego na

polowaniu, aby panu dobrodziejowi dogodzić, i po odkryciu kniei na rysie, przylgnął już całym sercem do JW. pana; a moja żona dobrodzika byłaby głupią, gdyby ślęczyła za synem, o mil kilkanaście lub dwadzieścia, pod opieką i manudukcją takiego wielkiego pana będącym, którego kroki, Bóg jakby umyślnie dla naszego dobra skierował w te strony.

Jakoż wnet Wołkanowski udał się na domowe *consilium*, skutkiem którego od nazajutrz Piotrek w poczet dworzan starosty przyjęty został.

Państwo Sołohubowie.

Pierwszym festem jesiennym, który w kościołach naszych uroczyście się obchodzi, jest dzień Narodzenia Panny Maryi, na dzień ósmy września przypadający. Pierwiastki plonów swęj wiosennęj i letnięj pracy, a razem kwiaty zdobiące

jego grzedy, przynosi rolnik na ofiarę i błogosławieństwo Boskie. Garście zażęte wszelkiego zboża, warzywa rozmaite z zielonem i szerokiém liściem, złote słoneczniki i nagietki axamitne, pąsowe kity szczyru, skromne wasilki i wonne cząbry, wszystkie razem z kłosami żyta, jęczmienia i owsa, w snopy związane, czekają w rękach kobiet, aż kapłan z kropidłem ukaże się na stopniach ołtarza. Natenczas, jakby cudowną mocą jego słowa, kościół w mgnieniu oka w kwiecisty zamienia się ogród; wzniesione w górę snopki, w różnowzore i gęste układają się partery, skropione wnet święconemi kroplami wody, na podobieństwo rosy niebieskiej, co je na polach rzeźwiła...

W dniu tym, wielki coroczny jarmark, a prościej mówiąc kiermasz, był w miasteczku Jlli, a wielkie nabożeństwo w tamiecznym kościele. Miasteczko i kościół

o kilkaset tylko kroków od dworu pana Sołohuba oddaloném było, lecz i tych kilkuset kroków nigdy pani Sołohubowa nie przebywała pieszo. W każdą niedzielę i dnie świąteczne, poszóstny cug tarantów, którego rozgłośnie rzenie echa roznosiły, włókł powoli i poważnie przez szeroką lipową ulicę ogromną karoce, złocistemi herbownymi tarczami Radziwiłłów i Sołohubów ozdobną, przed kościół; w niej obok pani siedział zwykle Ks. kapelan, a naprzeciw córka, bo kapłan przed dzieckiem własném brał natenczas miejsce; przy córce, jéj ochmistrzyni, lub respektowa, starsza wiekiem i godnością.

Gdy się starosta znajdował w domu, a pora była po temu, natenczas konno, licznym poczem dworzan otoczony, poprzedzał on lub zamykał ekwipaż żony; i gdy w karecie odmawiał się różaniec za promotorstwem księdza kapelana, w ko-

ściele mający być dokończony; to w kawkacie starosty, za promotorstwem pana, wesołość, śmiechy, żarty i anegdoty brzmiały hucznie; lecz urywały się przed kościołem, i wesołość dworska na twarzach i w ustach, w różańcowej skromności tonęła.

Ależ gdy nie było w domu starosty, co dla polowania, lub dla interesów publicznych nie rzadko się zdarzało, pozostali dworzanie, jakby za pokutę swawolnemu ich humorowi, musieli nietylko w poblizkiej do kościoła drodze, ale i w dalszych przejażdżkach, otaczać z blizka karete i często nietylko mówić głośno, ale i śpiewać godzinki, wtórując różnemi głosami, ciekim dyszkantom, wywodzącym pobożną nótę w karecie. (1)

(2) Jest anegdota, że gdy jadąca gdzieś księżna hetmanowa Radziwiłłowa, według tego zwyczaju, śpiewała z dwor-

Ten raz nie było także w domu starosty, a starościna, coraz częściej dolegliwościami wieku nawiedzana, z wielkim żalem swoim, że podczas tak wielkiego festu nie mogła być na publiczném nabożeństwie, cierpiąc na różę w nogach, słuchała mszy św. w pałacowej kaplicy, do której ją w wygodném krześle zaniecono. Po mszy, Ks. Daniel, jezuita, kapelan dworu, poszedł pieszo do kościoła pomagać miejscowemu plebanowi w uroczystém nabożeństwie, a szczególniej w konfessyonalu, do którego mnóstwo cisnęło się penitentów; w karecie więc, jak zwykle do kościoła idąc, siedziała tylko starościanka, w assystencyi starój i zasłużonej och-

skimi pojazdy jej otaczającymi godzinki, i podług słów i reguł téj modlitwy, zaśpiewała sama jedna Antyfonę: *Jam to sprawiła na niebie, aby wschodziła światłość nigdy nie ustająca*—dworscy odpowiedzieli chórem: *Pokornie dziękujemy waszój księżęcej mości.*

mistrzyni swój, wdowy, pani Porębskiej, oraz kilku młodszych szlachetnych dziewic, pod jej zwierzchnictwem będących.

Przypomnimy teraz sobie, to młodziutkie dziewczę, któreśmy w pierwszych zarysach domu Sołohuba przyrównali do kwiatka lekkim wietrzykiem kołysanego, i zdającego się wyglądać czy szukać objawiającym się w jej sercu uczuciom, przedmiotu czy celu. Marya bowiem miała natenczas lat czternaście; siedm jeszcze od tego czasu upłynęło, i oto widzimy piękną, jak piękniejszej znaleźćby trudno, dziewicę, rozwitą i pełną wdzięków, z oczami łzą nabiegłemi, które w bujnych kroplach spadając, rosiły białą jej jak śnieg sukienkę, w jaką ubrana zdawała się być aniołem niosącym do Boga rzewną modlitwę za cudze jakieś grzechy...

— Po co ten płacz Marylko? — rzekła

do niej Porębska, wychowująca ją od dzieciństwa, a zatém przywiązana do niej najczulój i poufała. — Czy to pierwszy raz spowiadać się? czy to jesteś broń Boże w jakim śmiertelnym grzechu?

Kareta tymczasem wlokła się jak zwykle poważnie i powoli; taranty rżały rozgłośnie. Około niej, kilku dworzan konno, niecierpliwych swych rumaków do stępowego kroku hamowało, a między nimi młodzieniec męskiej prawdziwie postawy, szlachetnego czoła i lica, w skromném, ale składnie mu do wieku i pięknej postaci przystającém ubraniu, jechał najbliżej karety, i przenikliwe swe czarne oko często w nią zatapiał; lecz gdy wzrok ten spotkał się kilkakrotnie z okiem Porębskiej, ta, opuszczone dotąd okno od karety w górę podjęła.

Zgadnie czytelnik, że tym młodzieńcem był znajomy nam Piotrek, a teraz Piotr

Wołkanowski, ulubiony dworski starosta i starościni, wykształcony, przepolowany w szkole wyższego towarzystwa na dworze Sołohuba, którego zwyczaje i obyczaje w dobrym tylko przykładzie przejął, wrodzoną a może i rozwiniętą naukami ojca, (jakeśmy to widzieli) rozwagą, rozpoznając i odrzucając od siebie to wszystko, coby w tém zastósowaniu śmieszność nań, lub nienawiść czyjakolwiek ściągnąć mogło. Więc poufalszym wstępem do panów swych zaszczycony, często nawet zastępujący nieobecnego starostę w domu i za domem w interesach, nie obudzał jednak zazdrości kolegów swoich dworskich, bo ich swą serdecznością i codziennymi przysługami ujmując, kochanym był od wszystkich i konsyderowanym, jako mający kiedyś za protekcyą pańską, wyjść ze stanu prostego dworaka na szlak publiczny, i na nim sta-

jąc się mężem dzielnym i doskonałym, sprawdzić przepowiednię samegoż starosty, dźwignąć z upadku szlacheckie swe imie, i może odebrać Sieliszcze: a nawet nazywano go żartem *Piotrem na Sieliszczu*. Jedna tylko Porębska od niejakiego czasu koso nań poglądać zaczęła i zawsze była trzecią gdy się mu zdarzyło zbliżać do starościanki.

Pewnego poranku, starosta po długiej konferencyi odbytej z Porębską, przywołał do siebie Piotra, i najniespodziewaniej zapowiedział mu, że zaraz po powrocie z podróży w którą się właśnie wybierał, i która dwóch tygodni trwać nie miała, wyśle go do Warszawy, gdzie już i zostać powinien; bo listy jakie mu da i rekomendacye, ułatwią mu wstęp do kilku dygnitarskich domów, które go w każdym zamiarze można protekcyą wesprą. Nim zaś coś się nadarzy,—mówił starosta,

opatrzę cię zapasem, boś mi wiernie, zanie a uczciwie służył.

—Będę tu twoim plenipotentem w negocyacyach już rozpoczętych z dzisiejszymi panami Sieliszczą; i mam nadzieję, że się to na pomyślnęj dla ciebie kombinacyi ukończy z czasem; bo process byłby trudnym, kosztownym i długim, jak już to nie raz z sobą przegadaliśmy. Tymczasem zaś nim wrócę, odwiedź swych starych rodziców i weź ich błogosławieństwo, bo to najlepszy *wiatyk* puszczającemu się na świat synowi... To mówiąc, Sołohub przenikliwie spójrzył w oczy młodzieńcowi.

Ten osłupiał—i łzą nagłą zabiegły mu źrenice... Lecz po krótkiej chwili przychodząc do siebie, upadł do kolan starosty i—Ach! panie—zawołał,—jam myślał, że ci całe życie będę służyć! cóżem przewinił?

—Przewinił? nic dotąd,—odpowiedział Sołohub—ale mój Piotrze, często stajemy się winnymi mimowolnie... jesteś młody...—dalej starosta dusząc jakby w sobie resztę swych myśli, dodał stanowczym tonem:—To inaczej być nie może; przyrzekłem twojemu ojcu, że cię na człowieka wyprowadzę. Zdolności też twoje i rozsądek nad wiek, z wielkiem mojem ukontentowaniem, sekundowały zamiarom moim; lecz jak w waszej okolicy, przy swoich zdolnościach, zostałbyś jednak tylko Piotrem, synem twojego ojca, tak znowu i tu, chociaż wprowadzie jesteś Mości panem Piotrem Wołkanowskim, ale zawsze tylko sługą pana Sołohuba; a być powinienś, bo masz po temu głowę, sługą Rzeczypospolitój, i zamiast Mości, jaśnie wielmożnym panem, bo u nas panie Piotrze, jak po drabinie Abrahama, szlachta z dołu w górę i z góry na dół szczeblu-

je, a nikt nikomu ani zawadza ani ubliża. Dla tego i twoje drogi są niewiadome, ale zgadywać można, że przy pomocy Boskiej i pracy, nie zostaniesz się od innych, a wielu poprzędzisz. Tu zaś dalej zostać nie możesz... a jeżeli odrzucisz moje propozycje i wzgardzisz moją ofiarą, bolć mię to zapewne będzie, ale rozstaniemy się z sobą, bez wszelkich dalszych między nami stosunków. Zasługi swoje w takim razie odbierzesz.

Starosta, nie przedłużając dalej téj konferencyi, wyszedł, zostawując stojącego w milczeniu i zadumanego Wołkanowskiego; po krótkiej chwili odszedł on do oficyny, do swojej kwatery, zamknął się i długo pisał. Nazajutrz Sołohub w swoją podróż, a za drugą bramę Piotr wrzekomo do swych rodziców odjechał. Lecz krótko trwała nieobecność i podróż jego, uprzedził on powrotem swym starostę i

w tym właśnie czasie nieobecności Sołohuba w Jlli, odbywała się powyżej opisaną sceną, do której wracamy.

Zapłakana Marya nie dawała się ukoić słowami wiernej swój piastunki; owszem, im bardziej się zbliżano do kościoła, tém łzy gęstsze z oczu, tém głębsze westchnienia z jój piersi się wydobywały.

— Stój!— zawołała ona w pół drogi— wróćmy do matki! wróćmy!

— A toż dla czego?— odpowiedziała Porębska,— wszakże matka pobłogosławiła cię do spowiedzi.

— Pobłogosławiła mię?— zapytała Marya, jakby o tém nie wiedząc.

— Czyż zapomniałaś co było przed półgodziną? naturalnie, że jak zawsze przed

spowiedzią ukłękłaś przed nią z deprekacyą, a ona cię przeżegnała; cóż pomyśli gdy wrócim?— mówiła Porębska; jakbyś nie chciała za jej zdrowie pomodlić się; co pomyśli ksiądz Daniel, który nas w konfesyjonele pewnie czeka? Ej Maryniu, upamiętaj się; już od niemałego czasu trwożysz mamę, mnie i pana starostę nawet swoim codziennym smutkiem i częstym płaczem bez przyczyny. Nie raz mię Imość zaklinała, abym starała się dojść co jej najmilszą jedynaczkę utrapia? Ja może i domyślam się... ale wypowiadaj się Maryniu... wezwij Pana Boga na pomoc, i nie psuj zdrowia ani sobie ani rodzicom.

Rozrzewnienie Maryi na te słowa bardziej jeszcze się wzmogło, a tymczasem z trudnością między nagromadzonemi wozami na kiermasz przeciskając się, kareta stanęła przed kościołem.

Wysiadając starościance podał rękę

Wołkanowski, bo officium jego dworskie i fawor pański, ten mu obowiązek przeznaczały. Nie było starościnej, którójby on tę usługę dopełnił, więc córce pomógł do wyjścia z pojazdu, a pomoc ta ceremonialna zwykle, teraz rzeczywiście potrzebna była, bo dziewczica chwiała się jak trzcina od wiatru; lecz ktoby ich w tej chwili obaczył razem, nie mógłby oprzeć się myśli, że to para dla siebie stworzona.

Porebska skrzywiła się, i sama biorąc pod rękę Maryę, rzekła do Piotra:—Idź wasan naprzód i zrób dla nas drogę w kościele do konfessyonału, w którym obaczysz księdza Daniela, bo nie przecisniemy się przez tłumy. Poniewolnie zatém, jak mu z twarzy widać było, opuścił on rękę starościanki i poszedł spełnić ten rozkaz; ciżba się rozeszła na strony, widząc kto postępuje za dworskim; tak doszli do konfessyonału, w którym siedział

ksiądz Daniel, zwykły spowiednik całej pańskiej rodziny i całego dworu!

Wnet długi szereg czekających spowiedzi, cofnął się od ucha kapłana i pierwsza Marya przystąpiła do pokutniczej kratki; za nią stanęła Porębska i przybyły razem dwie panienki, tę pobożną odbywające dewocyę. Na drugą stronę konfessyonału zaszedł Piotr, i jemu także pospółstwo ustąpiło pierwszeństwa. Ostatnia spowiadająca się jakaś dziewczyna włościańska, odjęła się właśnie od kratki i klęcząc pokornie, ze skruchą biła się w piersi... ale twarz jej była pogodną, oczy na bliski uboczny ołtarz wzniesione, prostą a szczerą pobożnością się rzewniły. W takim położeniu i w takim wzniesieniu duszy, klasy społeczeństwa równają się; prostak i mędrzec, pan i poddany w jeden punkt wznoszą natenczas

westchnienie i myśli swoje, a tym punktem jest Bóg.

Drżąca Marya patrząc przez krótką chwilę na dziewicę, zdała się nabierać śmiałości i ducha, a może nadziei, że spowiedź również i ją uspokoi.

Bóg tylko zna tajemnice spowiedzi i jest jedynym powiernikiem swego naterazczas namiestnika. Spowiedź Maryi była długą; Porebska dziwiła się tém bardziej, że spowiednik po kilkakrotnie odejmował ucho od kratek, ocierał czoło z potu, zdawał się być niespokojnym i znowu się do spowiadającój nachylał.

Nakoniec Marya, płacząc rzewnie i łkając ukończyła spowiedź... biła się ona w piersi jako i poprzedniczka jój, wiejska dziewica; lecz gdzież owa pogoda

oblicza, która na tamtęj jaśniała? gdzież pokój serca, skutek zwykły wyjednanego pokorą przebaczenia?

Spowiednik, rozgrzeszywszy ją, powstał i ręką niepewną ujął znowu drzwiczki od konfessyonału... Chciałby wynieść... miałżeby usłyszeć tajemnicę, która go niespokojnością napełniała? a którą pieczęć spowiedzi w ustach mu więziła... Spójrzył on na drugą stronę konfessyonału i spostrzegł przygotowanego i klęczącego Wołkanowskiego; znowu chwilę zastanowił się i usiadł nagle, jakby nową myślą natchnięty. Piotr więc spowiadać się zaczął, a tymczasem Marya odeszła, i w ławce kollatorskiej, blisko wielkiego ołtarza będącej, uklękła i modliła się.

Piotr także spowiadał się długo, obudzając podobną niespokojność w spowiedniku... — Któryś z królów francuzkich zapytał raz jednego ze swych wysokich

duchownych: »Biskupie, gdyby ci kto na spowiedzi wyznał, że mnie ma zabić, czybyś mi tego nie wydał?»

— »Nie wydałbym królu — odpowiedział biskup — leczbym stanął między zabójcą i tobą.«

Odpowiedź piękna, odpowiedź szczytna! objawiająca, że prawdziwy kapłan Chrystusa gotów być powinien ofiarą krwi własnej stwierdzić w potrzebie świętość przykazania religii; a taka ofiara okupi mu niezawodnie i rozwikła drogę w najtrudniejszych przeciwnościach jego powołania.

Nie było zapewne w tych obu spowiedziach tak ciężkich okoliczności dla Ks. Daniela, jako stawiana kwestya królewska biskupowi, ani tak ciężkich i śmiertelnych grzechów, dla którychby absolucyi odmawiać musiał; wszakże być tam musiała tajemnica, której poniewolnym

zostawszy powiernikiem, został razem i niechętnym stróżem.

Po skończonej zatém spowiedzi Piotra, znowu Ks. Daniel powstał jak do wyjścia z konfessyonału, znowu się wahał... gdy Porębska odezwała się pokornie:— upraszam i nas jeszcze wypowiadać, bo przyjechałyśmy ze starościanką, i razem do Komunii świętej po summie przystąpić chcemy.

Ks. Daniel powtórzył z namysłem i z cicha:— po summie— i jakby tym wyrazem zdeterminowany, usiadł znowu.

Piotr tymczasem ukląkł przy kratkach, przedzielających zwyczajnie prezbiterium od reszty kościoła; przy tychże kratkach klęczała ścisłym szeregiem szlachta z pobliskich okolic, rozmaitych postaci i rozmaitego wieku, wrzekomo po spowiedzi oczekująca także Kommunii. Wzrok ich jednak najczęściej zwracał się to na Woł-

kanowskiego, wśród nich klęczącego, to na stojącego u drzwi zakrystyi jakiegoś mościpana, poważniejszego kroju i wyrazistszego oblicza, a rzucającego bystrém okiem na ruch kościelny; wspinał się on razy kilka na palcach aby coś dojrzeć między tłumem, którym kościół był natłoczony, nakoniec skinął głową na Piotra i wszedł do zakrystyi.

— Mości dobrodzieju — rzekł on tam do plebana, gotującego się na sumnę mającą zakończyć nabożeństwo — panna starościanka czeka na Komunię, a i z pospólstwa wielu już odbyło spowiedź; moja zaś szlachta bracia całą kratę zajęła.

— I owszem — odpowiedział pleban — ja też naczekiwałem, aby więcej się zebrało przystępujących do Ś-go Sakramentu, a kiedy jeszcze i panna starościanka czeka, to tém bardziej — to mówiąc, ubrał się w kómżę i stułę, a poprzedzony

przez chłopca ze świecą wyszedł z zakrystyi.

Jak tylko dzwonek obwieścił rozdawanie Kommunii, a kapłan ze świętą Hostyą w ręku obrócił się do ludu, i podnosząc głos rzekł — *Oto baranek Boży, który gładzi grzechy świata!*— wnet szlachta otworzyła kratki, i napełniła *prezbiterjum*, a lud prosty ze wszech stron kościoła do kratek cisnąć się począł. Tylko Porębska tuż po spowiedzi i ze swemi panienkami, nie cisnęła się wcale, owszem rzekła do nich:—my zaczekamy, bo i modlitewek przed Komuniją jeszcze nie odmówiliśmy, a po mszy przystąpimy; zapewne i Marya tak uczyni; siedzi ona widziałam w pańskiej ławce, a jak msza wielka zacznie się, to i my tam do niej pójdziemy. — Marya tymczasem wyszła ze swjej ławki, i uklękła na stopniach ołtarza; obok niej ukląkł Wołkanowski, i oboje

przyjęli Kommuię... Kapłan spójrzał po zgromadzonej szlachcie, i nie postrzegając aby którykolwiek przystępował do ołtarza, miał ze świętą Hostyą w ręku zejść do krated, gdy Piotr rzekł z cicha ale dobitnie.— Teraz droga Maryo! teraz albo nigdy!... i powstał z klęczków, a podejmując i ją razem— rzekł: Zatrzymaj się księżo:— i dalej trzymając Maryę za rękę, mówił wyraźnie i śmiało:

»Ja Piotr, biorę ciebie, Maryo, za żonę, i ślubuję ci wiarę, miłość i uczciwość małżeńską, a że cię nie opuszczę aż do śmierci, tak mi Panie Boże dopomóż!« Ksiądz cofnął się i chciał odejść, lecz kilku ze szlachty ujęli go za komżę, i z uszanowaniem ale stanowczo przytrzymali; a tymczasem Marya słabo, lecz wyraźnie mówiła:

»Ja Marya, biorę ciebie Piotrze za męża... i że cię nie opuszczę aż do śmierci, tak mi Panie Boże dopomóż!«

Wołkanowski natenczas obracając się do szlachty ściśle otaczającej ołtarz — rzekł uroczyście: »Was tu wszystkich »obecnych biore za świadków tego ślubu, »przed kapłanem i Przenajświętszym Sakramentem zawartego.«

To powiedziawszy, uprowadził żonę do zakrystyi a za nim poszła i cała gromada; w zakrystyi były drzwi do wyjścia (1). Ksiądz zmieszany nie wiedział co dalej czynić; ale ten sam mościpan któregośmy u drzwi zakrystyjnych widzieli, wtajemniczony widać we wszelkie plany Piotra, a bodaj i układający je, został u stopni ołtarza, i uchylając pokornie głowę, rzekł najspokojniej — Ot imajnacya! co to do tego należy: Jegomość dobrodziej dawaj Kommunię, bo lud czeka na Święty Sakrament.

(1) Cała ta scena jest prawdziwa.

Ksiądz w zmaconej swój głowie nie mogąc na prędcie napaść na lepszą radę, poszedł za podawaną i zbliżył się do krutek, przed, któremi w rzeczy samej nie wiedząc o niczem, klęczało pospólstwo, a tak obrzęd zdawał się nieprzerwanym; doradca zaś wyszedł także do zakrystyi, raczej przez zakrystyę, i dopędzał nowe małżeństwo, otoczone tłumem szlachty i przyspieszonym krokiem idące w uboczną ulicę, gdzie bryka czterema końmi zaprzężona czekała gotowa na ich przyjęcie.

Wybiegł razem z kościoła i lokaj, który stał przy ławce za Maryą, widział on wszystko co się stało i szedł w tęż samą stronę.

— Dokąd Waść? — zapytał nadchodzący za nim Kulesza, zatrzymując go (to było nazwisko szlachcica).

— Tam gdzie i waspan — odpowiedział on, wyrywając się.

— Ot imainacya! Co to do tego należy? wracaj waść do kościoła.

Ale lokaj łatwo się pozbył Kuleszy i dalej pobiegł.

Już byli wszyscy przy powozie.

U płotu stało kilka koni przywiązanych i osiodłanych; pistolety w olstrach wiszące na pokrowcach i tłumoki za siodłami, dawały poznać, że jezdcy do dłuższej przygotowali się podróży; jakoż ośmiu młodej szlachty wnet ich dosiedli.

Piotr obrócił się, upatrując między otaczającymi Kuleszy, ale razem nadbiegły sługa upadł przed Maryą na kolana.— Dokąd, panienko nasza! dokąd?— zawołał on: A na miłość Boga! a coż się stanie z panami?...— więcej już od płaczu mówić nie mógł.

— O Boże!—krzyknęła Marya—o Boże! już po czasie Marcinie! powiedz mamie... powiedz matce mojej drogiej... po-

wiedz rodzicom... że ich kocham nad życie... powiedz że wrócę... gdy pozwolą... ach! gdy nie pozwolą... gdy nie pozwolą... umrę!...

Piotr ujął wpółomdlałą Maryę i wniósł do pojazdu, bo sama na to sił nie miała; podał potem rękę Kuleszy i wstrząsając ją:—Panie Janie rzekł—póki życia nie zapomnę.

—Ot imainacya— co to do tego należy?—odpowiedział on—masz ośmiu wyśmienitych i uzbrojonych chłopaków, którzy was przeprowadzą i dadzą radę pogoni, jeżeliby się za wami puściła; o sześć mil masz konie drugie. A teraz *Deus benedicat!*— i czwórka ruszyła kłusem.

—No panie Janie—odezwał się do Kuleszy jeden ze szlachty wracających kupą do miasteczka,—gracko wszystko

uplanowałeś i wykonałeś; ale w tym sęk, czy taki ślub ważny?

— Ot imainacya! co to do tego należy?— odpowiedział Kulesza — chodźcie na tróyniaczek.

Tymczasem już i w kościele najprzód szmer głuchy, a wkrótce i głośnie rozmowa rozeszła się o tém co się stało. Porębska, przerażona i niewierząca jeszcze téj fatalnej niespodziance, przecisnęła się do ołtarza, właśnie gdy pleban, niedokończywszy nawet rozdawania Kommunii, opamiętał się i śpiesznie w zakrystyi zdejmując komżę, sam nie wiedział czy wychodzić ze mszą, czy biedz do dworu z oznajmieniem, że dał czy jakby dał ślub starościance. Wpadła tam Porębska i wnet tuż za nią jej panny i kilku dworzan przybyłych, jakeśmy to widzieli, w assysten-

cyi przy karecie do kościoła; z drugiej strony wszedł zapłakany stary Marcin.

— Chwilę milczeli wszyscy jak w osłupieniu... nakoniec Porębska zawołała:— Gdzie Marya?

— Pojechała z Wołkanowskim,— odpowiedział Marcin—sam widziałem jak siedli do bryki.

— Ach! ja nieszczęśliwa!— krzyknęła Porębska i klasnęła w dłonie, a zachodząc się od płaczu, ledwo mogła wymówić do dworzan:— Gońcie, waćpanowie! dopędzajcie co najprędzej!

— I my tak myślím — rzekł znajomy nam Tatura, ujmując klamkę odedrzwi.

— Dopędzajcie waćpaństwo— odezwał się Marcin— ale ostróźnie, bo ośmiu młodych szlachciców konno okok bryki pojechało: a każdy z fuzyą za plecami, z pistoletami przy kulbakach i pałaszem przy boku.

Tatura odjął rękę od klamki.

— A cóż nam robić? — zawołała Porębska.

— Wracać bez dalszój zwłoki do dworu — odezwał się ksiądz Daniel, stojący dotąd w milczeniu za drugimi.

— Ach księżu Danielu ratuj nas — rzekła znowu Porębska, postrzegając go i zawsze płacząc i załamując ręce — ratuj nas dla Boga. Ach ten zdrajca! ten uodziciel! jak go żywa ziemia nie pożarła! czemu on w kołysce nie zginął!!!

— Pani Porębska — rzekł ksiądz Daniel — po spowiedzi przekłństwo!

— Ja Kommunii jeszcze nie brałam, a z łaski jego na nowo grzeszę.

— Już dziś i nie weźmiesz Kommunii, po tém coś wyrzekła. Siadajmy do pojazdu i spieszmy, aby ktokolwiek téj nie szczęśliwój nowiny nieuważnie nie przyniosł starościnie.

— Księżę proboszczu — mówił on dalej —
 we mszy świętej przy Ofiarowaniu, we-
 stchnij gorliwie na tę intencję i wezwij
 miłosierdzia Boskiego — a sam pokrzepio-
 ny zaufaniem w Bogu, pośpieszył wlewać
 to zaufanie w duszę nieszczęśliwej matki.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

PUSTELNIK W PRONIUNACH.

Część Druga.

PISTENNYA W PROMYSLACH

Wielki Druk

ROK SMUTKU.

Gdzież trafi ta książka moja? Serce własne mówi mnie, że czy się dostanie w ręce rodziców, pielęgnujących troskliwie i pieszczących swe dziatki; czy w ręce dzieci, przywiązanych tkliwie do dawców swojego życia, niemiłe w nich najprzód poprzednim rozdziałem obudzi wrażenia; lecz złagodzi wnet i ukoji to dotkliwe ukłócie, miłość ich wzajemna, ztąd właśnie czulsza i żywsza. Nie jedna matka, tu-

łącz do piersi głowę swojej jedynaczki,
 rzeknie jój z tkliwą łzą w oku—Ty ode-
 mnie nie ucieczesz!—a rozczulone dzie-
 cie odpowie jój, nigdy—i doda z głębi
 serca:— Nigdy cię nie porzucę! zawsze
 ciebie jedynie kochać będę.— Ale dzie-
 wica nie wie jeszcze co się z jój ser-
 cem stanie?.. Pierwsza więc część takiej
 przysięgi, zarzekająca się ucieczki, w rzad-
 kich nader, chwała Bogu, zdarzeniach
 złamaną bywa; bo rzadko namiętność tak
 dalece oślepi niewinne serce dziewczicy,
 aby zgmiotła i zgasła w niém, od razu
 święte uczucie przywiązania do rodziców,
 z życiem weń wlane, i rzadko też namię-
 tność tak dalece oślepi młodzieńca, aby
 na przekor prawom Boskim i ludzkim,
 odważył się oderwać gwałtem zielenieją-
 cą piękną gałązkę od drzewa, które się
 nią chlubić i z niej odrodzić miało, zostą-
 wując na tém drzewie ranę srogą, jęczącą

cą się codzien boleśnie, i jak rak przegry-
 zającą je do rdzeni. Rzadko to więc się
 zdarza, i bodajby nigdy się nie zdarzało.
 Lecz słowom tym—ja cię nigdy nie opu-
 szczę—ja ciebie jedynie kochać będę—
 matka nie wierzy; a nie tylko nie wie-
 rzy, ale nie życzy nawet aby się ziściły.
 Szczególne natury ludzkiej zjawisko! szcze-
 gólna ofiara! chcieć i nie chcieć razem; ko-
 chać i nie chcieć wyłącznie być kochaną!
 Abnegacya najwyższa własnego szczęścia,
 do której miłość tylko i jedynie miłość ro-
 dzicielska jest zdolną!!! A miłość ta jednak
 jest zazdrośną jak i wszelka inna. Bo ko-
 muż nie zdarzyło się być świadkiem, gdy
 młoda para w pierwszych różowych
 dniach małżeństwa wzajemnie się pieszczo-
 tami osypuje, jak przerywa je córce tkli-
 wy, łagodny, miły nawet, mimowolny na-
 koniec, ale nie mniej szczery wyrzut za-
 zdrośnej matki: — Ty mnie już nie ko-

chasz! ty jego więcćj kochasz nademnie.—
 Wtenczas małżonka i córka, znowu nie
 wie i pojąć nie może co się z jćj sercem
 stało, i w rozdwojeniu uczuć swoich rzu-
 ca się w objęcia matki, ze wzrokiem ku
 mężowi pałającym, rzuca się w pieszczoty
 męża, ze wzrokiem błagalnym ku matce.

Syn się żeni, zwiększa skarb miłości
 domowćj. Córka wychodzi za mąż, zmniej-
 sza go: ujmuję zeń i wynosi z domu ro-
 dzinnego część najdroższą, zostawując po
 sobie próżnię napełniającą się tęsknotą,
 lubo tęsknotą rzewną i miłą, jak oddalo-
 ne echo po słodko-brzmiącćj lutni.

Wyobraźmyż ten skarb rozbitym, zra-
 bowanym, zniszczonym... A jakież bo-
 gactwo materyalne porównać się może
 z tym skarbem duszy, w którym się je-
 dnoczy cała treść życia danego i odebra-
 nego, wszystkie najświętsze uczucia i obo-
 wiązki ludzkości! Wyobraźmyż ten skarb

rozbitym i zniszczonym—powtarzam dla tego, że właśnie samym czytelnikom moim zastawić muszę po większej części, wyobrażenie boleści Sołohubowój, gdy z księdza Daniela dowiedziała się, co się stało z jój Maryą.

Pobożny i mądry kapłan, znający serce ludzkie, wiedział dobrze, że w srogich ciosach jakiemi człek uderzany bywa, jedyny ratunek w pomocy Boskiej, najgłębszą i najgorliwszą modlitwą wyzywańej, że sama ta modlitwa jest już lekarstwem i ulgą.—Błogosławione lekarstwo! dla czegoż z powszechnego wychodzi użycia? i wybrane tylko serca słodzą niém cierpienia swoje, pojąc się kroplami tego łagodzącego balsamu, spływającego jakby z góry Oliwniej, na której Chrystus błagał Ojca, by odeń kielich goryczy oddalił.

Ale są dusze, tak głęboko upadające pod nieszczęściem, że w pierwszych chwi-

lach nie zdołają same swą wolą i myślą
wzniesć się do Boga, ani skwapliwój ręce
ku ich pomocy dać się podźwignąć; te
albo toną w rozpacz, albo kamienieją
w osłupieniu, i obłąkaną przerażają obo-
jętnością.

W taki stan właśnie wpadła ta nie-
szczęśliwa matka, usłyszawszy słowa księ-
dza Daniela, których najprzód pojąć nie
mogła, a potem jakby nierozumiejąc słu-
chała; wszyscy otaczający ją płakali, jój
żrenice były suche; lecz nagle tylko i nad-
zwyczajna bladość twarzy, wzrok błędny,
na drzwiach niekiedy zatrzymujący się,
jakby w oczekiwaniu wejścia ukochanego
dziecka, i duszące westchnienia ostrzega-
ły wszystkich o jój niebezpieczeństwie.
Chwila to była stanowcza o jój życiu, któ-
rą tylko cud łaski i miłosierdzia Boskie-
go mógł przesilić. Błagał o to miłosier-
dzie ksiądz Daniel, bo niemogąc gorą-

cém i kilkakrotném wezwaniem wypro-
wadzić starościnę do przyległej pokojo-
wi jęj kaplicy, sam jeden tam się udał
i przed ołtarzem Matki Bolesnej padłszy
krzyżem, nad matką także bolejącą bła-
gał zmiłowania.

Scena ta niema a okrutna, trwała przez
czas niejaki; gdy w milczeniu płaczący
dotąd razem z innemi Marcin,—za cóżby
nie uwierzyć że wpływem modłów ka-
plana natchniony,—przystąpił bliżej do
pani i rzekł:—Ja tam byłem, kiedy pa-
nienka odjeżdżała; a wiesz Jaśnie Wiel-
można pani, co ona kazała Jaśnie Wiel-
możnej pani powiedzieć?

Starościna jakby pierwszy raz zrozu-
miała mowę ludzką, podniosła nań oczy.

—Ot zachodząc się ona od płaczu —
mówił dalej Marcin — powiedziała: Po-
czeiwy Marcinie! poczeiwy Marcinie! po-
wiedz mamie... powiedz matce mojej dro-

giój... powiedz rodzicom moim... że ich kocham nad życie... powiedz że wrócę... gdy pozwolą. Ach gdy nie pozwolą... gdy nie pozwolą... umrę!...

To ostatnie słowo, jakby ostrzem sztyletu przeszło strętwiąła, ale też ją wstręśliście gwałtownie i tē samém życie w nięj wzbudziło.

— Ona umrze! — zawołała — ona umrze!

— Nie, nie, nie umrze! — rzekł Marcin z pośpiechem, przeląkszy się sam tego wyrazu — daj tylko Jaśnie Wielmożna pani pozwolenie, to ja sam polecę i pannenka wróci, bo ona mówiła — powiedz rodzicom że ich kocham nad życie.

— Ona kocha! ona nas kocha! — zawołała znowu starościna; bo te dwa wyrazy: *umrze* i *kocha*, wsiąkły w mgnieniu oka w krew jēj, i krążąc z krwią razem po całym jēj jestestwie, co chwila wpadały w jēj serce.

Dosłyszał słów tych Sołohubowój ksiądz Daniel wychodzący w ten moment z kaplicy, i po ich wrażeniu poznał całą ich wartość i potęgę. Poznał, że odtąd one być muszą i będą ogniwami łączącemi matkę z córką; a jeżeliby i w sercu ojca się odezwały, religijnemi a gorącemi napomnieniami wsparte, na przekór światowym względom, wyjednaćby mogły przebaczenie i błogosławieństwo rodzicielskie, a co zatémby poszło i błogosławieństwo związku przez Kościół, i ku cównięciu, i ku uznaniu trudnego.

— Ach ojcze! — rzekła do wchodzącego starościna — ach ojcze! cóż się stało? kara Boska nad nami! — i to mówiąc płakała już rzewnie. Ona powiedziała jemu że nas kocha, mówiła wskazując na Marcina, [że nas] kocha nad życie...

— I powiedziała to z głębi duszy — rzekł ksiądz Daniel, a po krótkim namy-

śle dodał: Słowem kapłańskiem rękę ci za to, nieszczęśliwa matko.

— Ona mówiła, że umrze.

— Kiedy Jaśnie Wielmożni państwo nie dozwolicie wrócić—dokończył Marcin.

— Oh! a mąż mój!

— Bóg rządzi sercami ludzkiemi; błagaj Go więc o pomoc i litość, a skłaniaj własne ku dziecku twojemu, i skłaniaj męża, by twój boleści, życiū jedynaczki waszój i swemu zdrowiu, a szczęściu wszystkich folgował.

—Cóż mam teraz robić, księże Danie-lu? radź, bo ja nieszczęśliwa nic nie mogę, nic nie pojmuję, nic nie zrobię. Choćby przynajmniej mieć od niej wiadomość, dokąd pojechali? O Boże! cóż nas czeka? Czy taki ślub ważny?

Ksiądz Daniel poznał po tych słowach, że się już cisną do głowy starościnėj dręczące myśli powszechnego rozgłosu, wsty-

du i upokorzenia przed ludźmi z tego małżeństwa nierównego, i kto wie jeszcze czy małżeństwa? zawiedzionych nadziei, i tym podobne, nieuniknione w takiej złej toni. Aby więc je wszystkie razem utopić, że tak powiem, w źródle najpewniejszych nadziei i pociechy, rzekł:—Uspokój się JW. pani, uczynim wszystko, czego dzisiejszy stan rzeczy wymagać będzie, a tymczasem idźmy do kaplicy, idźcie i wy wszyscy za panią; zmówmy litaniją do Najświętszej Boga-Rodzicy, której obraz macie w ołtarzu, a gorąco! a gorliwie! Służyć ręką, to nic; służyć sercem, to grunt. Okażcież teraz wszyscy w nieszczęściu dobrodziejów waszych, że im tak służycie. Marcinie, prowadź panią do kaplicy.

Noszona dotąd na krześle, wstała starościna sama—tak to jest prawdą, że nieszczęście dodaje sił do zniesienia go i wytrwania. Wsparła się ona na rękę Marci-

na, chętniej odeń niżeli od kogo innego przyjmując tę pomoc, bo wlekąc się, jeszcze raz go zapytała: »To ona mówiła że nas kocha?«—i znowu Marcin te miłe dla niej powtórzył słowa, nie rozumiejąc jak wielkiego one były znaczenia i skutku, a co przewidział Ks. Daniel, gdy mu panią prowadzić kazał.

Gdy tam weszli, starościna, niefolgując słabości swój i chorobie, uklękła na swym klęczniku, a Ks. Daniel odsunął bogatą firankę zasłaniającą obraz. Marya Boleśna okazała święte oblicze swoje: miecz przeszywał jój piersi, a boleść i miłość tak żywo i tkliwie jednoczyły się w jój oczach, że się zdawać mogło, jakby na tę chwilę rzewniła się ona współczuciem i miłosierdziem dla nieszczęśliwej matki. Wrażenie głębokie przejęło na ten widok nie tylko Ks. Daniela, ale i wszystkich.

—*Módl się za nami! módl się za nami!*—

odpowiadano mu z westchnieniem, gdy on litaniję odmawiać począł; a gdy przyszło ofiarowanie, modlitewka którą nieraz może nie jeden z moich czytelników, uciśniony troskami życia, w duchu lub cichemi słowy odmawiał: »Pod Twoję obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko! naszymi prośbami nie racz gardzić w potrzebach naszych... w smutkach naszych—dodawał kapłan, któremu łzy biegły po licach—ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawić i ratować. Pani nasza! Orędowniczko nasza!... Pocieszycielko nasza...« Natenczas łkanie wszystkich ledwo dozwalało powtarzać te słowa, a starościna, zakrywszy twarz rękoma i oparłszy głowę na poręcz klęcznika, duszą je powtarzała.

Nakoniec powstał Ks. Daniel i jakby natchniony, rzekł:—Matko! boleścią połączyłaś się z matką która syna na krzy-

żu opłakiwała; ufaj! ona cię wspierać będzie.

— Pójdźmy — to mówiąc podał rękę starościnie, która jeszcze raz spójrzała na obraz i wyszła pokrzepiona na duchu, modlitwą i nadzieją, z tego współnictwa boleści wypływającą.

ABRAHAM ILSKI.

Poleciwszy kobietom otaczającym starość czuwanie nad nią, wyszedł Ks. Daniel z pałacu i udał się śpiesznie do mieszkania dworskich, to jest do oficyny, na tymże samym pałacowym dziedzińcu stojącej. Rozruch w całym dworze był największy. Pan Tatura, otoczony kilkunastu osobami, i wyższy głową od wszystkich, perorował coś żwawo i zamaszysto. Po całym dziedzińcu bieganina była wielka; z miasteczka i do miasteczka rozmi-

jali się gońce w lipowej ulicy; kilku tatarów mieszkających w Illi, a przeznaczonych na posyłki, stało gotowych przy osiodłanych koniach; słowem, widoczném było, że wszyscy chcieli coś działać i radzić, ale właściwie rady sobie dać nie umieli, jednocząc tylko swe zdania na przekleństwach i złorzeczeniach Wołkanowskiemu.

Gdy się ukazał Ks. Daniel, wszyscy się doń rzucili.— A co słyszać, Reverendissime? A jak się ma starościna? A co oni mówili? jak uciekali? Pan Tatura powiada, że starosta wyrzeczce się córki, a pan Pauksza mówi, że to nie może być. Pan Tatura chce posyłać do pana i już Tatarów sprowadził, a pan Mężyk mówi, że trzeba czekać co rozkaże pani. A w miasteczku co się dzieje, gdybyś Jegomość wiedział? choć ty na gwałt dzwoń! Szlachta pije na *zufał*, a wszystkim réj wodzi

ten przeklęty krętacz Kulesza.— Ks. Daniel, nie odpowiadając na te wszystkie hałasy i pytania, wziął Taturę za rękę i wprowadził go do jego własnej izby w oficynie.

—No, panie marszałku—(bo ten obowiązek pełnił na dworze starosty)—dobrześ skonkludował: trzeba pisać i posyłać do pana.

—I ja tak mówiłem—odpowiedział Tatura— a te błazny mnie zakrzyczeli— i Mężyk ze swoim zdaniem wyjechał. Koniuszy! mądra głowa! — trzeba — prawi— czekać co pani każe?— chciałem już iść po Jegomością dobrodzieja do pałacu.

—Pani nic nie każe, bo w żałosci i smutku nie jest w stanie rozkazywania czegokolwiek.

—I ja tak mówiłem—rzekł znowu Tatura—posłańce gotowi, wysyłajmy na różne strony. Starosta pojechał wprawdzie do

Grodna, ale ztamtąd miał się zwrócić na Słonim i Nieśwież; więc Bóg wie gdzie go szukać? pošlemy więc do wszystkich tych miejsc. Tylko w tém sęk *Reverendissime*, że trzeba pisać do pana; a już wiesz Jego-mość dobrodziej, że ja w skrypcie nie-mocny, a tém bardziej w takich cyrkum-stancyach.

— No, ja napiszę — rzekł ksiądz Daniel — ale prócz tych posłańców, rozpo-rządź zaraz i posyłaj Mężyka rozstawio-nemi końmi po doktora do Wilna, bo któż wie? może pani potrzebować go bę-dzie. W takiem wielkiem zmartwieniu doktor nieodstępny być powinien, na dwornego felczera spuszczać się nie moż-na. — I usiadł zatém do pisania listów, a marszałek poszedł rozrządzić wnet wysła-nie po doktora.

W godzinę jedno i drugie było speł-nione. Mężyk jechał śpiesznie bryką po

drodze do Wilna, a tatarzy kłusowali do Grodna, Słonima i Nieświeża, każdy w swoją stronę; Tatura zaś, wiedziony ciekawością, na ten raz nienaganną, poszedł do miasteczka podsłuchiwać pijaną szlachtę, a nuż się czego nie dowie, co by się tego fatalnego zdarzenia tyczyć mogło? Zatem ksiądz Daniel został sam jeden, i wsparłszy głowę na rękę, siedział przy stole, na którym listy swe pisał, zadumany głęboko... gdy we drzwiach nowa okazała się figura—żyd.

Był to pan Abraham Ilski, tak nazwany od miasteczka, w którym od dziadów i pradziadów mieszkał, które trzymał arędą i w którym obszerny prowadząc handel leśny, utrzymywał znaczny ruch kupiecki, dając zarobek i sposób do życia wielu biednym rodzinom swych braci. Był to *morejna*, w całym znaczeniu tego wyrazu, a osobą swą przedstawiał pra-

wdziwego dostojnika Mojżeszowego narodu.

Imie też jego przypadało właśnie do jego postaci; bo w rzeczy samej, z oblicza tego sędziwego i szlachetnego, brody siwej i poważnej, czoła łysego i wysokiego, oczu czarnych pełnych życia i wyrazu, malarz alboby podobieństwo do obrazu tego patryarchy, albo wzór na jego obraz upatrzył.

W grodetury i atłasy ubrany był cały pan Abraham. Żupan atłasowy czarny, srebrnemi haftkami i pętlicami na pierśsiach zapięty; takiegoż koloru płaszcz długi grodeturowy, taśmami i kutasami sutemi jedwabnemi na szyi przywiązany i szerokie na wiatr rozpuszczający poły; nakoniec trzcina ze srebrną gałką w ręku, a aksamitna jarmułka, wążutkim galonikiem oszyta, na głowie, dopełniała tego uroczystego stroju, w jakim ukazał się

on we drzwiach izby, w której siedział samotny ksiądz Daniel.

Rzadko dziś bardzo, a wkrótce i zupełnie nie ujrzysz między Izraelskim ludem takich staroświeckich postaci. Znikają one z nowego pokolenia, przekształcającego się w powszechną europejską ludność; przewodniczyli oni niegdyś w synagogach i kahałach, zasiadali i radzili w owych tajemnych sanhedrynach, kierujących losami tego wygnańczego narodu, a razem trzymali w swych rękach handel całego kraju. Wyżsi prawością, i dostojnością, że tak powiem, a zwykle i mieniem, nad gmin szynkowy swych jednowierców, wyrabiali oni ogromne lasy Litewskie i wszelkie inne płody ziemi naszej za granicą popłatne; len, pieńka, siemie, na miejscu przez nich opłacane, szły do portów i wzbogacały ich coroczniemi zyski. To dawało im wstęp do

wszystkich znakomitszych panów, którym gotowemi zawsze służyli kapitałami, a w tych stosunkach nabywali poloru, taktu i pewnego rodzaju powagi i godności, która uszlachetniając ich w oczach własnych, uszlachetniała razem ich sumienie i postęпки.

Żyd taki trzymał się ściśle swojego zakonu: wznosił własnym kosztem po miasteczkach szkoły, pokrywał w nich srebrnemi blachami dziesięciora, hojne ubóstwu wyprawiał szabasy. Ale mimo to przywiązanie do religii swych ojców, wyzuwał się jednak w pewnym stopniu zniechęci ku Chrześcijanom; owszem częstokroć przywykał serdecznie do rodzinnego siedliska i do panów, pod których opieką kilka swych pokoleń wychodował.

Mamy i dziś żydów bogatych, miewamy w nich kupców rzetelnych, ale takich *morejnów* nie mamy już — a różni-

ca główna w tém, że prawość i rzetelność tych ostatnich, przynajmniej zarówno z oszacowania siebie i ludzi, z którymi obcowali, jako i z interessu dobrze zrozumianego wpływała; dzisiejszych—tylko z interessu. Daruje mi czytelnik tę małą dygressyę, bo w niej razem i pana Abrahama Ilskiego opisałem, który wpływa do mego opowiadania.

— Z przeproszeniem godności pańskiej— rzekł więc, zatrzymując się we drzwiach Abraham— czy mogę wejść i pogadać trochę z księdzem dobrodziejem?

Ksiądz Daniel podniósł głowę i ujrawszy nadchodzącego, łatwo się domyślił, że go tu wspólnie wszystkim dotkliwa bieda przyprowadziła. — Proszę, panie Abrahamie — odpowiedział zatém — proszę.

Abraham wszedłszy, zaszczepił za sobą drzwi na kruczek, obejrzał się na wszystkie strony i zbliżył się potém do stołu.

— Siadaj, panie Abrahamie— siadaj!

Abraham usiadł, bo dla wieku i pocziwości, starosta nawet długo mu przed sobą stać nie dozwalał; dobył potém srebrnej tabakiery, zażył z niej, pogładził poważnie brodę i patrząc w oczy księdzu— posłałeś Jegomość dobrodziej po starostę?— rzekł.

Ksiądz Daniel skinął głową— i po doktora— dodał— bo staroscina słaba.

— Dobrze pan zrobił— ale cóż dalej będzie? bo zawsze od początku trzeba patrzeć na koniec. Pogadamy o tém sam na sam z Jegomością dobrodziejem; może istary Abraham, stary przyjaciel i sługa panów, cokolwiek poradzi— mówił dobrą polszczyzną, choć obrótem słów sobie właściwym.— Więc cóż dalej będzie, Mości

księżę dobrodzieju? — ponowił on pytanie.

— Co Bóg da, panie Abrahamie, co Bóg da; my pokornie o miłosierdzie jego błagać będziemy.

— I my całym kahałem przez trzy szabase modlić się będziem: Pan Bóg, Mości księżę dobrodzieju, dla wszystkich jeden. Ale z przeproszeniem godności i mądrości pańskiej—tu znowu zażył tabaki i mówił powoli—ja myślę tak: Powróci pan starosta, aj gwałt! strach! co to będzie? no, na końcu odpuści się—bo on ojciec, a to jedynaczka, i zapyta się, gdzie ona pojechała?... a matka odpowie płacząc, ja nie wiem... może już umarła! to pan starosta weźmie się za głowę, i będzie sobie włosy rwać... no, wtenczas kto jemu powie:—Ona żyje, i wiem gdzie żyje—to podziękuje on jemu; oj, i jak po-

dziękuje! i błogosławić jemu będzie! czy nie prawda?

—Prawda, ale daj Boże, aby to odpuszczenie jak najrychlej nastąpiło—odpowiedział Ks. Daniel.

—No, to Jegomość dobrodziej nad tém pracuj, ale ja myślę o córce. Oj biedna ona, biedna! choć ona tam z mężem, ale jój dusza tu.

—Z mężem...—powtórzył Ks. Daniel wątpliwie i potrząsł głową.

Abraham przenikając wnet myśli jego,—z mężem,—powtórzył głosem stanowczym—z mężem Mości księżu dobrodzieju; niechaj Bóg broni mówić inaczej! Na sto lat życia Jegomości dobrodziejowi... ale Jegomość popchni myśl swoją naprzód, dalej a dalej... Kiedy on nie mąż, a ona nie żona... to co będzie? to co będzie z ich dziećmi? Na sto lat biedy! na sto lat biedy—na dzieci, wnuki i prawnu-

ki! z przeproszeniem godności pańskiej.
Oj! oj! oj! strach i mówić i myśleć.

Ks. Daniel spuścił głowę i zamyslił się; pojął prawdę słów Abrahama, i jakby spójrzał w głęboką przepaść, którą on mu odsłonił.

Ten znowu kontynuował swe, nałogową kupiecką, że tak powiem, roz wagą i ostrożnością przecinane sensa—biedna ona, biedna! ona zna co rodzicom robiła... a jak jój przyjdzie do głowy, że starzy pochorują, a może i poumierają z żałości, to i mąż nie doradzi, Mości księżu dobrodzieju... a kiedy kto jój wtedy napisze—rodzice żywi i zdrowi—temu ona ręce i nogi całować będzie... A któż jój to napisze? Jegomość dobrodziej.—Ot dla czego ja tu przyszedł.

A gdzież ja napiszę?—rzekł ksiądz Daniel—nie wiedząc dokąd pojechali; chyba trzeba mi się obaczyć z tym...—pobożne

usta nie wymówiły wyrazu, który im gniew podawał — z tym Kuleszą; a nuż odeń czego się dowiem!

— To Haman! — zawołał Abraham — to Haman! po waszem Mości książe dobrodzieju, to Judasz nie dobrego. Jegomość od jego się nie dowiesz; bo co mówi Salomon: *»Srebro wyborne serce sprawiedliwego, ale język niebożnych za nic nie stoi.«* On podzielił się z Wołkanowskim pieniędzmi, które oni ugody wzięli za Sieliszcze.

— Ugody za Sieliszcze? — rzekł zdziwiony Ks. Daniel. — Ach! a ja sobie głowę suszyłem, dochodząc, zkądby Piotr dostał funduszu na tę podróż; ale zkąd znowu to wiesz, panie Abrahamie?

— Ot tak, Mości książe dobrodzieju. Kulesza zaszedł z całą swoją gromadą do naszej karczmy, i kazał dać miodu; więc szlachta po swojemu pić zaczęła i huczny

prowadziła rozhovor, a ja zdaleka przysłuchiwałem się; aż jeden pyta go: panie Janie, a wiele wzięłeś *rebochem* od Wołkanowskiego, za to, że zaprzedałeś jego Sieliszcze?

A on na to — ot imainacya: co to do tego należy; widzi Jegomość, że jego takie przysłowie:—Co tobie do tego, krzyknął na szlachcica; pij i milcz!

— No, to szlachciec tak i zrobił, ale ja domyśliłem się całej téj sprawy.— Kulesza, wielki prawnik, on wszystką szlachotę za nos wodzi, a óni słuchają go jak monarchę; on musiał ten interes zrobić i wziął *oberchabę* dobrą, a Wołkanowski dostał pieniędzy na drogę.

— Rozumiem, teraz wszystko rozumiem — mówił Ks. Daniel, potrząsając głową; nie do rodziców więc on jeździł, ale kończył przez nagłą ugodę ten proces o Sieliszcze, *staraniem* Sołohuba od-

nowiony. Więc zkadże weźwiemy wiadomość gdzie oni pojechali?

Tu poglądając poważnie swą siwą brodę, mówił Abraham:—Mój wiernik *Hirsko*, to on niby prosty sobie żydek, ale...—postukał tu palcem w głowę—ale gdybym ja jego do piekła posłał, to i z samym Lucyperem kontraktyby zrobił, i nie dałby się oszukać. A kiedy ja jemu powiem *chejrym! cyt!* to jak kamień do wody... Otóż Mości księżu dobrodzieju, gdybym ja jego naprzykład...—a tu stukał po tabakierze—gdybym naprzykład, ja... *Abraham Ilski*, kupiec, wysyłał mego wiernika *Hirskę*, dla opatrywania puszczy po całej Polsce. No, to on jedzie i jedzie... a rozpytuje się po drodze u żydków, gdzie oni nocowali? gdzie popasywali się? gdzie im koło zła mało się? wszystko za niemi a za niemi, aż póki gdzie nie osiada. Wtenczas on

pomału, nieznacznie, dowie się co tam na miejscu dzieć się będzie? kto tam z niemi? i z kim oni? i o wszystkiem, co nam wiedzieć trzeba będzie?... A kiedyby tam bięda była, to on będzie miał...—tu uderzył po kieszeni.— Czy tak dobrze, Mości księże dobrodzieju?

Ks. Daniel patrzył zdziwiony w oczy żydowi, który nie przestając gładzić swęj srebrnej tabakiery, i wzajemnie patrząc w oczy księdu, oczekiwał odpowiedzi.

W końcu ks. Daniel ujął rękę Abrahama i ściskając ją, wzruszonym głosem rzekł:—Tyś poczciwy i rozumny człowiek; każdy poznałby tu konieczną potrzebę wiadomości, gdzie się znajdować będzie córka starostów; aleś ty potrzebę tę z serca rodziców i dziecka rozpoznał; sam więc masz serce.

—I sam mam dzieci—przerwał Abraham.

—A serce twoje dobre jest i wdzięczne,

dodał ks. Daniel—gdy nawet pieniędzy nie żałujesz.

—Jak to, Mości księże dobrodzieju? córka moich panów miałaby być bez chleba! no, o tém potém. Ale czy dobrze tak będzie jak mówiłem?

Ksiądz Daniel pomyśliwszy nieco—dobrze—rzekł—i bardzo dobrze, byle nikt nie wiedział ani o wyjeździe twego wiernika, ani o powrocie; bo gdyby starosta przed czasem dowiedział się o schronieniu córki, mógłby w gniewie ścigać ich i powiększyć własne, żony swój i dzieci nieszczęście.

—A *chejrym*, Mości księże dobrodzieju! a *chejrym*!

—Kiedy tak, to wysyłajże tego swego Hirszka, panie Abrahamie.

—No, to już i wysłałem.

—Jak to? już wysłałeś?

—Wysłałem, a Jegomości dobrodzie-

jowi dziękuję, że pochwaliłeś to, co ja zrobiłem; teraz czy *Hirszo* co napisze, czy sam powróci, ja Jegomościa dobrodzieja wnet zawiadomię i znowu radzić będziemy. Kontent jestem! bo co mówi Salomon: »Daj mądrymu powód, a przyczyni mu się mądrości; nauczaj sprawiedliwego, a pokwapi się wziąć (1)« a to się tyczy mądrości Jegomościa dobrodzieja.

— Bodaj czy nie więcej mądrości wacpana, panie Abrahamie — rzekł, uśmiechając się ksiądz Daniel — zawsze jednak winszuję, że tak dobrze znasz świętą biblię.

— Ach! z przeproszeniem godności pańskiej, to tak, jakbyś mnie Jegomość dobrodziej winszował, że umiem chleb jeść; a teraz do zobaczenia i do nóg upadam.

(1) Przypowieści Salomona.

— Do zobaczenia — powtórzył ksiądz Daniel — do zobaczenia!

Araham skinął głową, włożył na nią szeroki kapelusz, wziął swą trzcinę w rękę i wyszedł, krocząc poważnie przez lipową ulicę do miasteczka.

Powrót ojca.

Błogosławiony dom, który miał i który miećby mógł dzisiaj u siebie takiego kapelana, jakim był ksiądz Daniel, takiego stróża wszelkich cnot chrześcijańskich, takiego przyjaciela i doradcę w trudnych okolicznościach życia, takiego pocieszyciela i Bogomódlcę w nieszczęściu.

Żaden dom pański dawniej nie obszedł się bez kapelana i bez domowej kaplicy. W niej codziennie panowie i dworscy słuchali Mszy Ś-tój, jedni drugim służąc przykładem do jej ozdoby; panie, córki i respektowe dzie-

wice szyły w krośnach bogate kobierce i zapony; w niej znakomitym kosztem okupione, lśkniły się złotem i srebrem mszalne apparata, a drogiemi kamieniami święte naczynia. Słowem, przepych i zbytek panów, wszędzie naówczas dowodzący zarozumiałej dumy magnatów, tu we wspaniałych ofiarach dowodził ich pokory przed Bogiem i chętnego poświęcenia Mu ich bogactw.

Kapelan pobożny i mądry (a takich zwykle wybierano), jakby drugi ojciec wchodził w rodzinę, którą codziennie w swych modłach polecał opiece Boskiej. Dzielił z nią złe i dobre chwile, uspakał domowe rozterki, karmił i hamował częstokroć można-władcze pana zapędy, słowem, posiadając miłość i zaufanie wszystkich, utrzymywał pokój, umiarkowanie, swobodę i religiję w domu.

Takim był ksiądz Daniel. Do tych przy-

miotów swego stanu, łączył on jeszcze szczere i serdeczne przywiązanie do rodziny Sołohubów, których był nawet krewnym dalekim; kochał i cenił starość, poważał bardzo starostę, kochał czule, jakby ojciec Maryę, której tajemnic wiary świętej nauczał; lubił nawet Wołkanowskiego, bo odeń głębokiego synowskiego uszanowania codzienne odbierał dowody; był on zatem duszą Ilskiego dworu.

Ksiądz Daniel był Jezuitą.— Czuje ja, że na to imię nie jeden z czytelników moich, powszechném napełniony uprzedzeniem o tym zakonie, w charakterze enotliwego i pobożnego kapłana, z trudnością upatrzeć będzie mógł Jezuitę. Wszakże w czasie, do którego odnosi się ta powieść, największa część magnatów naszych miała domowych kapelanów z tego zgromadzenia. Przypuścić zatem niepodobna, aby zakon ten cały, z którego

wyżsi oświeceniem, a pobożni ludzie wybierali sobie stróżów sumienia, składał się tylko z chytrych intrygantów i stronników jedynie swój instytucyi. Nie tu miejsce rozwodzić się szerzej o tym przedmiocie, w rozmaitym już względzie nie raz rozbieranym; chcę ja tylko wzmianką tą strącić z drogi wyobrażeń czytelników moich myśł, któraby w obrazie cnót i świętobliwości przedstawionego przezemnie kapłana, cień niejakiejś wątpliwości rzucić mogła; zresztą, w ogólności dodam, że zakon, który dał Polsce *Piotra Skargę*, *Sarbiewskiego* i wielu innych znakomitych obrońców wiary naszej, nie zasługuje na bezwarunkowe nienawistne wspomnienie (1).

(1) Jezuici w naszym kraju, nie mieli wprawdzie powszechnej sympatyi, którą im inne zakony, zazdrośne ich powodzeniu i przewadze, w klasie zwłaszcza średniej obywatelskiej, psuć starały się, ale też nie mieli i powszechnej nienawiści:

Przeszło dni kilka spokojnych w Illii. Dwór był smutny jakby w żałobie. Przybyły doktor z Wilna nie odstępował starościny, ona wszakże w modłach i pobożności, w którą ją pogrążył ksiądz Daniel, więcej spokoju, a zatém i sił, niżeli w jego medykamentach znajdowała; pocieszał ją cnotliwy ten kapłan upewnieniem, że wkrótce wiadomość o córce będzie miała,

zatém po skassowaniu ich nie było żaloby, ale też nie było i powszechnego, jak gdzie indziej, najgrawania się. Naród przyjął upadek instytucji ze zdumieniem, ale jej członków wychodzących gromadami ze wspaniałych klasztorów, spotkał jak braci swoich, jak ziomków i kapłanów i każdego po szczególe chlebem powszednim opatrzył. Jezuici Polscy ponieśli tu pokutę za braci swoich zagranicznych; bo nie sięgając w głębszą przeszłość, w ostatniem stuleciu ich istnienia, nie wdawali się oni w żadne głębsze polityczne intrygi któreby rząd kraju zakłócić, obrazić lub zatruwić mogły; wpływ ich dosięgał wprawdzie możnowładze rodziny, w których wielu jeszcze swoich wychowanców i uczniów liczyć mogli; lecz w ostatnich czasach i ten wpływ się zmniejszył, już to wzniesieniem się odmiennęj opinii we względzie wychowania młodzieży, szerzonęj szczególniej przez Pijarów, do których

i przygotowywał do spotkania się z mężem, którego codzień oczekiwano.

Nakoniec przyszła ta chwila, i jednego ranku, gdy ledwo słońce wschodzić zaczynało, ksiądz Daniel siedząc na ganku i szepcząc pacierze, postrzegł w lipowej ulicy pojazd, który wnet stanął przed gankiem i wysiadł zeń starosta.

Spotkał go ksiądz Daniel; twarz jego zmienioną była, ale więcej w niej zapamiętania niżeli troski się wydawało—

konwiktów znakomitsze domy oddawały swych synów; już to rozwinieniem się ogólnych wyobrażeń oświecenia, niezgodnych z Jezuicką rutyną. Pamiętam, że za młodu słyszałem, jak wspominając o skassowanych Jezuitach, nazywano ich zakon „*Kabak na rozumy*”— to jest, że zgromadzając oni u siebie i garnąc mądrość wszelaką, wydzielali z niej pod miarą i wagą część narodowi i to jeszcze na własny gatunek przerobioną; definicya ta popularna, po większej części była sprawiedliwą, lecz gdy *Kabak* podjęto, zapasy mądrości tam nagromadzone rozlały się po kraju i weszły do powszechnego użycia. Skassowanie zatem Jezuitów nie usprawiedliwione tu wprawdzie żadnemi głównemi przyczynami,

smutek mężczyzn bliższy gniewu— smutek kobiet bliższy łez.

— Jak się ma moja żona? — zapytał nie witając się nawet— pisałeś do mnie, że słaba— a oddychał głęboko, jakby się u-mordował.

— Właśnie chciałem najpierwszy spotkać i przestrzedz pana— rzekł ksiądz— że staroscina potrzebuje wielkiej spokoj-

przeciw nim gdzieindziej świadzącemi (Paraguay), podwójną jednak przyniosło korzyść narodowi; raz, dając ogromne fundusze na edukację krajową, powtóre, dając pobożnych i uczonych ludzi, którzy uwolnieni z pod obowiązków, jakimi ich reguła i prawa zakonne obarczały, gorliwość tylko kapłańską i naukę z cel klasztornych wyniosłszy i stosując ona do nowych widoków i pojęć, wsparli liczbą i światłem wyższe zwłaszcza narodowej instrukcyi zakłady. W niedawnych czasach pojawiła się u nas jakaś niespodziana literacka krucjata przeciw nieobecnemu nieprzyjacielowi, to jest przeciw Jezuitom, wzbudzona bodaj odbiciem się prelekcyj antyjezuitkich, w Paryżu z katedr głoszonych; ale wkrótce ustała wojna, dla braku oporu nie istniejącego nieprzyjaciela i zda się, że już się u nas więcej nie wznowi, chyba wzmianką w dziejach, które każdy fakt spełniony do swęj treści garną.

ności, i że każde wzruszenie mocne, może ją o niebezpieczeństwo życia przyprawić; tak mówi pan *Baranek* (1) który tu od dni pięciu siedzi, a i bez niego łatwo to poznać.

— Więc sprowadziliście Baranka?

— A wszakżem pisał do pana, że rozstawionemi końmi po niego wysłałem, lękając się o starośćinę.

— A tak, zda mi się, że to jest w twoich listach; więc moja żona słaba?

— Choroby żadnej wyraźnej nie ma, nawet róża przeszła: ale stoi ona na tym śliskim punkcie, z którego najłżejsze popchnięcie w grób ją pograży. Czeką pana niecierpliwie i z bojaźnią; szczęście, że rankami usypia trochę, bo sam turkot przyjazdu pańskiego jużby ją gwałtownie wzruszył; ja nie przestawałem dzień i noc

(1) Najsławniejszy ówczesny doktor w Wilnie.

pilnować, abym pana spotkał, i polecił miłości twój małżeńskiej panie starosto, życie twój małżonki.

—Wychowałem węża!—zawołał zapalczywie starosta,—który mię śmiertelnie ukąsił... ale, ale chyba mi śmierć oczy piaskiem zasypie — mówił konwulsyjnie ściskając pięście — będzie jeszcze jeden trup w tej przeklętej rodzinie!...

—Wejdźmy — przerwał Ks. Daniel — do pańskiego gabinetu, nie budząc starości; gdy się ocknie, pierwsze jój pytanie jako i zawsze będzie: czyś pan nie przybył?

Weszli więc do środka: dworscy na dziedzińcu zdaleka patrzali na to, nie śmiejąc zbliżyć się i powitać pana.

Godzinę mogła trwać konferencja starosty z Ks. Danielem, do której wezwa-

no i doktora. Oczekiwano chwili obudzenia się starościnęj i starosta walczył sam z sobą, aby się ile można zdobyć na spokojność, i spotkaniem nie dobić żony... gdy nagle i niespodzianie drzwi się odemknęły i ona weszła... Przerażony starosta spojrział na nią... serce mu się zatrzęśło!...

Ona podniosła nań oczy, a wspierająca ją panna zaledwo ją utrzymać mogła... W mgnieniu oka taka głęboka miłość, żal i litość wzajemna objęła ich oboje, że słowa nie przemówiwszy, jakby niewidomą ręką ku sobie popchnięci, już byli w objęciach... płacz ich głośny, rzuwny, jękami przerywany, rozległ się natenczas. Ks. Daniel, łkający sam, nie mógł koić nieszczęśliwych; doktorowi nawet łzy strumieniem płynęły.

Nakoniec starosta składając żonę na

kanapie rzekł: — ty przynajmniej zachowaj się dla mnie!

—A ona... a ona!... — ozwała się zaledwie przemówić mogąca starościna — ona mówiła, że umrze kiedy jój wrócić nie dozwolim, że nas kocha...

Na to wspomnienie, płomień, zalany łzami, buchnął na nowo w staroście; krew czerwonymi plamami zarumieniła bladą twarz jego; już — już miał zbluźnić Bogu, lub przekląć swe dziecko... ale kapłan spojrzał nań... spojrzał nań wzrokiem, jakim wybrani tylko słudzy Pańscy są obdarzeni — jest to wzrok ducha, któremu oko jest tylko zwierciadłem, przed którym topnieją namiętności ludzkie... który zwrócony na człowieka wraża mumiłość i pokorę: zwrócony ku niebu, jedna dlań pokój i miłosierdzie... Wzrok to Chrystusa na krzyżu, pocieszającego matkę na ziemi, i błagającego Ojca w niebio-

sach!!! Czyż wzrok taki ludzkiemi słowami opisać się może...

Urokiem czy potęgą wejrzenia tego, bo się wyrazić nie umiem, dotknięty starosta, ochłonął i najtkliwszemi zaklęciami błagał żony, aby zdrowie swe szanowała: a gdy *Baranek* nalegał, by cały ten dzień została w łóżku, i żywe swe wzruszenie uspokoiła, przeto sam starosta odprowadził ją do jej sypialni, i wzajemne troskliwe i czułe o zdrowie swe odebrawszy prośby, powrócił do swego gabinetu, i rzucił się na kanapkę, chcąc zmęczone podróżą, niewczasem i wewnętrzném udęczeniem siły pokrzepić.

Dnie smutku w Illii wlekły się leniwie; dworzanie snuli się jakby ospali. Tymczasem starosta chciał koniecznie dosłodzić, kto we dworze, szczególnież z ko-

biét, które podejrzywał najbardziej, mógł pośredniczyć między jego córką, a Wołkanowskim? Mniemał on, że miłość, która ją aż do opuszczenia domu rodzicielskiego doprowadziła, musiała mieć powierników, musiała długo się pierwój rozpłomieniać, musiała mieć ułatwione osobiste wyznania i układy ucieczki, musiała mieć tajną korespondencyę, słowem, musiała przechodzić wszystkie symptomata i konieczne, a zwyczajne swe koleje. Nie pomyślał on, że uczucie to jak pożar nagły, częstokroć w jednej chwili tuż się i wznieca i wzmacnia; że promieniąc z serc i z oczu zakochanych, ożywia się i komunikuje wzajemnie; że jedno słowo między niemi wyrzeczone niedosłyszany przez świadków półgłosem, więcej znaczy i stanowi, niżeli tysiące przez powierników.

Brał on więc kilkakrotnie na ściśle exa-

mina Porebską, jako najbliższą sługę i ochmistrznię Maryi. Lecz téj łyzy i rozpacz przekonywały dostatecznie, że nie tylko współniczką nie była, lecz nawet przypuścić sobie do głowy nie mogła ściślejszego między zakochanemi porozumienia; a nawet zbliżanie się częste na pokojach Wołkanowskiego do Maryi, ze zwykłą przenikliwością kobiécą, niebezpieczném i nieprzyzwoitém być sądząc, pierwsza ostrzegła starostę, i skutkiem właśnie téj przestrogi, Piotr tak nagle i niespodziewanie ze dworu wyprawionym został.

Nie uszły także podejrzeń i pytań panny respektowe; ale były to dziewice szlachetne, towarzyszki Maryi, lecz starsze od niéj wiekiem, niektóre i o lat kilkanaście; dzieliły one smutek dobroczyńców swoich, ale samo to podejrzenie tak ich dojęło, że żądały dozwoleń powrotu do swych domów, na co w obecnym stanie

zgodzić się niepodobna było, gdyż każda z nich czułym staraniem około starości-
ny, córkę jęj zastąpićby chciała. Z kolei
dziewczęta pokojowe przeszły przez rów-
neż badania, ale i te płaczem tylko na
prośby i groźby pana odpowiadając, oprzy-
sięgały swą niewinność. Nakoniec ksiądz
Daniel, obecny wszystkim tym inkwizy-
cyom, zapytał raz uroczystym głosem:—
Czego to śledzisz, panie starosto?

—Dziwne pytanie!— odpowiedział on.

—Nie, nie dziwne—mówił ksiądz—
bo szukasz sam dobrowolnie jadu, któ-
rym masz zalać i zajątrzyć jeszcze go-
rzej ranę twojego serca.

—Nie rozumiem cię—rzekł Sołohub.

—Szukasz zemsty. Dotąd jesteś nie-
szczęśliwym, a chcesz zostać prześladow-
cą! Dotąd możesz z czystym sumieniem
wzniesć oczy do Boga i błagać jego łaski
i wsparcia; a chcesz sumienie twoje tak ob-

ciężyc grzechem, abyś oczu na ołtarz Pański wzniesć nie mógł.

—Jakto, księże Danielu! Mamże spokojnie, bez dosłedzenia i kary zostawić tego, który pomógł do najsroźszego mego nieszczęścia? do zguby mego domu, do okrycia nas hańbą i wstydem?... Księże Danielu!... ja tego wymówić nie mogę... ale...—tu w najwyższém wzruszeniu drząc cały, rzucił się na kanapę.

Ksiądz przetrwawszy to mocne wzruszenie starosty, rzekł znowu:— Więc kiedy chcesz koniecznie znaleźć winnego, ja ci go wskażę.

— Kto? — niecierpliwie powstając zapytał starosta.

—Ty sam—wymówił poważnie kapłan.

—Błuźnisz, księże!

—Nie, nie bluźnię.— Ty sam! to jest twoja pycha, która cię zaślepiła i która tak wysoko Sołohuba, a tak nisko Woł-

kanowskiego w oczach twych stawiała, że ci i na myśl nie przyszło, że ten młodzieniec ma serce, i że twa córka ma je także; gdybyś był mniej dumnym, byłbyś ostróżniejszym: w ich wieku...

— Jak to? chcesz więc i jego usprawiedliwić? — przerwał starosta. Prawda, nigdy sobie nie pomyślałem, aby taka zachwałność mogła w nim powstać; lecz gdy mam nieostróżność potępiasz, czémże nazwiesz jego postępek?

— To jego winy nie zmniejsza bynajmniej.

— A ona! ona! — mówił coraz bardziej rzewniąc się starosta — ona, nasza pociecha jedyna! ona chluba nasza! moja pieszczota! ona moja nadzieja! Ona niewdzięczna! — tu łzy mu się polały. — Oh! księżo Danielu, nie jesteś ojcem, nie znasz jakiego cios sercu rodzicielskiemu zadaje niewdzięczność dzieci!...

— Ona nieszczęśliwa teraz — kończył ksiądz Daniel, podniecając czułość ojcowską — ona krwawemi łzami płacze teraz zapewne po rodzicach.

— Nie, księże Danielu, nie! daj mi pokój; ona nie myśli o naszych męczarniach; nie myśli, że nam grób własnemi rękami otworzyła! o Boże! daj mi zapomnieć to wyrodne dziecko!...

Ksiądz Daniel wznosił oczy w górę i przeciwną w myśli ofiarował Bogu modlitwę; a ucieszony w duchu, że czulsze wspomnienie córki w sercu starosty obudziło się, że tkliwą łzę w oczach jego ujrział, zaczął od téj chwili przypuszczać nadzieję, że przyjdzie czas gdy za pomocą Bożą duma się miłością pokona.

Z poszukiwań tych wszakże utwierdziła się ta pewność, którą już wprzód Abraham odkrył i księdzu Danielowi objawił, że Kulesza nietylko do ślubu i do ułatwie-

nia ucieczki, czego wielu było świadkami, pomagał, ale że Wołkanowski, oddalony przez starostę, nie do rodziców swoich lecz do niego się udał, że z nim razem jeździł do *Horodyszcza* dla zawarcia kombinacyi z właścicielami ówczesnemi *Sieliszcza*, że wziął od nich ugodą kilkaset czerwonych złotych, a ugodę tę doprowadził i pisał nawet *Kulesza*, bo był zawołany prawnik. Na niego więc miał wyrzucić całą swą zemstę starosta; i gdy właśnie szukał ku temu sposobów i projektów, przyjechał do Illii tenże sam *Kulesza* — *trupem* — bo nagłą śmiercią zabity, co mu za karę Boską policzył starosta.

Tymczasem ksiądz Daniel niecierpliwie oczekiwał powrotu wiernika Abrahamowego; tém bardziej, że starościna żyła tylko nadzieją téj wiadomości i co-

dzień o nią się dopytywała. Starosta milczał, nie wspominał córki; ale czy to za przykładem żony, czy to ze zmartwienia tłumionego wewnątrz, znabożniał bardzo. Codzień słuchał w kaplicy Mszy Stój, odmawiał różaniec i tym podobnie, do czego dawniej nie bardzo tęsknił; a jeżeli kto z sąsiedztwa odwiedzał dom ten, niedawno tak uprzejmy i otwarty, to albo nie widział się z gospodarzem, wymawiającym się słabością zdrowia, albo gdy przybyły był takim, że go koniecznie przyjąć trzeba było dla jakiego interesu, to z pierwszego wejrzenia na starostę litość brała gościa, tak, że sam skracał chwile udręczających odwiedzin. Ku żonie tylko, która się nieco podźwignęła ze swój słabości, podwoiło się w nim przywiązanie i tkliwość; snąć ona w nim teraz zajęła całe serce, rozdzielone dotąd na dwoje drogich mu istot. Starosta pielęgnował ją,

pieścił najczulój, a gdy ją rozrzewnioną i płaczącą obaczył, tulił do swych piersi głowę jój i najtroskliwiój o folgowanie zdrowiu błagał. Lecz tego, coby ją jedynie pocieszyć mogło, to jest myśli swych o dziecku zawsze jój drogiém, nigdy nie odkrywał, ani wspomniał; więc i ona nie śmiała wymówić jój imienia; a tak milczeniem, jak żałobnym całunem pokrywali oni oboje między sobą przepaść, której zgłębić jeden nie miał woli, a drugi siły.

Ks. Daniel, baczny na każdy krok starosty, jak doktor uważający każdy symptomat chorego, każde tętno jego puls, i znający głęboko serce ludzkie, lubo się cieszył tém nabożeństwem i tą miłością jego dla żony, nie jednak pomyslnego nie wróżył ztąd jeszcze dla córki. Mniema on, myślał w sobie mądry kapłan, że ich dwoje tylko zostało dla siebie na świecie; wspiera ją i pielęgnuje, bo jój miłością

chce siebie napełnić, a własną miłością dla niej, zatrzeć w jej duszy uczucia matki... Nieborak! źle kalkuluje, myli się i o sobie i o żonie, bo chce zwyciężyć naturę.. ale zły to znak; bo pobudzając się do jednej, choć najpocziwszej miłości, usiłuje zapomnieć drugiej... garnie się i ucieka do Boga, bo światu i ludziom nie śmie zajrzeć w oczy, bo się wstydzi upokorzenia. Oh! modlitwy jego nie jednostajnej intencji z żoną... daleko z nim jeszcze do końca!...

Pierwsza wiadomość.

Tak upłynęło parę miesięcy. Ks. Daniel codzien pod wieczór odbywał przechadzkę do miasteczka, i albo zachodził do Abrahama, lub się z nim w ulicy spotykał, dla nieznacznego komunikowania się. *Hirszki* jak nie było, tak nie było;

niecierpliwiącego się, Abraham uspakajał, mówiąc:—Mości księżu dobrodzieju, *Hirszo* darmo nie siedzi, daleko widać oni zajechali.

Nakoniec, pewnego piątku, wchodząc z jednego końca do miasteczka, Ks. Daniel, postrzegł w drugim pędzącą szybko brykę; z pośpiechu i smagania koni domyślił się, że jedzie żyd jakiś śpieszący na szabas już zapadający, a przeczućciem zgadł, że to *Hirszo*. Niżeli doszedł do karczmy, w której mieszkał Abraham, już bryka stanęła przed nią, a mała i większa rodzina Abrahama witała krzykiem wysiadającego z niej *Hirsza*; wyszedł i sam Abraham, a zbliżył się Ks. Daniel.

Po serdeczném między żydami *sata-mechem*, Abraham zaszwargotał coś po swojemu; *Hirszo* kiwnął głową; Abraham pogładził brodę, i toż samo kiwnię-

cie, poważniej tylko i z wesołym wej-
rzeniem oddał Ks. Danielowi.

Gięć a wek!—krzyknął on potem na tłuszcę dziatwy ich otaczającą, i rozpierzchnęli się wszyscy. *Hirszo* wyjął z wozu worek skórzany, w jakim zwykle żydzi chowają starannie w podróży swe modlitewne szaty i poszedł za Abrahamem, który także i na Ks. Daniela skinął. Serce mu biło gwałtownie, gdy wszedł do osobnej i czystej izby, zachowywanej przez Abrahama na konferencye handlowe, i talmudowe, w dniach uroczystych rozmyślania.

— Cóż, mój kochany *Hirszku*? cóż?—zapytał on niecierpliwie—czy żywa? czy zdrowa?

—Nu, a czemu nie ma być żywa i zdrowa? — odpowiedział zimno i spokojnie żydek, odwiązując swój worek, z którego

dostawszy list: — Nu, to od niej — i po-
dał Ks. Danielowi.

Ten aż ścisnął z radości *Hirszka*, a uj-
rzawszy na adresie, że list był do staro-
ściny, schował go za nadrę.

— *Aj wej mir*, jaki strach? ja u nich
cały tydzień gościł.

— Gdzież oni?

Tu trzykrotne uderzenie młotkiem
w okiennice: — *Giéj a szule!* — wrzasnął
szkolnik.

— Z przeproszeniem godności pańskiej,
Mości księżu dobrodzieju — rzekł Abra-
ham — trzeba nam iść do szkoły; jutro
wieczorem po szabasie, Jegomość dobro-
dziej pofatyguj się niby jak zawsze spa-
cerem do nas, to *Hirszko* wszystko roz-
powie; a nagle obracając się do wiernika,
zapytał:

— *Herst* du, a konie i furman zkad?

— Z Mińska — Rebe Abraham — a do

Mińska nająłem ze Świsłoczy, a do Świsłoczy...

— *Ganc gut, rebe Hirszko, ganc gut!* i śladu nie ma.

— Ks. Daniel pośpieszył do dworu, i jeszcze tegoż samego wieczora znalazł chwilę, w której zostawszy sam na sam ze starościna, dał jej list od Maryi. Nie będziemy opisywali stanu jej, gdy go drżąca ręką otwierała, gdy czytając najtkliwsze wyrazy miłości, najrzewniejsze żądanie miłosierdzia i przebaczenia, najgłębszy żal i pokorę, obfitemi go skrapiała łzami... gdy niezdolna w tym momencie do dłuższej modlitwy, wymawiała z najczulszém westchnieniem, przyciskając list do piersi: Boże! dzięki tobie! ona żyje! ona nas kocha jeszcze! Boże dzięki tobie!... I pierwszy raz Ks. Daniel ujrzał na jej twarzy, dobrotliwy, że tak powiem, uśmiech, jaki się pokazuje na udręczonych

obliczach, gdy wśród nieprzerwanych czarnych godzin życia, pierwsza nadzieja promieniem błysnie... Znika on wnet, bo odwykł od lic na których dawno gościł; tonie w niepewności i trwodze, nim coraz częściej zsyłając go z nieba Bóg, jasnością szczęścia nie obleje rozpogodzonego czoła.

W przypisku Marya oznajmiła, że mieszka w domu krewnego jej męża, że jej na niczem nie zbywa, a nakoniec polecała się modłom i pamięci swego duchownego ojca, Ks. Daniela. On wzruszony i niespokojny, aby się przed czasem nie wydała tajemna matki z córką komunikacya, błagał starościnę, aby panowała nad sobą, i odkrywszy jej natenczas, że pociechę tę winna była życzliwości Abrahama, a przyrzekając na jutro przynieść jej dalsze szczegóły, których, jak to widzieliśmy, i sam się jeszcze nie dowiedział,

zostawił ją spokojniejszą, i żegnającą w tę stronę, gdzie była jój córka.

Sklep Zaklęty.

Nazajutrz K. Daniel czekał gwiazdy na niebie, i gdy pierwsza migotać zaczęła, udał się znowu do miasteczka. W połowie lipowej ulicy spotkał on Taturę, wracającego właśnie z miasteczka.

—Kłaniam uniżenie—rzekli sobie wzajemnie. — A Jegomość dobrodziej — mówił Tatura — codzień jak uważam z pa-ciórkami spacerujesz sobie wieczorem, po téj ulicy.

—A tak, kochany panie marszałku, tak; ale zkadże to waćpan wracasz?

—Z miasteczka Mości dobrodzieju; rozkazałem tam jednemu tatarowi gotować się do drogi, bo pan starosta ma go wysłać na Białoruś, z listami do swego tam

krewnego, podczaszego Sołohuba, który tu, jak zapewne pamiętasz Jegomość dobrodziej, przed dwoma laty był w gościnie.

Ks. Daniel zastanowił się. — A kiedyż to wyślecie tego tatara?—zapytał.

—Nie wiem dnia— odpowiedział Tatura—zalecił tylko starosta, aby był gotów.

— Dobranoc, panie marszałku.

— Dobranoc Jegomości dobrodziejowi.— Rozeszli się.

Marszałek szybkim krokiem poszedł do dworu, a Ks. Daniel przeciwnie zwolnił kroku, bo projekt ten starosty utkwiał mu w głowie i dał powód do rozmyślań głębokich.

Ten pan podczaszy — rozpamiętywał on zatém idąc powoli, prawda, był tu przed dwoma laty, i miał z sobą synka; piękny chłopczyk, mógł mieć wtedy lat ze dwanaście; starosta podobał go sobie,

i pamiętam że mi raz powiedział: »Ot księżu Danielu, gdyby ten chłopak był o lat dziesięć starszym, dałbyś mu ślub z naszą Maryą.« — Ha! cóż on teraz zamysła? po co posyła do podczaszego?... łatwo zgadnąć; nieszczęśliwy! sam siebie dręczy, i sam siebie łudzi... chce przybra-
nóm dzieckiem rodzone zastąpić — biedny! biedny!... wieleż to boleści szarpie mu duszę!... Niewdzięczność dziecka, wyznał mi to; sroga! sroga to boleść!... pojmuje to, pojmuje! chce mścić się nad tém co kocha... jak wydrzeć serce z łona i wstawić tam drugie? Boże! zlituj się nad nim!!!

Właśnie przy tém wezwaniu Ks. Daniel ujrzał się przed kościołem, który miał pomijać, zastanowił się więc — otworzył furtę u bramy, i upadł na kolana na głazach, przed drzwiami świątyni.

Widziałbyś natenczas, przy jasnym świetle księżyca, niewzruszoną tę postać,

jakby pomnik kamienny tych, którzy u progu kościoła pod temi płytami spoczywali. Modlił się on głęboko, modlił się więcej duchem niż słowami, i gdy na końcu bijąc się w piersi: *„Boże bądź miłościw nam grzesznym!”* trzykrotnie z językiem i łkaniem powtarzał;— słysząc, pomyślałbyś, czy zrozumiał, że ręką tą kapłańską *wiara — nadzieja — i miłość*, każda po kolei, w uniesione ku Bogu serce uderza.

Wszedłszy do izby już od wczora mu znanéj, Ks. Daniel znalazł Abrahama siedzącego nad otwartą wielką księgą; kilkanaście świeczek dogorywających w wielkim mosiężnym żyrandolu, wiszącym na środku izby, niepewnym migotało blaskiem; na stole zaś białym i cienkim obrusem przykrytym, jaśniejsze świece

w siedmioramiennym srebrnym świeczniku gorzały; sam poważny *morejne*, w tejże saméj czarnej atłasowéj, na srebrne haftki zapiętej czamarze, z czapką sobolową na głowie, siedział głęboko zaczytany w księgę.

— Przepraszam — rzekł wchodzący — przerywam, panie Abrahamie, ale zdaje się, żeś już szabas skończył; nawet rozumiałem, że się spóźnię, bo się trochę pomodliłem przed kościołem.

— I u nas dziś w szkole nasz rabin woływał modlitwę na tę biedę naszych panów — rzekł Abraham witając księdza — a potem wszyscy szli do dziesięciora; wszak to wszystko pójdzie do tegoż samego Pana Boga, czy po hebrajsku, czy po łacinie, czy po polsku. Czy to źle, Mości księżu dobrodzieju?

— Oh! nie źle, nie panie Abrahamie: kto Boga chwali i kocha a ludziom do-

brze czyni, temu i w błędach Bóg miłosciwym będzie.

Żyd spójrzał na księdza, dobył tabakierę, przecierał ją, zażył potem kilka szczypt raz po raz, nakoniec kiwnął głową. Siadaj Jegomość — rzekł.

— A Hirszko gdzie? — zapytał siadając Ks. Daniel.

— Hirszko odpoczywa po drodze — odpowiedział Abraham — ale on mnie wszystko pogadał, a ja Jegomości przepowiem.

Dowiedział się więc ksiądz Daniel, że zbiegli zajechali aż w Sandomierskie, do rodziny Wołkanowskiego; że tam znaleźli kilka domów pokrewnych jemu, i że mieszkają teraz u jednego z nich w *Wielkich Wołkanach*, obywatela dostatniego i bezdzietnego, także Wołkanowskiego; że im na niczem nie zbywa, co już i z listu Maryi wiadomém było: owszem, że ją bardzo szanują wszyscy i pociesza-



ją; że niewymownie uszczęśliwioną była, gdy ujrzała i poznała Hirszkę, którego od dnia do dnia przez cały tydzień zatrzymywali, a gospodarz domu wypytywał się go sam na sam o wszystkiém, i potém tém bardziej Maryę jako córkę znakomitego rodu czcić zaczął; że Piotr ani na chwilę od żony nie odstępował, że nakoniec oboje najusilniej prosili Herszka, aby do nich znowu przyjechał, i odpowiedź od matki im przywiózł; że mu dawali pieniądze na podróż, i za teraźniejszą nagrodzić chcieli, lecz dowiedziawszy się, że go Abraham własnym domysłem i własnym kosztem wyprawił, Marya kazała Hirszce aby mu powiedział, że mu tego dobra, które jój wyświadczył, nigdy nie zapomni; i nakoniec prosili go, aby błagał od nich litości i pomocy Ks. Daniela, któremu los swój i nadzieje poruczali.

Wysłuchawszy pilnie tego opowiadania, Ks. Daniel powiedział, że i starościna poleciła mu toż samo powiedzieć, że nigdy jego postępuku życzliwości nie zapomni.

—A widzi Jegomość dobrodziej, z przeproszeniem godności pańskiej—rzekł natenczas żyd, gładząc brodę—że choć żyję w błędzie...

—Rozumiem—przerwał Ks. Daniel—rozumiem i przepraszam cię pokornie, pocziwy panie Abrahamie—a to mówiąc uściskał mu rękę tak szczerze, że żyd zapomniał gniewu i rzekł:— Oh! Jegomość dobrodziej prawdziwy ksiądz, bo i mądry i pokorny; a co mówi Salomon: »Lepsza jest mądrość, niżeli moc, a pokora nachyli ku sobie serce królewskie.« U nas takich rabinów mało, bo kiedy który nauczny, to jemu krukiem nosa nie dostać.

—Ale cóż będzie, panie Abrahamie, czy Hirszko pojedzie znowu?

—A pojedzie, i dziesięć razy pojedzie, byle list od pani starościny.

—Ufam w Boga, że go otrzymam— rzekł ksiądz— kosztu wszelako na to nowego nie podejmiesz, panie Abrahamie; zaradzimy temu.

—A co Jegomości do tego? Czy Abraham Ilski prosił kiedy Jegomości dobrodzieja pieniędzy? przepraszam godność pańską.

—Nie, ależ koszta na tak długą podróż nie małe być muszą, i fatyga twego wiernika nie może być bez wynagrodzenia, a starościna nie zgodzi się abyś tak dla nich expensował się.

—Aj! aj!—odpowiedział Abraham trzęsąc głową—i pójdzie ona prosić pieniędzy u męża na drogę dla Hirszka, wiernika Abrahama, jadącego do jego córki.

Oj! oj! a Sołohub dowiedziałwszy się o wszystkim, i Abrahama i Herszka i cały kahał Ilski przepędzi gdzie pieprz rośnie. Czy ja go nie znam? kiedy on w gniewie, to Mości księżę dobrodzieju, gorszy od Hamana.

— Starościna ma swoje własne dochody i żadnego rachunku z pieniędzy swoich mężowi nie zdaje— rzekł ksiądz Daniel.— Ja jestem jój podskarbin, panie Abrahamie, bo większa część tych dochodów przez moje ręce biednym się rozdziela; więc nie potrzebuje prosić męża o pieniądze. Wszakże i Illia jest jój dziedzictwem, wiesz o tém zapewne, boś tu jeszcze pod Radziwiłłami mieszkał.

—No to i owszem, Mości księżę dobrodzieju; to ja będę miał z kim się rachować, a kiedy nie ja z panią, to moje dzieci z jój córką— mówił uśmiechając się.

Ks. Daniel pokręcił głową, bo mu przy-

szły na myśl projektu starosty, które zgadywał, wydziedziczenia córki. — Ha, panie Abrahamie — rzekł więc — nie tak bardzo ufaj temu... bo co mają rodzice, mogą nie mieć dzieci, zwłaszcza gdy przeciw woli ich postępują: mogą natenczas rodzice wydziedziczyć niewdzięczne swe potomstwo.

— Jak to wydziedziczyć? przepraszam godność pańską, ale ja tego nie rozumiem.

— To jest, panie Abrahamie, fortunę swoją oddać czy zapisać komu innemu, na przykład krewnym, a nie dzieciom własnym i przyznam się waćpanu, że się boję bardzo, czy to i starości po głowie nie chodzi.

— A czy to u panów w religii można? — zapytał Abraham.

— Daleko by to panie Abramie tłómaczyć ci, jak? kiedy? i za co? tak się zda-

rza u nas czasami, kiedy niebłogosławieństwo Boskie padnie na dom jaki.

— Bo u nas, Mości księże dobrodzieju, nie tak; a choćby kto miał diabłów dziećmi, to po śmierci jego i oni swój spadek wziąć muszą koniecznie.

— Jak to diabłów dziećmi? chyba chcesz mówić dzieci tak złośliwych jak złe duchy; ale na co ich wspominasz, panie Abrahamie.

— Nie, nie, Mości księże dobrodzieju, to prawda co ja mówię, i tak ja mówię; są dzieci, które rodzą się diabłami, a rodzą się bez matki.

Ksiądz ścisnął ramionami.

— Tak nie dawno było w Wilnie, i nasz Rabin Elias, a po naszymu Ella, który chwala Bogu żyje i teraz, sam odsądzał co im po ojcu należało. Jegomość dobrodziej wiesz zapewne, bo wszyscy wiedzą,



że takiego drugiego rabina na całym świecie nie ma... to prorok (1)!

—O tym waszym mądrym i, jak powiadają, bardzo pocziwym rabinie słyszałem; ale prawisz mi panie Abrahamie baśnie i dziwię się, że sam będąc człowiekiem rozsądnym im wierzysz.

—Przepraszam mądrość pańską, ale to nie baśnie, ani bałamuctwo, nie; ja opowiem Jegomości dobrodziejowi wszystko jak było.

— Trzeba Jegomości wiedzieć— opowiadał zatém Abraham— że u nas tak stoi w piśmie, że kiedy który żyd popeł-

(1) W rzeczy samój, sławny to był w owym czasie Rabin Wileński; dziś on jeszcze jest pamiętny u żydów i portret jego nie u jednego znaleźć można obok Patryarchów na

ni grzechy wielkie, takie, za które Bóg na Sodomę i Gomorę siarczysty ogień dopuścił, to z każdego grzechu staje się diabeł, który jest rodzeniuteńkim synem tego żyda.

Ks. Daniel pokręcił głową, poczuł bowiem, że morał téj idei, czy to wyrażający figurycznie, że z ciężkiego grzechu nowy zwykle grzech się rodzi, czyli dla grozy i odrazy od występków, chociaż zabobonnéj treści, zawsze jednak pożytecznie był pomysłany. Abraham tymczasem przecierał swoją tabakierę i poważnie z niéj zażywał, do czego zwykle się uciekał, gdy cokolwiek z namysłem miał mówić.

ścianie umieszczony. Mniemanie jest między nimi, że Eliasz zostawił wiele pism proroczych, w których przepowiedział wszelkie wypadki ziemskie dni naszych i dalsze dalekie, ale ogłaszać tego nie dozwolił do pewnego zakreszonego czasu, który naturalnie jeszcze nie doszedł. Stanisław

— Lat z dziesiątek temu, Mości księżu dobrodzieju — kontynuował więc — umarł w Wilnie żyd *Mendel*, tak sobie pośredniemu, ni to bardzo bogaty, ni to ubogi; miał jednak swoją własną kamienicę na Końskim targu, a pod nią było kilka pięknych sklepów, więc tam kupcy składali różne swoje towary, i to był największy jego dochód, z którego on żył pod starość; bo miał trzech synów, a jak wszyscy poženili się, to zajęli wszystkie stancye, tak, że i ojcu było ciasno.

Po śmierci Mendela, synowie jego podzielili się kamienicą; starszy wziął sklepy i ojcowską stancję, drugi pierwsze piętro, a trzeci drugie piętro.

August, w podróży swój do Petersburga, przejeżdżając przez Wilno, chciał widzieć Eliasza i rabin ten mu się przedstawił. Historya tu opisująca się, jemu rzeczywiście przez żydów jest przyznawana.

— No to i dobrze — rzekł Ks. Daniel.

— Oh! i jak dobrze, gdyby tak i zostało się, ale jak tylko każdy wstąpił już do swojego, tak pierwszój zaraz nocy w sklepach zaczął się taki harmider, taki hałas, taki stuk, że poprzelękali się wszyscy. Zapalili więc świece i poszli patrzeć co tam jest. Nie znaleźli nikogo, ale wszystkie towary, wszystkie beczki, skrzynie i paki, powywracane i porozbijane, jak po jakim rabunku; opatrywali oni wszędzie, czy nie było jakiego lochu, kędyby ktokolwiek włazić mógł, a nie znalazłszy żadnego śladu i nie wiedząc co to znaczy, poprzybierali i poskładali towary jak mogli, i postanowili milczyć czekając co dalej będzie. Starszy tylko narzekał, że jak kupcy przyjdą po towary i znajdą popsute, opuszczą jego sklep i dochód zginie.

Rozumieli Mendelowicze, że to na jednéj nocy skończy się, aż tu jako żywo.

Gwałt! drugiej jeszcze gorzej: biją jak w tarabany, śpiewają, grają na cymbałach, wyją jak wilki.— Gwałt! powiadam Jegomości dobrodziejowi.

Poznali żydki, że to nie żarty; nie poszli już drugi raz do sklepów, dosiedzieli w strachu do dnia i pod dzień wszystko ucichło, a było to zimą, noc długa. Naza-jutrz wszyscy z kamienie drugich, obok i naprzeciw stojących, pytali się co tam u nich w nocy było? czy Hamana pędzali przed czasem? albo czy nie powaryowali z wielkiego żalu po ojcu? Mendelowicze nie na to nie mówiąc, pobiegli pędem do rabina Elli i wszystko mu rozpowiedzieli, prosząc o radę i pomoc.

Wysłuchał wszystkiego od początku do końca, Rabbi Elliasz, jak państwo nazywacie. Zamyślił się potem bardzo i odpowiedział nakoniec, że sam przyjdzie n noc do ich kamienicy; ale zakazał aby ni-

komu o tém nie mówili. Pod wieczór
zatém wyjął on z szafki na zamek zawsze
zamkniętej księgę... ale ach! z przeprosze-
niem mądrości pańskiej; jakże ja to mam
powiedzieć Jegomości... księga ta...

—Pewnie Kabała— przerwał ksiądz.

—Gwałt! zkąd to Jegomość wiesz? za-
wołał zdziwiony i jakby przełknięty żyd.

—Ja, mój panie Abrahamie, nauczyłem
się niegdyś po hebrajsku, a zatém znam
się potrosze z waszemi książkami; ot na-
przykład ta, którą czytasz, rzekł odwra-
cając i przypatrując się pierwszej karcie,
jest *Miszna*, główna część waszego talmu-
du; i wielu duchownych naszych zna wasz
język rodowity (1).

Abraham patrzył przenikliwie na księ-
dza Daniela, a potem niedbale i oboję-

(1) W owych czasach tak bywało.

tnie niby— A na cóż to potrzebne?— zapytał.

— Jak to na co potrzebne?— odpowiedział ksiądz— czyż my, zwłaszcza księża, nie powinniśmy znać najgruntowniej pismo, tak dla nas jako i dla starozakonnych święte, Biblię, i dla tego uczymy się niektórzy po hebrajsku, bo chcemy czytać ją nie w tłumaczeniach, ale w języku w którym była pisana.

— To i Kabałę Jegomość rozumiesz?

— Kabała to nie Biblia, mój panie Abrahamie, więc czytać jej nie mamy potrzeby; ale wiemy przecież, że w nią wierzycie.

Abraham pogładził brodę i uspokoił się, jakby stróż skarbu, gdy się przekona, że mu go nie wykradziono.

— No — mówił on dalej— nie wiadomo zresztą jaką on tam księgę wziął, ale zabrał razem i swoje szkolne szabasowe ubranie. Jegomość wiesz, *Tfilim* i dziesię-

cioro; kazał także jeszcze dwóm, choć nie tak mądrym jak on sam, ale taki bardzo nauczny rabinom iść z sobą, i wieczorem, cicho, gdyby nikt nie widział, poszedł do téj zakłętéj kamienicy.

Jak tylko tam wszedł, kazał bramy zamknąć. Mendelowicze, z przeproszeniem godności pańskiej, stali przed nim jak przed monarchą. On siadł za stołem sam jeden, w téj stancyi, w której były drzwi do sklepów, i zegarek na stole położył; w drugiej izbie zasiedli rabini, którzy z nim przyszli, a reszta wszystkim kazał na drugie piętro ustąpić i cicho tam się dzieć; a potem zaczął czytać swoją księgę.

Pod północ, znowu diabli zaczęli swój sejmik. Przepraszam Jegomości, bo i szlachta na sejmikach krzyczą i hałasują jak diabli; więc i oni hałasowali, bębnili, ale słyszeć było jak po razy kilka wywoły-

wali: Rabbi Ella! Rabbi Ella! Już oni poczuli, że tu jest na nich bicz!

Ella na to nie uważając, czytał bez ustanku i na zegarek poglądał; a jak sama dwunasta doszła, wstał, ubrał się jak na nabożeństwo— zawołał rabinów, im także ubrać się kazał, a stać w milczeniu, sam zaś otworzył sklep... Rabinom włosy na głowach powstały... a on z księgą swoją w jednym ręku a ze świecą w drugim, powoli po schodach do sklepów spuszczać się zaczął.

Gdy tam wszedł, z początku stało cicho, potem krzyk: Rabbi Ella! Rabbi Ella! jakby go witali; potem znowu cicho i cicho... tylko kiedy niekiedy Ella wymawiał jakieś słowa, których ani dosłyszeć dobrze, ani zrozumieć i domysleć się nie mogli rabini; a po tych słowach szum tylko wielki chodził po sklepie, i znowu potem cicho... aż nakoniec i sam patryar-

cha pokazał się na schodach z księgą i świecą; ale tak on był blady i słaby, że rabini podchwycili go pod ręce, wprowadzili do izby i posadzili w krzesło, a sklep zamnęli.

Odpocząwszy trochę, posłał on po Mendelowiczów i rzekł im gdy przyszli: — „Słuchajcie. — Nakładam cheyrym! abyście pierwszej nocy po dniu *Jom Kipur* (1) o samej 12-tój godzinie, stanęli u mnie, Rabina Elli, na sąd z tymi, którzy tam są w sklepach. Dam im także cheyrym, i oni stanąć muszą, a do tego terminu — wam, cheyrym na języki, im na swawole w sklepach.“

To powiedziawszy, wyszedł z rabinami. Wszystko potem stało się spokojnie; żydki nazajutrz weszli do sklepów i znaleźli towary na miejscu polokowane tak regularnie, jakby nikt ich nie ruszył.

(1) *Jom Kipur*, 10 września — dzień oczyszczenia z grzechów.

—Nu, w kilka miesięcy przyszedł Mości dobrodzieju Jom Kipur — przyszła noc — żydkom cheyrym na głowie. — Stawaj do sądu! nie ma żartów; strach czy nie strach, a iść trzeba. Poszli więc i stanęli u patryarchy przed samą północą.

Siedział on znowu za stołem nad księgą, przybrany w swój Tfylim i z dziesięciorem na czole; przy nim siedzieli obadwa ciż sami rabini, bo zwyczajnie na sąd duchowny trzeba trzech mężów. Izba w której na ten sanchedryn zasiedli oni, była po połowie od dołu do góry suknem czarném zawieszona, na stole paliła się jedna tylko świeca woskowa i leżał zegarek; jak stanął na dwunastój, Ella wstał i zawołał głosem wielkim:

— Wy, złe duchowie, na których cheyrym nałożyłem, czy jesteście?

— Jesteśmy odezwało się kilka głosów za suknem:

— Bo tam ktoś siedział— przerwał ks. Daniel.

— Przepraszam godność Pańską, czemu Jegomość do końca nie słuchasz? więc znowu zawołał Ella:

— Wy, synowie Mendela Izraelowicza, na których cheyrym nałożyłem, czy jesteście?

Żydki trzęsąc się ze strachu, ledwo wymówić mogli—jesteśmy.

Rabin znowu:— Wy, złe duchowie mówcie teraz, jakiem prawem zajmowaliście sklepy w kamienicy Mendelowiczów?

— Bo my dzieci Mendela pierworodne, z jego grzechów zrodzone—odpowiedzieli oni—mamy prawo do jego dziedzictwa; odsądź więc nam Rabbi Ella spadek po ojcu naszym.

— Wy nie z tego świata—rzekł Elias— więc na tym świecie nie możecie mieć dziedzictwa; a ja was zaklnę tak, że już

Mendelowiczom uprzykrzać się nie będziecie mogli.

— Możesz tak uczynić — odpowiadali diabli — możesz tak uczynić, boś ty Prorok! boś ty pan! bo ty wiesz słowo Salomona! Ale za to my będziemy dręczyć naszego ojca w piekle, że nam, dzieciom swoim, nie zostawił żadnego spadku.

Rabbi Ella zamyślił się... myślał, myślał i kiwał głową... Mężowie siedzący obok niego milczeli, milczeli... i czekali, czekali, co on powie...

Namyślił się on nareszcie i rzekł:

— »Duchowie piekielni! czyniąc folgę duszy Mendela, odsądzam wam drugie piętro jego kamienicy.«

— Oj waj! krzyknęli diabli — Rabbi Ella, nie może być tak: wiemy co namyśliłeś, wiemy! Chcesz nam oddać drugie piętro kamienicy, a jutro to piętro zbić każesz i nas na kominach osa-

dzisz. Nie, nie Rabbi Ella, sąż sprawiedliwiéj!

Eliasz pokręcił głową, pomyślił znowu i rzekł: »Duchowie nieczyści, odsądzam wam jeden sklep pod kamienicą: siedźcie tam cicho w lochu i ciemności!«

— Zgoda!—krzyknęli za suknem—zgoda! oddaj nam więc ten sklep, Rabbi Ella, oddaj!

— Oddam, oddam jutro o téj saméj godzinie— rzekł Eliasz— a kamieniem i słowem mojem, wy wiecie jakim, zamuruję go. Teraz precz ztąd! Chejrym na was! i potrójny chejrym! — Zaszumiało tylko za suknem. Eliasz wstał, zrzucił tę zasłonę i nikogo tam nie było. Kazał potém Mendelowiczom, aby oni sami, nie biorąc żadnego człowieka cudzego do pomocy, w cichości nanosili do sklepów kamieni, ile potrzeba było na zawalenie

jednych drzwi. Ucałowawszy oni poję jego *Tfilimu*, odeszli.

Wieczorem przyszedł znowu do nich Elias. Przepraszam godność Jegomości, ale jak on fatygował się, och! taki wielki, taki nauczny, taki poważny patriarcha! Przyniósł z sobą, na wielkim pargaminie dekret sądu duchownego, przez siebie po hebrajsku napisany i podpisany, a przy nim podpisali się i dwaj rabini, którzy tę sprawę odbywali, i teraz razem przyszli do Mendelowiczów, którzy wydarli bruk w jednym sklepie własnymi rękami, więc nikt o ich pracy nie wiedział, a kamieni było aż nadto. Ella tak samo jak i pierwój ubrany wszedł do sklepów, ale teraz i rabini i Mendelowicze za nim weszli. Tam w trzecim, ostatnim lochu, który złym duchom odsadzał, przeczytał głośno dekret; kazał potem wnieść płaski kamień, położył pargamin na tym kamieniu i szep-

cząc jakieś słowa, drugim kamieniem nacisnął — na koniec wyszedł, a kazał Mendelowiczom, aby drzwi do tego sklepu wnet zawalili. Diabli odtąd ani się odezwali i cicho tam siedzą na wieki. Mendelowicze sklep ten zamknięty na głucho, potem cegłami zamurowali, a drugie dwa i teraz kupcom na towary najmują (1).

Ksiądz Daniel niedowiarliwie pokręcił głową.

— Jegomość dobrodziej nie wierzysz? mówił Abraham, cóż robić? ale jak kiedykolwiek w Wilnie będziesz Jegomość, popytaj się swego faktora, gdzie ta kamienica w której siedzą diabli zakłęci w sklepie? to pewno zaprowadzi Jegomości i pokaże; bo wszyscy o tém wiedzą.

(1) Obrząd ten sądu i zaklęcia sklepu przez sławnego Rabina Eliasza, nie jest wcale wymysłem autora; wiele takich cudownych czynów jego opowiadają żydzi litewscy, a między temi i opisany.

— A jakże się wszyscy o tém dowiedzieli, kiedy Eliasza takie ciężkie cheyry-my nakładł na języki?

— Oho! przepraszam godność pańską, ale w naszym piśmie stoi, że »Ziemia niebu przysięgała, aby żadnej tajemnicy nie było nigdy« (1) to nigdy i nie ma i nie będzie; wszystko na wierzch wychodzi. To samo stało się i ze sprawą Mendelowiczów; oni sami i rabini, którzy byli z Ellą, zaczęli pod sekretem rozgadywać takie cuda jego! Wszyscy dziwując się, rozpowiadali jedni drugim i tak powoli całe miasto o wszystkiém się dowiedziało.

— Wszystko to być mogło, panie Abrahamie rzekł po niejakiój zwłoce ksiądz

(1) Zdanie z Talmudu obrócone w przysłowie między żydami.

Daniel — ale wróćmy do naszej sprawy. To więc staje na tém, że wyprawimy Hirszka z listem starościnęj do córki?

Abraham uchylił głowę na znak zgody.

— Co potém nastąpi — mówił dalej ksiądz — Bogu wiedzieć; ja zaś nie omieszkać, panie Abrahamie, radzić się zawsze waćpana, jako tak pocziwego i przywiązanego przyjaciela panów twoich, a rozumnego człowieka.

— U nas powiadają, Mości księżu do-drodziej — mówił żyd gładząc brodę — że *rozum i szmalec do wszystkiego uchodzi*. — Pan Abraham nie poślednie miał widać przekonanie o swym rozumie.

— A toż co Jegomość mówił, że starosta ma jakoby fortuny swoje komu innemu nie córce swojej odpisać? — zapytał on, jakby nastęrczając się ze swą radą.

— Ja się tego domyślam tylko, odrzekł ksiądz, a mam w Bogu nadzieję, że do

tego nie przyjdzie, i że mi natchnie sposób zapobieżenia temu; a teraz powiem znowu starościnęj o życzliwości twojéj, panie Abrahamie.

— Nu, ach! na sto lat życia jéj, niech zdrowa będzie, a stary Abraham doczeka jeszcze, że matka i z córką przyjdą do niego na wielkanocną macę i pocieszym się razem wszyscy.

Nazajutrz rano po mszy, gdy starosta oddalił się do swego pokoju, Ks. Daniel przyszedłszy do starościnęj powiedział jéj wszystko, co od Abrahama usłyszał; a nadto że *Hirszko* gotów jest znowu jechać do Maryi i zawieźć jéj odpowiedź matki.

Starościna zdumiała się — jakto Ks. Danielu? odpowiedź moją? ach mój Boże! cóż ja do niéj napiszę?

— Napiszesz błogosławieństwo twoje, bez którego tak jój żyć trudno, jak tobie bez niej.

Przywykła do płaczu zrenica starości-niej, znowu łzą zaszała: wyjęła ona ze stolika, za którym siedziała, list Maryi, czytając go rozrzewniła się jeszcze głębiej i rzekła— a gdybym ja Ks. Danielu poniosła ten list mężowi memu?

Ks. Daniel pomyśliwszy nieco — nie, rzekł, nie jeszcze—gorącego żelaza oliwą nie ostudzić; zawre tylko goręcej lub płomieniem buchnie. Serce męża twego jest w walce jeszcze! to się on do Boga garnie, to ku tobie czule się skłania; szuka ono ratunku i uspokojenia, które tobie, utrapiona matko, Bóg już zlewa w miłości twój macierzyńskiej; ale w nim prze-magają jeszcze ludzkie pochopy gniewu, żalu, dumy. Patrząc ja nań codzień uważnie, śledzę go i przenikam — list ten za-

krwawiłby go tylko, i kto wie na jakie projekta naprowadził: czekajmy jeszcze i módlmy się zań do Boga w którego ręku są serca ludzkie. Teraz idzie tylko o to, aby dziecko twe w rozpaczy nie upadło pod ciężarem zgryzot i tęsknoty; aby wiedziało przynajmniej że żyjesz i je kochasz.

—Ach, mój ojcie! rzekła starościna, moje *życie* i moja *miłość* dla niej to wszystko jedno—(1) broń boże co na nią!... cona nią!!

Ach serce matki! serce matki!... Dziewico młoda! jeżeli to czytać będziesz, rzuć się na łono twojej... w tém łonie bije także serce, dla którego *życie* i *miłość* dla ciebie, to wszystko jedno... Uścisk ten będzie zakładem, że serca tego nigdy goryczą nie napełnisz, i wzajemnie

(1) Nieszczęśliwy! czyliż to pisałem z przeczucia!!!

że w niém zawsze znajdziesz szczęście i osłodę twojego życia; tkliwa zaś łza wasza będzie najmiłszą nagrodą pobudzającego was autora. Wzięła więc pióro staroscina i drżącą ręką napisała »błogosławie cię Maryo moja! kocham cię—aby »Bóg dozwolił mi widzieć cię!« dalej pisać nie mogła.—Widząc stan jej Ks. Daniel,—dość, rzekł, dość na ten raz, ja resztę dokończę; i wzięwszy list wyszedł dozwalając staroscinięj odpoczynku i uspokojenia.

Dokończył on obszerniej listu tego. Napisał wszystko, co bogobojny kapłan, i jakby ojciec kochający dziecko swe napisać mógł; nie zapomniał i o mężu Maryi, któremu niewczesnych już wymówek nie czynił, a tylko w miłości ku żonie, w obowiązkach tak wielkich względem jej zaciągniętych, i w cierpliwości utwierdzał; i wyprawił *Hirsza* dając mu mimo oporu *Abrahama*, sowite na kosztą podróży pie-

niądze, a osobno za wolą starościńej, trzy-
sta dukatów dla oddania Maryi od matki.

Tak zjednawszy i matce i córce niej-
kie uspokojenie i pociechę, Ks. Daniel
tém pilniéj uważał na ojca. Starosta czę-
sto drzwi swego gabinetu przymykał i za-
siadał do pisania; ale niedostępny naten-
czas nikomu z dworzan, nie mógł zaprze-
czyć wejścia kapelanowi i spowiednik-
owi swemu; a ten właśnie przerywał
mu to zatrudnienie. Zaambarassowany
natenczas starosta, podsuwał wnet zapi-
sany swój papier pod inne na stoliku
leżące, i obojętną rozpoczynał konwer-
sacyę. Czas się jednak ściągał, tatar był
zawsze gotowy do drogi, ale nie wyjeż-
dzał. Widocznie na tak stanowczy krok
starosta odważyć się nie mógł: powierzyć

go nawet żonie lub księdzu nie śmiał, chociaż dla nich żadnej dotąd nie miał tajemnicy! bo czuł, że żonę jedynym swym wyrazem zgębi do ostatka, i że się ona nigdy na jego projekta nie zgodzi; a ksiądz, że je zgromi i potępi.

Tak nadszedł adwent: czas to szczególniejszego nabożeństwa w chrześcijaństwie; dwór cały wybierał się do spowiedzi. Ks. Daniel codzien przy wieczornych w kaplicy pacierzach, na które wszyscy dworscy zwyczajnie się zgromadzali, przygotowywał ich nauką i modlitwą do tego Ś-go Sakramentu! Lecz raz upatrzwszy chwilę, gdy oboje starościństwo obecnemi byli, a starosta pilniej zważać zdawał się na słowa jego. »Przystępujcie zatém, rzekł, do świętych tajemnic, za przykładem pobożnych panów waszych, którzy tę chrześcijańską powinność spełnią bez zwłóki.«

Nic w tych słowach nie było nadzwyczaj-

czajnego, a jednak powiedział je Ks. Daniel z namysłu; bo obowiązywał niemi starostę do dania przykładu sługom, a sług upoważniał do oczekiwania przykładu od pana; a zatém zmuszał niejako starostę do spowiedzi. Była to prawdziwa Jezuicka sztuka, ale w dobrym celu użyta. Czyli ją starosta zrozumiał, albo nie? nie wiemy, lecz w następną niedzielę oboje poszli do spowiedzi, jak zwykli do Ks. Daniela—po której—starosta nie zamykał się już i nie pisał skrycie, tatar został na miejscu— a ksiądz Daniel dziękował Bogu, że go natchnął myślą następczenia sposobności, w której o *gniewie* i *pysze*, jako o najszkaradniejszych grzechach śmiertelnych, mógł udręczonemu niemi człowiekowi, dać zbawienną i skuteczną naukę.

Nowy gość.

Zima nadeszła, święta Bożego Narodzenia, tak niegdyś wesołe i huczne w Il-
lii, przeszły tak cicho i ponuro, jakby
dom był żałobą pokryty. Hirszko wró-
cił, przywiózł znowu listy pocieszające
starość, w których Marya uszczęśliwio-
na kilką słowami matki, nadzieję swą zo-
stania także matką objawiła, uspakajając
razem, że w takiej chorobie, na żadnych
około jęj staraniach nie zbędzie, owszem
że na troskliwości męża i otaczających
ją, zupełnie polegać może: lecz jednak nie-
pewna w takim razie życia, najczulszém
zakłęciem zebrała u obojga rodziców prze-
baczenia i miłosierdzia, jakby w osta-
tniej życia swego godzinie.

Tymczasem po powrocie Hirszka, A-
braham wyprawił się z nim razem w lasy

Borysowskie, które także wyrabiał, dla obejrzenia roboty i przygotowania spławu; a w kilka potem tygodni, na dziedzińiec Ilskiego dworu wjechał jednym konikiem na prostym wózku szlachcie jakiś, i wysiadł do oficyny; tam nie długo bawiąc i zostawiwszy swą szubę wilczą, szedł do pałacu.

Służba przyuczona nie przypuszczać do starosty każdego komuby się tylko wejść podobało, owszem szarym zwłaszcza braciom szlachtom czynić wstętu, a z interressami, któremi się teraz najmniej nie trudnił starosta do administracyi odprawiać; i tego przybysza równiej zbyć chciała. Ale on nie ustąpił, i koniecznie z samym panem widzieć się żądał; wpuszczono zatem upartego.

Starosta był w swym gabinecie z Ks. Danielem, gdy wszedł i stanął przed nim starzec, siwy jak gołąb, i schludnie choć

ubogo odziany. Miał wszakże szablę u boku, znak nieomylny jego szlachectwa: strudzony snąć był długą zimową podróżą, lecz nie złamany; oparł się bowiem jedną ręką na paręczu krzesła, lecz pod brwią białą stało oko żywe i światłe.

Któs waszmość? zapytał *Sołohub*.

—Pan starosta mnie nie poznajesz? niedziw, dawnośmy się widzieli.

Wpatrzył się *Sołohub*, i— *Wołkanowski!* krzyknął.

—Tak, on sam, odpowiedział starzec; a wzruszył się mocno *Ks. Daniel*.

Zawrzała krew w staroście—jak śmiesz ty!... ty niegodny starcze stawać przedemną? precz! z mojego domu! precz! bo cię wyrzucić każę!...

—Panie starosto, rzekł spokojnie *Wołkanowski*: jam szlachcie, skrzywdzić siebie nie dam, i ta ręka choć stara, obro- ni mię jeszcze od obelgi—ale jam ci nie

nie winien: a ty panie starosto mnie i Bogu wiele winienesz!...

—Jam jemu winien! a to rzecz dziwna! jam winien, że jego syn odebrał mi jedyne me dziecko! O przekłeta godzina w której go do siebie przyjąłem.

—I ja jój nie błogosławię, panie starosto—niechby syn mój pocziwie pracował na kawałku swojej ziemi — niechbym ja jego pocziwość, pracę i cnotę, czystém sumnieniem błogosławił; i niechbym skonał przy nim i na jego rękę!!! A teraz co? a teraz co? ot ośmdziesięcioletni starzec wlokę się na świat szukać syna mego jedynego; i kiedy go znajdę, nie błogosławić mu, ale złorzeczyć jemu! oh ciężkoż mnie! ciężko!

—Jam go osypał dobrodziejstwami meymi — rzekł starosta: łzy i słowa starca pohamowały go w impecie.

—Panie starosto, odpowiedział Wołka-

nowski, któremu głębokie wzruszenie sił wymowy dodało—panie starosto! bodajbyś tych dobrodziejstw nigdy jemu nie świadczył: bodajbyś go wolój do pracy i służby szlacheckiej nie do dworszczyzny sposobił—nie zbliżyłbyś go do twojej córki; nie ośmieliłbyś dwoje młodzieży do przywiązania, które ich obojgu zgubiło... ale niech ci Bóg odpuści! bo i ty, panie starosto, nieszczęśliwy... ty nieszczęśliwszy odemnie, bo ty wielki pan: ty myślisz wyrzekać się swojej córki... Starosta zdumiał się, bo nikomu tej myśli nie objawiał, zkądby Wołkanowski ją przeniknął?

Ja zaś,—mówił dalej starzec, ja zaś syna mego kocham, i nigdy się go nie wyrzekę: kocham już i twoją córkę jak własne me dziecko... i ot wywlokłem moją starą głowę do nich... pożegnałem żonę, pożegnałem starych moich sąsiadów i

przyjaciół: pożegnałem wszystkie kąty
mojej chaty...—tu mu łzy rześsiej płyne-
ły;—bo nie powrócę już do nich... nie po-
wróćę... a mojej chaty ubogiej i za twe pa-
łace, panie starosto, nie oddałbym... Ty-
le latek w niej przeżyłem spokojnie, i
spokojnie w niej umrzeć chciałem... O Bo-
że! Boże! czemuż mnie tego nie dozwol-
liłeś!!!

Słowa te starca, proste ale czułe i szcze-
re, widoczne na staroście uczyniły wraże-
nie, i w niejakaś niespokojność go wpra-
wiały. Chodził on wielkimi krokami po
pokoju, tarł czoło, i nakoniec-- gdzież ich
szukać będziesz? zapytał.

— W Sandomierskim, u familii mojej,
która ich przyjęła, i córkę twą panie
starosto weneruje.

— I my wiemy gdzie są oni—odezwał
się Ks. Daniel.

Starosta obrócił się doń zdziwiony, i

miał się zapytać, z kąd ta wiadomość; ale ksiądz wyszedł nagle... a przebiegłszy kilka pokojów, wszedł do starościny—Pani, zawołał; Bóg zsyła chwilę przesilenia: bierz pani listy i idź do męża wnet, wnet, nie tracąc ani chwili czasu.

— Cóż to takiego? zapytała starościna; ale posłuszna machinalnie, wyjęła ze stolika listy Maryi i szła za księdzem.

Weszli—właśnie Wołkanowski domawiał—nie, panie starosto, nie! nie chce on twoich bogactw: wyrzeka się ich... daj im panie starosto błogosławieństwo rodzicielskie; bo bez tego córka twoja nieszczęśliwa... starościna rzuciła nań okiem, a starosta rzekł z przyciskiem—ojciec Piotra! Wołkanowski!

Starzec wzniosł oczy, i jakby widokiem téj szlachetnej a wynędzniałej twarzy natchniony, rzuca się do nóg starościny... a jękiem i ciężkimi westchnie-

niami przerywanemi słowy, ledwo wymówić może.— »Pani! Jaśnie wielmożna
 »pani!... tak, jam ojciec Piotra... daruj
 »dla miłości Boga!!! przebacz dziecku twe-
 »mu rodzonemu!... jam nieszczęśliwy... ja
 »stary i słaby!... ja do nich jadę... przebacz!

—Jam jój dawno już przebaczyła—
 rzekła starościna—powstań staruszku.

—Jak to przebaczyłaś? zawołał starosta.

—Tak, przebaczyłam, odpowiedziała
 żona; przebaczyłam! mogłamże i siebie i
 dziecko pchnąć do grobu? czytaj jój listy.

—Jój listy? starosta wyciągnął rękę...
 lecz wnet ją umknął.

—Ja przeczytam, rzekł Ks. Daniel, biorąc je z rąk starościny: i nie czekając
 ażby się starosta opamiętał, czytał dokon-
 czenie drugiego listy *Maryi*.

»Zaklinam was o moi najdrożsi rodzice,
 »i u nóg waszych o życie moje błagam
 »was! Mam być matką: w tym trudnym

»razie mogę umrzeć. Ach! czyż mam u-
 »mierać opuszczona od was! Boże! Boże;
 »czemużem wolój w kolebce nie umarła...
 »matko moja najmiłsza! tyś mi przebaczy-
 »ła— o niech ci za to Bóg nagrodzi—tyś
 »mnie pobłogosławiła: błagaj ojca — ojciec
 »mój miły! na kolanach zebrzę twego mi-
 »łosierdzia... nie odpychaj twojej Maryi!...

»Ja was kocham,—czytał dalej Ks. Da-
 »niel — ja was kocham z całej duszy; co-
 »dzień zrana o godzinie dziesiątej, gdy wy-
 »mszy Ś-tój słuchacie w kaplicy, ja modłę
 »się za was...

Starościna nie mogąc dotrwać, usiadła
 na kanapie i rzewnie płakała; płacz ten
 przeniosł się na źrenice Ks. Daniela,
 omroczył je, i czytać mu nie dozwalał:
 zaszedł na powieki Wołkanowskiego: je-
 den starosta suchém lecz osłupiałem o-
 kiem poglądał w około... nakoniec rzucił

się obok żony na kanapę, i obu rękami twarz zakrył...

»Oh! serce mi pęknie, czytał znowu ksiądz, z miłości, tęsknoty i smutku! zlitujcie się nademną... zlitujcie się nad niewinném dzieckiem mojem, które w sobie noszę... Rodzice moi! nie chcę dostatków...

Odpadły ręce od twarzy starosty... i twarz ta we łzach się okazała!!! »Tak się »widać Bogu podobało«—wyjąknął. Żona rzuciła się w jego objęcie—Wołkanowski całował mu ręce, a ksiądz Daniel jakby ogarnięty szczęściem, które w tych słowach starosty świtało, stał z podniesionemi rękami, błogosławiąc i polecając Bogu ten obraz.

Wnet wszystkie lica się rozpogodziły; starosta odjął rękę od ust Wołkanowskiego, a uścisnął go.—No starcze, rzekł, dość! tak się Bogu podobało!... Na tém powta-

rzaném słowie, skończył on wyznanie swęj wewnętrznęj przemiany, która hamowana w wyrazach, widoczną była w jego rozrzewnieniu.—Usciskał on pokilkakrotnie żonę i rękę Ks. Daniela — Panie Wołkanowski, rzekł potém spokojnięj: odpocznij sobie dni kilka u nas, a potém z moim dworskim pojedziesz wygodnięj w twą podróż. Podobno przyjdzie mi pójść za przykładem hetmana *Białego*; mogłemże przewidzieć opowiadając niegdys tobie tę historyę, że ze mną coś podobnego się zdarzy — tak się Bogu podo- bało!...

Ksiądz Daniel zabrał starca do własnęj kwatery, aby mieć o nim pilne staranie; a po ich wyściu pozostałe małżeństwo, jakby odnowione i odrodzone, jakby po długiém oddaleniu znowu razem, poufnie wylewali sobie nazwajem tajnie swęj duszy. Starosta wyznawał żonie swe udre-

czenia i walki; żona swoją miłość ku dziecku, i sposobność komunikowania się z niem; tak wzajemnie leczyli rany swego serca.— Odczytując nakoniec ze swobodniejszą myślą listy Maryi, — zkał jej, rzekł starosta, ta czułość, ta łatwość wyrażenia się, ten rozum?... Dziecko takie, lat ośmnaście zaledwo zaczętych; zawsze w domu i pod naszym okiem?

— Ty nie znasz kobiet, odpowiedziała starościna: ty nie pojmujesz jak nadzwyczajnie rychło serce ich i umysł dojrzewa i rozwija się pod wpływem miłości i niedoli; to i Maryę z dziecka zrobiło dojrzałą niewiastę.— Oh mój drogi! kogoż nieszczęście nie uczyni mędrszym i lepszym nawet; my sami mężu, my sami, czyż przez ten czas krótki naszego gorzkiego umartwienia nie przeżyliśmy długiego wieku? czyż przez te kilka miesięcy nie myśleliśmy więcej o sobie, o Bogu, o zbawieniu

naszém, aniżeli przez całe dotychczas życie?... Więc jesteśmy lepszemi; więc Bóg udręczenia nasze nagrodzi — więc wróci nam dziecko nasze kochane; więc, mój drogi, cieszyć się będziemy i pieścić nasze wnuki... nieprawdaż mój drogi?

Pocałowanie serdeczne zakończyło ten monolog, na który odpowiadając starosta: tak, rzekł — tak; widzę po twych słowach, że nieszczęście doskonali; lepszą cię jednak uczynić nie mogło, boś ty zawsze aniołem! więc będziemy pieścić nasze wnuki... ha! jeżeli będzie syn, to się będzie nazywał *Solohub*; choćby mi przez sejm przejść trzeba było.

Uszczęśliwiony Ks. Daniel tém co się stało, wymknął się wieczorem na saneczki, i do Abrahama który przed kilką dnia-

mi wrócił ze swęj podróży, pośpieszył. A był to znowu koniec szabasu; znalazł go więc jak przedtém w téj samęj rzesisto oświeconęj izbie, i jak przedtém nad księgą. Kłaniam uniżenie rzekł Ks. Daniel wchodząc.

— Sługa Jegomości, odpowiedział powstając Abraham, i uprzejmie wskazując na krzesło przy stole.

— Z dobremi nowinami, panie Abrahama, umyślnie przyjechałem do waćpana, rzekł ksiądz.

— A jakie nowiny? przepraszam go-dność pańską.

— Starosta chwala Bogu przebaczył córce: stary Wołkanowski, ojciec Piotra, przyjechał tu gdzieś z daleka...

— Nie bardzo i z daleka, przerwał Abraham uśmiejąc się, i zażywając podług zwyczaju, poważnie ze swęj srebrnęj tabakiery tabakę, a patrząc w oczy księ-

dzu — nie bardzo i z daleka, mil jakich dwadzieścia.

— A z kąd wiesz panie Abrahamie, gdzie on mieszka?

Abraham nie przestając gładzić swój tabakiery, z jednostajnym wzrokiem i uśmiechem, bo on mieszka, — rzekł, — w lasach Borysowskich, które ja wyrabiam.

Na te słowa Ks. Daniel nagłym domysłem zgadł wyrazisty wzrok i uśmiech Abrahama, — i tam jeździłeś teraz! zawołał powstając z krzesła.

Żyd pogładził poważnie brodę, i skinął głową potwierdzając domysł księdza.

— A mnie mówiono, żeś tam pojechał dla obejrzenia swojego towaru.

— Przepraszam godność pańską, obeśzłoby się tam i bezemnie; ja tam szafarzów i wierników mam.

— A więc jeździłeś umyślnie, aby się widzieć z Wołkanowskim?

—No, jedno przy drugim, jedno przy drugim, Mości księżu dobrodzieju.

—Więc pocziwy panie Abrahamie tyś namówił staruszką, aby tu przyjechał.

—Przepraszam mądrość pańską, odpowiedział kręcąc głową Abraham—nie— a czy ja prorok, czy ja mógł zgadnąć jak tu jego przyjmą? Oh! ja jego nie namawiałem, nie: ja tylko jemu powiedziałem, gdzie jego syn, co się z nim dzieje; i co się tu dzieje—a reszta...

—A reszta—przerwał ksiądz, resztę, Bóg dokończył!

—No to i dobrze Mości księżu dobrodzieju! to i dobrze, mówił Abraham podając rękę księdzu—cieszymy się i radujmy się! bo co mówi Salomon. *»Jedz miód mój synu; bo dobry jest: i plastr najslodszy gardłu twojemu«* (1).

(1) Przypowieści— Rozdział 24-

W małej chatce, kominkiem tylko nad dach wywiedzionym, okienkami światłejszemi i schludnością wewnętrzną, różniącą się od zwyczajnych włościańskich, na prostym tapczanie słomianą matą zasłanym, leżał człek schorzały, blady i wynędzniały. Do trupa raczej, niż do żyjącego podobny, oczy miał zapadłe i zamknięte; oddychał jednak swobodnie i zdawał się uśpionym, a mimo choroby i wycieńczenia, łatwo było poznać, że nie był starym, i że półwieku zaledwie dochodził. Czarna szata, do habitu podobna, przykrywała go, lecz i ta ciężyc mu się zdawała, bo słabą ręką zrzucał ją z piersi. Czuwał nad nim siedzący przy stole z głową na rękę opartą, człek daleko odeń starszy, ale twarzy pełnej i zdrowej, chędogo po szlachecku ubrany; wpatrywał się on troskliwie w oblicze chorego i szeptał cichy pacierz.

Na stoliku stał krzyż drewniany z figurą Chrystusa, leżała gromnica, i kilka flaszek z lekarstwami czy tylko z napojem było tamże na stole, przy kilku prostych miskach glinianych i talerzach, składających cały sprzęt domowy mieszkańca téj chatki.

Dzień wrześniowy pięknej jesieni miał się ku schyłkowi, i zachodzące słońce rzucało przez okienko do izdebki jakby pożegnalne wejrzenie na oblicze umierającego tak, że opromienione oblicze to niewymównym zajaśniało blaskiem; a omamiony czy przełęczniony czuwający starzec, przeżegnał się z trwogą. Chory zdawał się w téj chwili marzyć coś nadzwyczajnego... oczy miał zamknięte, ale wzrok duszy jego objawiający się częstokroć ciału przed opuszczeniem go na zawsze, snąć w tym promieniu słońca, błogosławione jakieś i miłe widział obrazy, bo

konający kilkakrotnie wyciągał przed siebie ręce, i twarz jego cierpieniem zmęczoną, błoga jakaś spokojność i jakby uśmiech okrasiały... Lecz powoli słońce ściągало swój promień, i jakby ostatki życia chorego szły za umykającym się tém światłem, lica jego bledniały, i czoło śmiertelnym oblało się potem. Zważający ze zdziwieniem na to wszystko starzec, rozumiejąc, że nadeszła chwila skonania, brał się do zapalenia gromnicy; — gdy wtém chory otworzył oczy.

Gdzież to było? kto był umierający? i kto czuwający nad nim człowiek? zapytasz czytelniku.

Okolica jałowa i pusta, do której cię na pierwszej karcie téj powieści wprowadziłem, była natenczas gęstym zarosła la-

sem, a od gościńca, Czarnym nazwanego, mała jeszcze kołowinka zawracała się na prawo, i wiodła do kaplicy, której dach dla tego z traktu widzieć można była, że zbudowana była na wzgórzu, a zatém przewyższała otaczające ją drzewa. O kilkadziesiąt zaś kroków od kaplicy, w głębi puszczy stała chatka przeznaczona z początku dla szpitalnika jakiego, mającego strzedz ścian kościołka, lecz zmieniona w domek pustelniczy, gdy się zdarzył człowiek z powołaniem samotnego pustelnika, który go zająć pragnął.— Umierającym teraz w tej chatce był właśnie pokutnik ten, a raczej pustelnik od lat pięciu w niej zamieszkały; a strzegący go starzec był pan Chojecki, właściciel tego miejsca, syn fundatora kaplicy, a ojciec dzisiejszego w niej zakrystyana, u którego gościłem.

—Spałeś bracie Danielu? rzekł Chojecki.

— Czy spałem?... nie wiem.— Sen to był... czy tak marzenie.... albo też... ach o Boże! mamże być ofiarą na odkupienie grzechów całej mej rodziny!... Tak! tyś o Jezus odkupił grzechy całego świata!... dzień się wola twoja—widziałem ich... widziałem rodziców moich... widziałem dziadów i pradziadów... wyciągałem ku nim ręce moje...

Chojecki niepewny czy chory majaczy, czy w rzeczy samej miał jakieś widzenie, w które wiara powszechniejszą natenczas była, i świadek zmian jakie się z nim działy, a więc rzekł:

Bracie Danielu, miałżeś objawienie jakie?

—Objawienie—tak, objawienie się tych z którymi się wkrótce połączę... Ja nie śmiem mniemać, że Bóg cud ten dla mnie niegodnego uczynić raczył... że zesłał na utwierdzenie nadziei moich, na pociechę ostatniej méj godziny duchy rodziców i

przodków moich w światłości niezwy-
czajnej, wzywające mię do siebie po na-
grode za cierpienie i pokutę, na którą
w tém życiu za nich ponieść byłem widać
przeznaczony... Oh! i za własne grzechy!

Chojecki aż drzeć zaczął, myśląc że
w promieniu słońca były duchy, których
on tylko co nie widział.

Pochowaj mię ojczy, — mówił dalej cho-
ry, — boś mi był ojcem przez te lat kilka
którem tu przebył, w bramie kościelnej:
niech ludek Boży przechodząc przez
nią na nabożeństwo, i deptąc koście moje,
zmówi za duszę moją, *wieczne odpocznienie*.

— Ale mój bracie, rzekł *Chojecki*, jeżeli
taka wola Boska abym cię pogrzebał, toć
i na kamieniu grobowym wykuć zda mi
się trzeba imię i nazwisko twoje, aby po-
bożni wiedzieli za kogo mają się modlić;
a ja dotąd nie wiem jak się nazywasz,
ani kto jesteś? Jeżeli za życia miałeś mo-

że przyczyny dla których taileś swe nazwanie i życie, toć jeżeli czujesz że cię Bóg rychło do swój chwały powoła, nie powinienesz zostawić na ziemi jakiejs wątpliwości o sobie. Byłem świadkiem twojego światobliwego żywota, twój pokuty, twych umartwień i maceracyj ciała, twój najgorliwszój codziennój pobożności. Pomimo ukrywania się twojego, pomimo zaparcia się samego siebie, i pokory twój pustelniczój i żebraczój, łatwo mi było poznać i dociec, żeś nieubogo ani podło urodzony; że wychowanie twe brałeś po szlachecku, a może i po pańsku, bo z kądżeby ci wielkie i głębokie wiadomości nauk, z którymi niekiedy mimowolnie się wydawałeś; wiek twój dalekim jest i teraz jeszcze, a tém bardziej gdy tu wchodziłeś, od tego w którym człek ucieka od świata: słowem, wszystko mię przekonywa, że cię w tę pustynię jakiś szczególniejszy los czy

nieszczęście zagnało.— Nie mam ja prawa do twych głębszych tajemnic, może na sumieniu twém leżących, bo sumienie każdego do Boga należy, a twoje otworzyłeś zapewne na spowiedzi przed kapłanem; ale zdaje mi się bracie mój, że przynajmniej powiedzieć mi powinienbyś ktoś jest? Przemieszkawszy lat kilka prawie razem, razem i codzień modląc się w naszym ubożuchnym kościółku, zjednoczyliśmy się w Bogu i serdecznie; ja stary od ciebie téj posługi spodziewałem się do której ty mię teraz wzywasz—Zapłakał stary *Chojecki* i zamilkł.

Chory milczał także przez czas niejaki; zdawał się rozmyślać nad tém czego z uwagą słuchał; łzy *Chojeckiego* wzruszyły go.— Ojcze—rzekł nakoniec—prawda, zjednoczyliśmy się w Bogu; przez cały czas pustelniczego mego tu życia, doświadczałem codziennie dobrodziejstw

twoich, a w częstych chorobach moich i w téj ostatniej, nie odstępujesz łoża mojego, Bóg ci niech nagrodzi! Gdy przed nim stanę, błagać będę majestat jego za ciebie i twoich... Chcesz koniecznie wiedzieć ktom jest? dobrze, niech żadna wątpliwość nie łączy się do wspomnienia twego o mnie, abyś mógł czystém sercem westchnąć za mną do Boga. Za życia wyznać tego nie chciałem, bom się lękał, aby się moje nie wydało i rozgłosiło schronienie, aby świat mi znowu nie zajrzał w oczy i do nowych nie pociągnął zawodów; lękałem się nawet nieprzyjaciół moich; nie dla złego od nich, ale aby ofiarami swemi, do których własne ich sumienie zmuszało i które mi nie raz ponawiali, nie pokuszali mnie. Dziś gdy stoję u progu wieczności, i gdy zaraz go przejdę, znika potrzeba tajemnicy, przed tobą zwłaszcza mój ojciec; na kamieniu

jednak, którym grób mój nałożysz, imie me tylko wykuj, bo te mi chrzest święty nadał, a ludzie nie odjęli.

Nazywałem się Wołkanowski, ale i od tego nazwiska mnie odsądzono.

— Wołkanowski! — przerwał zdziwiony Chojewski — byłżebyś tym, którego process z Radziwiłłami był głośny po całej Litwie.

— Ten sam jestem.

— Zadaowano ci bodaj *imparitatem* (1).

— Nie; zadawano mi i dowiedziono nieprawość urodzenia.

— Jak to? i dowiedziono?

— Tak, według sądu ludzkiego dowiedziono; ale jest sąd inny, przed którym stanęli święci przed ołtarzem przysięga złączeni rodzice moi, stanę i ja zaraz i czekać będziemy prześladowców naszych,

(1) Nierówność urodzenia — to jest nieszlachectwo.

a wtenczas Bóg nas rozsądzi... Oby im przebaczyć raczył!

Tu chory słabym głosem i powoli, ale rozmyślnie i jasno opowiadał Chojeckiemu dzieje pobrania się rodziców swoich, któreśmy na poprzedzających kartach przebiegli. Chojecki przerywał mu niekiedy, prosząc aby wypoczął, niekiedy i sam się on zastanawiał, folgując swój słabości; z kolei doszedł do kresu swój powieści, na którym my naszą zawiesiliśmy, i tak po rodzicielskich własne już dzieje kontynuował.

Gdy po przebaczeniu ojcowskiem rodzice moi wrócili do Illii, jam miał niepełna półtora roku. Z opowiadań więc tylko matki mojej, gdym był młodym chłopcem, księdza Daniela, na pamiątkę

którego dano mi to imie, i starych dworzan naszych, dowiedziałem się o téj czułej scenie, gdy przybywająca i spotkana w ganuku przez rodziców córka z dzieckiem małym upadła im do nóg, a obok mąż jéj; gdy rozrzewnieni dziadkowie wzięli na ręce wnuczka i błogosławili mu; gdy dumny starosta ustąpił zupełnie rodzicielskiemu swemu sercu i płakał jak dziecko, a starościna pieściła jak dawniej swą ulubioną Maryę.

Ale wśród tych uniesień rzekł starosta — idźmyż teraz wszyscy razem do kaplicy, abyście w obliczu Boga i pod błogosławieństwem rodzicielskiem ponowili waszą małżeńską przysięgę.

Nie zważano na znaczenie słów tych; wszysej ochotnie poszli za starostą do kaplicy pałacowej, tuż z sieni otwierającój się — tam ujrzeli księdza Daniela stojącego uroczyście w komży przed ołtarzem

otwartym i oświeconym, a przed nim rozesłany kobierzec.

— Ukochane dzieci! — ozwał się on, ocierając łzą nabiegłe oczy! — Ukochane dzieci! podług praw Boskich i ludzkich, podług praw świętej religii naszej, potrzeba jest, abyście ponowili ślub wasz; ja z mocy indultu, który oto trzymam w ręku, gotów jestem spełnić dla was ten święty sakrament — przystąpcie więc.

— Jak to? — zawołał przerażony ojciec mój — czyliż jesteśmy bezślubni? a dziecię nasze? (1).

Matka moja zbladła, chwyciła mnie z rąk niańki, tuliła mocno do piersi, jakby się lękając, aby jej dziecka nie odebrano...

— Nie lękajcie się, dzieci — mówił dalej ksiądz Daniel — nie lękajcie się! rodzi-ce wasi, których sumienie jako kapłan

(1) Treść tego ustępu jest czysto-prawdziwa.

piastuję, was i synka waszego za krew własną, za swego wnuka pierworodnego uznają i błogosławia.

Babka moja wzięła mię natenczas od matki na ręce i utwierdzając słowa kapłana, przycisnęła mię do piersi, oblała łzami i zegnała po głowie. Starosta także przeżegnał mię i ucałował czule—mówiąc— los jego i imie ja biorę na siebie— a ojciec mój nie wiedział co począć?

Wtém ksiądz Daniel, przerywając tę wątpliwą chwilę, rzekł znowu uroczystym głosem:— Dzieci moje! Jesteścież spokojni wewnątrz siebie? jesteścież spokojni w najgłębszych tajniach myśli waszych i waszego sumienia? w najgłębszych modłach waszych?... jesteścież spokojni?...

Na te słowa rodzice moi podnieśli na siebie wzrok łzawy i głęboki... nagle podali sobie ręce i poszli na kobierzec.

Po niejakiem wypoczynku chory znowu mówić zaczął.

— Akt ten spełniony przyniósł pokój, szczęście i spokojność w dom starosty; wszystko się rozweseliło i rozjaśniło na jego dworze. Stalewska była mi najtro-skliwszą niańką, pocziwy i mądry ksiądz Daniel nauczał mię pacierza gdym dobrze wymawiać zaczął; stary nawet Abraham, pamiętam jak mi przynosił obwarzanki. Rosłem na pieśczętach rodziców i dzia-dostwa moich—lata szczęśliwe! i tylko te szczęśliwe w mém życiu.

Tymczasem starosta przemyśliwał nie-ustannie nad sposobem jakby mi swoje nadać nazwisko, a przynajmiej jakby wątpliwość mojego urodzenia zatrzeć. Tru-dno to jednak było: nie dla tego aby mu król odmówił, jeżeliby dyplomu na to żą-dał, lecz że sama prośba o to i staranie jużby mię piętnem nieprawego urodze-

nia plamiło, piętnem, które uprawnić łatwo, zetrzeć niepodobna—przeszał więc bodaj na powszechniej bardzo myśli, że gdy jawne a codzienne uznawanie mnie wnukiem swoim utwierdzi jeszcze własnoręcznym testamentem, nikomu nieprzyjdzie do głowy zaprzeczać mi tego i wznowiać dawno zapomniane dzieje. Z uczynieniem więc takowego testamentu nie ociągał się najmniej: napisał go kilką laty przed swoją śmiercią, lubo się jój tak rychło niespodziewał, i wszelką formą prawną utwierdził: a w nim córkę swoją, a moją matkę jedyną swą sukcesorką i mnie po niej dziedzicem, jako własnego wnuka, naznaczył.

Lat siedm nie miałem spełna, gdy Sołohub życie zakończył. Została żona jego a babka moja, przywiązana do córki jak do własnego życia, a bodaj i bardziej jeszcze, a przez nią i do mnie najczuliej.

Stan i położenie nasze domowe nie zmieniło się prawie: ojciec mój, za życia jeszcze teścia i z woli jego zajmował się już wszelkim rządem majątków i interesów; spokojniej tylko było u nas, bo starościna stan swój wdowi i wiek podeszły samotnie pędzić pragnąc, nie ściagała do siebie licznych odwiedzin, dość mając na domowém księdza Daniela, dzieci, kilku sług wiernych i starych rezydentów towarzysztwie.

Matka moja od powrotu do rodziców, a podobno od chwili odjazdu od nich, odwykła od wesołości; często owszem piękne swe czarne oko łzą zaćmione na mnie zawieszała... przeczucie czy żal... O! nigdy tego wejrzenia nie zapomnę... i dodał ciszej — niedawno tém samém okiem na mnie patrzała!!! — Ojciec mój, oddany jéj bez granic i wzajemnie kochany, zarażał się niekiedy od niéj tym smut-

kiem i melancholią, ale częściej rozrywać ją, bawić i rozpędzać tę chmurę z jej pięknego czoła starał się.

Wychowanie moje i nauki szły pod okiem i dyрекcyą księdza Daniela. Miałem rozmaitych nauczycieli, ale jemu tylko winienem najdroższą mądrość na świecie, to jest *wiarę i ufność w Bogu*, które mi pod brzemieniem nieszczęść upaść nie dały, i które mię potem tu zawiodły, a ztąd teraz na sąd Boski spokojnie prowadzą. Jużem był dobrym wyrostkiem, gdy się zaczęły z kolei nieszczęścia i straty moje: najprzód poszła babka moja, Sołohubowa; i ona także podobny mężowi swemu zrobiła testament. Illię swą posagową i całą substancję córce swój i mnie po niej zapisując; potem w lat dwa, ojciec mój, młody jeszcze, bo ledwo czterdzieści kilka lat liczący sobie, nagle apopleksyą uderzony, żyć przestał; że zaś

matka moja tak srogie przeżyła ciosy, cud to był prawdziwy miłosierdzia Boskiego i dowód, że miłość macierzyńska pokonać może najsroższą rozpacz, a przywiązać do życia, gdy to życie jest ofiarą dla własnego dziecka. Matka moja tę ofiarę właśnie dla mnie poniosła, a nawet, gdy siły jój osłabione długą po tych stronach chorobą wracać zaczęły, cała się dla mnie poświęciła, zajęła się rządem majątków i dokończeniem mego wychowania, zawsze przy pomocy i radach księdza Daniela, któremu, Bóg na pomoc nam i opiekę życia przedłużał.

Pod jój więc czułem okiem wzrosłem na młodzieńca i nakoniec dojrzałem wiekiem i umysłem; przeżyła ona bowiem o lat dwadzieścia męża swego.

Wspomnienie chwili gdy ją straciłem nakoniec, osładza mi tylko w tym momencie przekonanie, że się z nią wkrót-

ce połączę, a nawet wzbudza we mnie żądanie, by się to jak najrychlej spełniło. Został mi więc tylko ksiądz Daniel, drugi mój ojciec...

— A cóż się stało z dziadkiem twym, Wołkanowskim, który wyprawił się był po was w Sandomierskie? — przerwał Chojecki.

— Ha, ja go nie pamiętam, ale wiem, że został on w wiecznym pokoju, tamże w gnieździe rodziny swojej, i umarł po błogosławiwszy rodziców moich, swoje dzieci i mnie niemowlę jeszcze.

— Ksiądz Daniel—mówił dalej stary— przeżył zda się wszystkich na to, aby po-krzepiał mnie w duchu, mężstwie i cierpliwości chrześcijańskiej, na smutne wypadki mojego żywota, których początku był świadkiem, i aby mi koniec onego przepowiedział: »Rozbrataż się, synu mój, z ludźmi i ze światem, a skończysz w Bo-

gu i z Bogiem.“ Te były ostatnie jego słowa, które wymawiał żegnając mnie w ostatniej swój godzinie, nadeszłej w chwili, gdy mnie z ojczystego domu wypędzono.

Póki żyła matka moja, nikt jój praw jako jedynój dziedziczki nie zaprzeczał, ani się mieszał do jój majątków, ani do dóbr Sołohubowskich, których była dożywotnicą; ale jak tylko ona oczy zawarła, wnet publiczne manifesta rzuciły na jój imię czernidło, a na mnie wzgardę i hańbę. Rozżalony zmaza pamięci matki, bardziej niż własną krzywdą, rzuciłem się na mych nieprzyjaciół, zapamiętały — ale bezsilny — któż w Litwie pokonał Radziwiłłów? a z drugiej strony po dziadowskie majątki szli Sołohubowie.

Główna treść sprawy téj i procesu mego z krewnymi dziadów i matki mojej, dziś po kilkunastu latach zapomniana, głośną natenczas była po całej Litwie;

sprawiedliwość, a nawet politowanie ludzi poczeiwych, było po mojej stronie, ale prawność i przemożność były przeciw mnie. Wsparty dwoma testamentami, dziada i babki, broniłem mojego dziedzictwa i imienia, a tém samém i dobrej sławy rodziców: to jest usiłowałem powrócić, jako prawy dziedzic matki mojej i syn prawego jej małżeństwa z mym ojcem, do majątków, z których mię zaraz na początku siłą i przemocą wygnano. Proces to więc był razem duchowny i świecki: upadek mój w pierwszym wiódł za sobą niewątpliwy upadek i w drugim; dowodzono nieprawność i nieformalność pierwszego ich ślubu, lecz mimo silne przeciwników moich wpływy, ważność dobrowolnej przysięgi przed ołtarzem, w obec liczego ludu spełnionej, możeby przez sumiennych kapłanów, rozbierających ten spór dotkliwy dla mnie, i uzna-

ną była; ale ślub drugi niktzemnił powagę pierwszego (1) i mnie tém samém odejmował imię, dziedzictwo, mienie i wszelkie prawa dobrego urodzenia i szlachectwa, słowem, to wszystko, co jest najdrożem człowiekowi żyjącemu wśród ludzi.

O jakżem był biędny natenczas! sam jeden, bez nikogo na świecie, któryby mi jakiegokolwiek przyniosł pocieszenie, żebrak, z pana; do kogóż się udać i czyjż wzywać mogłem opieki? Wszakże przeciwnicy moi, sumieniem, czy wspaniałością wzruszeni, ofiarowali mi znaczną sumę; mógłbym oddaliwszy się gdzieś w obce strony, spożywać kawałek chleba, ale chleba okupionego hańbą tych, którzy mi dali życie... nie przełknąłbym żadnego zeń kęsa bez gorzkiego przypomnienia, zem

(1) Treść rzeczy zupełnie prawdziwa.

przedał sławę rodziców moich.—Nie—odpowiedziałem zatém ofiarującym mi pieńiadze—nie! precz mię kusicie? wyrok ostateczny nie zapadł jeszcze—Appeluję.

—Dokąd od *nuncyatury* (1) i *trybunału*?—zapytywali mnie z zadziwieniem.

—Tam!—rzekłem i wskazałem ręką w niebiosy. Zostali w osłupieniu—ale... nie zapomną téj chwili.

Przestał znowu mówić Wołkanowski, jako i pierwiej kilkakrotnie odpoczywał wśród długiego opowiadania; siły mu ubywały, słabiał coraz widoczniej, ale się wzmagał, zatrzymując jakby w sobie ostatnie technienie do ostatniego słowa swéj powieści.

Odwilżywszy usta kilku kroplami wody, znowu więc zaczął.

(1) *Nuncyatura*—najwyższa jurydykcyja duchowna, przydowana przez Nuncyusza Papięzskiego.

Tymczasem słowa mego opiekuńczego ducha, słowa ostatnie księdza Daniela, odzywały mi się nieustannie w duszy: „Rozbratasz się z ludźmi i światem, a skończysz z Bogiem i w Bogu.“

Słowa te naprowadziły mnie naturalnie na myśl ukrycia się w jakim klasztorze i przyjęcia ślubów zakonnych. Zaprobowiałem; — kilka miesięcy przebyłem pod przyswojoném imieniem w jednym z najsamotniejszych klasztorów, ukrytych w głębi lasów poleskich; ale nie — i tu mi było za ludno, i tu mię ciekawość i domysły ludzkie ścigały, a udręczała tęsknota za rodzinném powietrzem i niebem, za mogiłami rodziców moich.

Został mi jeszcze mały zapas od znacznej gotówki, którą po matce znalazłem, a która wszystka po wygnaniu mojem z Illii, na długie processa i podróże, na mieszkanie po miastach powiatowych i

województwach, i na przeżycie wysypała się; kupiłem konia więc i zabrałem się na wózek, kierując bez celu, ale ku tym stronom.

Zachorowałem w drodze.—Ty wiesz ojciec jako biednego, a prawie konającego podróżnego znalazłszy w tej chatce, do której ledwo się przywlokłem, na opiece staruszki kaleki, tu przy kościółku natenczas żyjącej, uratowałeś mi życie staraniem twojem; lecz się zadziwiłeś, gdy przyszedłszy do zdrowia, oświadczyłem ci postanowienie moje zostania tu pustelnikiem na resztę mego żywota. Przyczyny mego postanowienia i imię moje zataiłem przed tobą; tyś ojciec, ustępując mi chętnie tę chatkę, nie nalegał i zostawił czasowi i bliższemu poznaniu mnie, odkrycie méj tajemnicy i powodu mego pustelnicstwa, luboś się domyślał, że powód ten nie mógł być ani zwyczajnym

ani pospolitym. Dzisiaj wiesz wszystko; mamże ci jeszcze wyznać przyczynę, która mię do téj chatki przywiązała? dla czegożbym jój nie powiedział— I po krótkim zastanowieniu mówił: Tyś człek pobożny i bogobojny; ty wierzysz w widome cuda, które niekiedy Bóg z miłosierdzia swego ludziom objawia; nie raz czytając razem żywoty świętych Pańskich, moc Boską i łaskę chwaliliśmy pokornie; a więc powiem ci— oto gdym tu leżał, w chwili zupełnego po gorączce osłabienia, ujrzałem przy sobie księdza Daniela...

— Możeś zasypiał i marzył, jako i teraz coś podobnego z tobą było— przerwał Chejecki.

— Może... alem go widział tak... jak widziałem teraz rodziców i przodków moich... jasność go natenczas, jako i ich teraz, otaczała; a czy własnémi słowy, czy wewnętrzném natchnieniem, bo tego nie

pomnę ani pojmuję, jako i wtenczas nie pojmowałem, dał mi on posłyszć czy poczuć w sobie znowu mój wyrok: »Rozbrataj się z ludźmi i ze światem, a skończ tu z Bogiem i w Bogu... Dokonywam dziś i spełniam ten wyrok.

Jeszcze cię proszę, ojcze, mój — mówił cora z ciszéj i trudniéj — jeszcze cię proszę... pisma i listy matki mojej do mnie, które znajdziesz w papierach moich... połóż mi na piersiach w trumnie...

Zamilkł.

— A cóż z innemi papierami mam zrobić? — zapytał Chojecki.

— Milczenie.

Wczesny zmrok jesienny zapadł, Chojecki zapalił lampkę i postawił ją na stoliku przy krucifixie; płomyk jej niepe-

wny niknął w ciemności izdebki,—słabém swém ogniskiem obejmując za ledwo krzyż Zbawiciela, twarz śmiertelną bladością obleczoneą, ale spokojną usypiającego pustelnika, i martwiejącą a rozciągniętą na łożu postać jego. A kiedy niekiedy tylko żywiej błyskając, odsuwał dalej nieco pomrokę i wyjawiał oblicze starca, stojącego u łoża umierającego i ze złożonemi pobożnie rękami cichą szepcącego modlitwę... Tak przetrwał czas niejaki obraz ten—niewzruszony, milczący jakby na tle całunu ponurą fantazyą malarza utworzony...

Nagle podjął on powieki, a w tém osłupiałém oku Chojecki z przerażeniem dostrzegł—*śmierć*—wyciągnął rękę, ujął krzyż ze stolika i do ust go swych przyciskając, za ledwo dosłyszczanym głosem wymówił? »z Bogiem... i w Bogu!« drugą zaś ręką chciał wiaść gromnicę, tuż

pod krzyżem leżącą, lecz otrętwiała prawica upadła tylko na nią a ująć jej nie mogła.

Zrozumiał chęć tę Chojecki, zapalił więc gromnicę i trzymając ją razem z zimną ręką umierającego, litanie do Matki Boskiej głośno odmawiać począł... Gdy wyrzekł z głębokiem uczuciem—*Patronko konających!*— i po razy kilka powtórzył—*Patronko konających! zmiłuj się nad nami!*— lekkie westchnienie wzniosło pierś pustelnika...

Chojecki skończył litanie, dotknął jego czoła — zdmuchnął gromnicę... i wyszedł — w chatce została *lampka*, słabym pełgająca płomieniem—godło życia ludzkiego — *trup*, godło końca człowieka na ziemi— i *krzyż*—godło wiecznej jego nieśmiertelności.

K O N I E C .

Książnica Zamojska



10181690

ul. Kamienna 20

22 - 400 Zamość

